

Krzysztof Józwik

ŚMIERTELNY ZART



WYDAWNICTWO
NOCA

Krzysztof Józwik

**ŚMIERTELNY
ZART**

Warszawa 2024

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Osiem lat wcześniej

Tego samego dnia, wcześniej

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Redakcja: Magdalena Gonta-Biernat

Korekta: Aleksandra Wrońska

Projekt okładki: Tomasz Biernat

Skład: Marek Jadczyk

Copyright by Krzysztof Józwick 2024

Copyright for the Polish Edition by Wydawnictwo Nocą,
Warszawa 2024

ISBN 978-83-68037-10-4



WYDAWNICTWO NOCĄ

ul. Filipiny Płaskowickiej 46/89

02-778 Warszawa

NIP: 9512496374

www.wydawnictwonoca.pl

e-mail: kontakt@wydawnictwonoca.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Wszystkie przedstawione w tej powieści postaci i zdarzenia są fikcyjne i są wymysłem wyobraźni autora. Jakiegokolwiek podobieństwa nazwisk i zdarzeń do sytuacji rzeczywistych są przypadkowe.

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Dla Moniki, która trwa przy mnie, daje mi siłę i miłość

Prolog

Nazywam się Radek Rozbicki i właśnie zabiłem człowieka. Kolegę ze studiów. Kogoś, kto przed laty był moim przyjacielem. Kogoś, o kimś kiedyś tak właśnie myślałem.

Wydarzenia ostatnich tygodni wstrząsnęły moim dotychczasowym życiem. Przewróciły wszystko do góry nogami, na nowo definiując sytuację z przeszłości, którą uznawałem za zamkniętą, rozliczoną i zapomnianą rozdział, do którego nikt już więcej miał nie wracać. Rozdział, który miał na zawsze pozostać w takim kształcie, w jakim go zapamiętałem.

Przez dramatyczne okoliczności ostatnich tygodni kilka osób straciło życie, a na jaw wyszły długo skrywane tajemnice. Dowiedziałem się wielu nowych rzeczy na temat ludzi, których znałem, ale poznałem też bardziej samego siebie. Ryzykując zdrowiem i życiem, wplątałem się w zagmatwane i niebezpieczne działania zorganizowanej grupy przestępczej, która za wszelką cenę starała się utrzymać w tajemnicy swoje brudne, wielomilionowe interesy.

Sam otarłem się przy tym o śmierć.

Finalnie przyczyniłem się do wykrycia jednego z największych przekrętów gospodarczych ostatnich lat i do zatrzymania winnych osób.

Opowiem Wam, jak to się zaczęło. Dokładnie osiem lat temu.

Osiem lat wcześniej

Michał odetchnął głęboko, spojrzął na nasze spanikowane twarze i wtedy przejął inicjatywę.

– No dobra! Nie ma co debatować! Zbieramy wszystkie rzeczy! Pomóżcie mi uprzątnąć teren! – zarządził nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Dziewczyny, spakujcie wszystkie rzeczy i pozbierajcie śmieci. My zajmiemy się zwłokami. No już! Nie ma czasu! Za piętnaście minut ma nas tutaj nie być!

Marta próbowała protestować. Krzyczała histerycznie, że tak nie można, że to nie po ludzku. Jednak pozostałe dwie dziewczyny nie dały jej najmniejszej szansy na dalszy sprzeciw. Niemalże siłą zabrały ją do willi.

Przytaszczyliśmy sporych rozmiarów kamień i z niemałym trudem przywiązaliśmy go za pomocą liny holowniczej do martwego już ciała. Potem zaciągnęliśmy obciążone zwłoki na pomost. Z wysiłkiem doszliśmy do końca drewnianej, trzeszczącej konstrukcji i na trzy wrzuciliśmy z głośnym chlupotem nieżyjącego przyjaciela do zalewu. Po chwili obciążone zwłoki zniknęły pod wodą. Staliśmy jeszcze przez chwilę, dysząc ciężko i patrząc, jak czarna woda uspakaja się pod naszymi stopami.

– Żegnaj. – To jedno słowo wypowiedziane bardzo cicho przez któregoś z nas wystarczyło za pożegnanie.

Potem spojrzeliśmy na siebie niepewni i przerażeni tragicznym zakończeniem imprezy.

– Dogaśmy ognisko i spieprzajmy stąd.

Pięć minut później trzy samochody ruszyły gwałtownie spod willi, syjąc piaskiem spod kół i wznosząc tumany kurzu.

Po chwili już nas tam nie było.

Tego samego dnia, wcześniej

Czerwiec to bodaj najprzyjemniejszy miesiąc w roku. Początek prawdziwie ciepłych dni i krótkich nocy, możliwość poczucia smaku zbliżającego się lata, czas beztróskiego odpoczynku i relaksu. Przynajmniej dla tych młodych ludzi, którzy, wciąż chodząc do szkoły lub studiując, mogą cieszyć się nadchodzącymi wakacjami i długim okresem wolności od nauki. Nie inaczej było w przypadku naszej paczki przyjaciół, studentów ostatniego roku Wydziału Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, dla których długie i męczące studia na wymagającym kierunku właśnie się kończyły. Część osób z siedmioosobowej grupy zdała magisterski egzamin końcowy, a pozostali mieli do niego na dniach podchodzić. Ja miałem już dyplom w kieszeni, z czego niezmiernie się cieszyłem. Ci, którzy egzamin mieli jeszcze przed sobą, traktowali go jako czystą formalność i zakładając z góry sukces zakończenia studiów, jednogłośnie zgodzili się uczcić tę okazję szalonym weekendem za miastem.

Wybraliśmy bliską okolicę Warszawy z szybkim dojazdem i komfortowym miejscem, w którym mogliśmy nie tylko urządzić dziką imprezę, ale też skorzystać ze słońca, sportów wodnych i plażowania. Wynajęta, w pełni wyposażona willa, ogrodzona i oddalona od innych zabudowań i hoteli, z własną plażą i dojściem do wody Zalewu Zegrzyńskiego, to był strzał w dziesiątkę.

Przyjechaliśmy trzema samochodami, przywożąc tony jedzenia i zapas alkoholu, mogący obsłużyć wesele na co najmniej sto osób. Rzuciliśmy nie dbale torby i walizki z rzeczami osobistymi i od razu zabraliśmy się za urządzenie balangi.

– Michał! – krzyknął w kierunku zaparkowanych przed chwilą samochodów Seweryn. – Przynieś z bagażnika grill, to zaczniemy rozpalać, jestem

już strasznie głodny!

Tamten skinął tylko głową i zagłębił się w obszernym bagażniku dużego białego SUV-a. Po chwili wytaszczył stamtąd sporych rozmiarów ruszt, na którym za chwilę miały zaskwierczeć kiełbaski, szaszłyki i karkówki.

Wszystkie trzy dziewczyny – Marta, Eliza i Aneta – zajęły się przygotowaniem wędlin i mięs na grill oraz ognisko. W ruch poszły salaterki i miski, a przygotowane szybko sałatki wypełniły szklane naczynia po brzegi. Michał z Sewerynem podjęli się rozpalenia ognia, a Krzysiek, wzięty amatorski DJ, właśnie podłączał przywiezionego boomboxa, z którego miała buchnąć głębokim basem aktualna muzyka klubowa.

Z kolei ja w tym samym czasie zawzięcie walczyłem z zardzewiałą kłódką spinającą dwa kawałki łańcucha przytrzymujące razem z małym drewnianym pomostem dość leciwe, ale wciąż sprawne rowery wodne i kajaki bujające się teraz na łagodnych falach zalewu. W końcu udało mi się odczepić wszystko od platformy. Kiedy uporaliśmy się ze swoimi zadaniami, wskoczyliśmy z dzikim rykiem do zalewu. Zimna woda dobrze nam zrobiła i po kilku minutach pływania byliśmy gotowi na rozpoczęcie weekendu.

Pół godziny później balanga trwała już w najlepsze. Zdążyło się ściemnić, słońce zaszło i pojawił się lekki, chłodny wietrzyk, choć wcale nie przeszkadzało to naszej rozbawionej grupce zebranej wokół jasno palącego się ogniska, nad którym na zatkniętych w ziemi patykach skwierczały nadsziane na nierdzewne kije kawałki kiełbasy. Dwa kontenery piwa stojące nieopodal pustoszały w zastraszającym tempie.

– Kurde. – Kucający nad skrzynkami Michał nie krył zdziwienia. – Zaraz browar nam się skończy.

– Nie bój nic. – Uśmiechnięty od ucha do ucha Krzysiek wskazał na pękatą torbę, która stała oparta o drzewo. – Mamy przecież cały zapas lychy i coli. Wystarczy do rana.

Od strony willi nadeszła Eliza, trzymając w rękach ogromną miskę sałatki.

– Komu witamin? – zagaiła wesoło, stawiając naczynie na turystycznym, plastikowym stoliku.

– Weź nie pytaj i nakładaj, dziewczyno! – Seweryn żartobliwie puścił oko i podał Elizie swój pusty już talerz. – Dzisiaj robiłem trening na masę, to muszę porządnie zjeść.

Muzyka z przyniesionego przez Krzyśka sprzętu tłukła niemiłosiernie intensywnym bitem i klawiszowymi rytmami, idealnie wpasowując się w klimat imprezy ogniskowej. Część osób delikatnie pląsała, trzymając w dłoniach ostatnie już butelki piwa, omiatana pomarańczowymi refleksami płonącego ognia. Ktoś tam opowiadał dowcipy, ktoś inny plotkował o tym i o tamtym, co chwilę wszyscy zanosili się śmiechem. Bawiliśmy się, piliśmy, jedliśmy. Korzystaliśmy z życia, młodości i beztroski.

Nagle stało się coś bardzo złego.

W pewnym momencie Seweryn się zakrztusił, upuścił talerzyk z jedzeniem i złapał się za gardło. Przewrócił błagalnie oczami, prosząc w ten sposób o pomoc. Marta, która stała najbliżej, natychmiast do niego dopadła i zaczęła intensywnie uderzać dłonią po plecach, by pomóc mu w odkrztuszeniu.

– Pomóżcie! – krzyknęła z rozpaczą w głosie. – On się dusi!

Rozmowy natychmiast zamilkły. Wszyscy jak na zawołanie rzuciliśmy trzymane przed chwilą butelki i talerze. Dobiegliśmy w gwałtownym przeobrażeniu do dwójki przyjaciół. Seweryn wciąż nie mógł złapać powietrza. Jego twarz zrobiła się czerwona z wysiłku. Trzymając się oburącz za gardło, walczył z niewidzialną pętlą, która zaciskała się coraz bardziej i skutecznie blokowała możliwość oddechu.

– Zróbcie coś, do cholery! – wrzasnęła spanikowana Aneta.

– Złap go za przeponę i naciśnij! – Eliza popatrzyła wielkimi ze strachu oczami na silniejszych od siebie chłopaków.

Michał, jako najsprawniejszy z ekipy, chwycił mocnym objęciem czerwieniejącego Seweryna i gwałtownie nacisnął na przeponę, by odblokować układ oddechowy. Nic to nie dało. Wręcz odwrotnie, wydawało się, że Se-

weryn zaczął tracić przytomność. Osunął się bezwładnie. Michał, nie wiedząc, co powinien zrobić, położył go na ziemi i odskoczył przestraszony.

– Do kurwy nędzy! Róbmy coś! – krzyknąłem. Opadłem na kolana obok kolegi i zacząłem robić nieporadny masaż serca.

– Zostaw! Przecież on się dusi! To nie zawał! – Marta była coraz bardziej rozhisteryzowana. – Ratujcie go!!!

– Dzwonię po karetkę! – zawołała Aneta i sięgnęła po smartfon.

– Zanim przyjadą, będzie za późno! Róbmy coś! Krzysiek, pomóż! – zawodziła błagalnie Marta.

Krzysiek stał jak wrośnięty w ziemię i z otwartymi ustami bezradnie obserwował agonię przyjaciela. Kolejne nerwowe próby ratowania, uciskanie brzucha, masaże. Widziałem przerażenie na twarzach moich towarzyszy, ich trzęsące się ręce, płacz i zawodzenie Marty klęczącej nad kolegą. Mimo tych wysiłków Seweryn nie dawał znaku życia. Marta wyła niemilosiernie, szarpiąc przyjaciela za bluzkę.

– On nie żyje!!! – ryknęła dramatycznie w pewnym momencie.

Pozostałe osoby stały jak zamienione w kamienie i ogarnięte jakimś zamroczeniem wpatrywały się z niedowierzaniem w odbywającą się scenę. Dziewczyny zaczęły płakać. My, faceci, nie przyjmując do świadomości tego, co docierało do naszych oczu, patrzyliśmy bezsilnie na leżącego na ziemi, niedającego oznak życia przyjaciela i klęczącą nad nim Martę. Rytmiczna muzyka klubowa głośno dudniła, roznosząc dźwięki po okolicy. Palące się ognisko migotliwie omiało refleksami światła nasze zastygłe twarze.

Marta podniosła wolno głowę znad piersi Seweryna, przysiadła ciężko i przetarła dłońmi spoconą i zapłakaną twarz. Potem popatrzyła przeciągle na nasze zdruzgotane oblicza.

Wszyscy zamarli. Z przerażenia i niedowierzania. Nikt nie ważył się odezwać.

Na naszych oczach właśnie umarł przyjaciel i nikt nie był w stanie mu pomóc.

* * *

Nagle Marta wybuchnęła głośnym śmiechem.

Dziewczyna nie mogła przestać rechotać. Wyciągnęła rękę w naszą stronę i wskazała na nas palcem. W końcu złapała oddech i przetarła drugą ręką łzy, które pociekły jej z oczu przez spazmatyczny śmiech.

– Ale... Ale dalsie się nabrać! – Znów zaniósła się niekontrolowanym chichotem. – Ale macie miny!

Nikt nawet się nie ruszył. Nikt się nie odezwał.

– Seweryn. – Marta szturchnęła ręką leżącego chłopaka. – Już możesz wstać, zrobiliśmy ich w balona.

Ten poderwał się nagle na proste nogi i też ryknął śmiechem, pokazując palcem wskazującym na zdumionych kolegów, którzy dali się nabrać na taki prosty numer.

– Ale jazda! – zawołał. – Ale dalsie się zrobić! Przecież nic mi nie jest!

Pierwszy ocknął się Michał. Dopadł do Seweryna i złapał go za ramiona.

– Ty kretynie! – wrzasnął. – Myśleliśmy, że naprawdę coś ci się stało!

Krzysiek, zrezygnowany, odetchnął głęboko.

– Ha, ha, ha... – stwierdził kwaśno. – Ale się uśmialiśmy...

Dziewczyny, które chyba najbardziej przestraszyły się całej sytuacji, nie kryły oburzenia:

– Kurwa! Pogięło was do reszty?! – Eliza aż zaklęła, co przydarzało się jej niezwykle rzadko. – Chcecie, żeby ktoś tu na zawał przez was padł? Debile!

Po dłuższej chwili potworne napięcie zeszło już ze wszystkich i powoli wracaliśmy do żywych.

– No dobra – stwierdziłem zniesmaczony. – Good joke. Ale już nie róbcie takich numerów, dobrze? – Popatrzyłem, jak mi się wydawało, bardzo surowo na oboje naszych przyjaciół, cały czas zadowolonych z doskonałego dowcipu, który udało się im przed chwilą wykręcić. – Swoją drogą – mruknąłem już trochę mniej surowo – dobrzy z was aktorzy. Może powinniście

pójść do Akademii Teatralnej, a nie na ekonomię? Długo trenowaliście ten numer?

Marta otrzepała Sewerynowi plecy z piachu i liści, które przyczepiły się do jego bluzki. Nagle oboje poczuli konsternację i wstyd.

– Wybaczcie nam ten kawał – zaczął chłopak. – Faktycznie głupi pomysł przyszedł nam do głowy. No już! Nie gniewajcie się! Bawimy się dalej. – Seweryn sięgnął po wcześniej upuszczoną butelkę piwa i wyciągnął ją w górę. – Za koniec studiów i nowe życie! – zaintonował, wznosząc toast.

Po kilku minutach nikt z nas już nie pamiętał o tym dramatycznym incydencie. Impreza rozkręciła się na nowo i zapowiadała się całonocna biba na najwyższym poziomie.

– Jak ci się układa z Krzyśkiem? – Uchwyciłem kątem ucha, jak Eliza zagadnęła Anetę, która właśnie przyniosła z domu kolejną porcję sałatki w dużej, czerwonej misce.

Ta czujnie spojrzała na koleżankę, węsząc podstęp w tym pytaniu, ale za chwilę uśmiechnęła się szeroko.

– Idealnie – odpowiedziała. – Myślę, że to jest ten jedyny, na całe życie.

– Oooo. – Eliza trochę się zdziwiła, a trochę szczerze ucieszyła. – No to gratulacje! Pobierzecie się?

– No pewnie tak... – Aneta skromnie spuściła wzrok. – Musimy tylko zbierać trochę kasy. Wiesz, wesele dużo kosztuje. I jeszcze mamy do spłacenia kredyt za studia... No i trzeba gdzieś zamieszkać. A to są niemałe pieniądze. – Dziewczyna westchnęła ciężko.

Jej rozmówczyni ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Tak, wiem, wszystko drożeje – stwierdziła tylko. – Ja z kolei nie wiem, kiedy spotkam kogoś naprawdę interesującego...

Eliza nie zdążyła dokończyć zdania, bo w pewnym momencie wszyscy, stojąc wokół ogniska, ryknęliśmy ogłuszająco jeden przez drugiego:

– Trzy!

– Dwa!

– Jeden!

– Start!!!

Na tę komendę podnieśliśmy jednocześnie do ust ostatnie pełne butelki piwa i zaczęliśmy pić duszkiem w szaleńczym wyścigu. Po chwili do mety pierwszy dotarł Seweryn i głośnym beknięciem oznajmił zwycięstwo w konkursie. Pozostała trójka chłopaków z trudem dopiła swoje butelki i już wszyscy razem beknęliśmy oblesnie, pieczętując koniec rywalizacji.

– Co za świnię. – Marta z oburzenia aż się wzdrygnęła, patrząc na nas spod byka.

– Faceci... – Aneta westchnęła z dezaprobatą. – Trzeba się z tym pogodzić. Choć mają też swoje zalety. – Uśmiechnęła się i z komiczną miną pokazała ruchem biodrami charakterystyczny gest symbolizujący kopulację.

Dziewczyny wybuchnęły serdecznym i nieskrępowanym śmiechem.

– Kurde, muszę coś zjeść, bo mnie to piwo wychłodziło. – Seweryn dopadł do miski z sałatką i nałożył sobie wielką porcję na plastikowy talerzyk.

– Jedz, jedz – zażartowała Eliza. – W końcu zmartwychwstałeś. Na pewno umierasz z głodu.

Po raz kolejny ryknęliśmy gromkim śmiechem, który dorównywał swoją mocą rytmicznej muzyce dochodzącej z głośników.

Seweryn wcinał, aż uszy mu się trzęsły, muzyka grała, balanga osiągała swoje apogeum. Towarzystwo było coraz bardziej pijane, bo przeszliśmy już na cięższe alkohole i sięgaliśmy do zapasów stojących pod drzewem, rozlewając whisky i wódkę do plastikowych kubków.

Wydawało się, że już nic złego się nie stanie.

Jednak byliśmy w koszmarnej błędzie.

* * *

W pewnej chwili wszystko diametralnie się zmieniło. Niespodziewanie doznaliśmy nieprzyjemnego uczucia *déjà vu*.

Seweryn nagle przestał jeść, upuścił talerz i w teatralnym geście złapał się za gardło. Natychmiast poczerwieniał na twarzy. Nie mogąc złapać po-

wietrza, zaczął przewracać oczami i dawać znaki rękami, że potrzebuje pomocy. Oczy wyszły mu z orbit.

Reszta ekipy spojrzała na niego z obojętnością.

– Nie no, już bez takich! – oburzył się Michał. – Drugi raz nie nabierzemy się na ten sam numer, stary! – dodał wyraźnie już podpity, trzymając sporą szklankę wypełnioną po brzegi burbonem.

– Chyba was pokręciło! – Eliza postukała się w czoło. – Nudzicie się?!

Nikt poza mną nie zwrócił uwagi na Martę, która stała jak słup soli i z szeroko otwartymi oczami patrzyła na krztuszącego się przyjaciela. Zainteresowało mnie to, ale jeszcze nie wiedziałem, skąd takie zachowanie u naszej koleżanki.

– Nie! – krzyknęła. – Nie umawialiśmy się na drugi żart! Seweryn! Znów udajesz?

Ten spojrzał z wysiłkiem na dziewczynę i pokręcił przecząco głową. Twarz miał już prawie filetową z wysiłku i braku tlenu.

Marta momentalnie do niego dobiegła.

– Seweryn! Co ci jest?! – zapytała dramatycznie. – Utknęło ci coś?!

Ten opadł ciężko na kolana. Zacharczał bez sił.

– Ratujcie go!!! – Marta próbowała go podnieść, ale nie dała rady. Seweryn powoli zaczął tracić przytomność. Osunął się bezwładnie na jej ręce.

Pozostali podchmieleni członkowie grupy wrócili do swoich rozmów i zajęć, kompletnie ignorując odbywającą się scenę. Przecież widzieliśmy to już kilkanaście minut temu. Nikt nie nabiera się drugi raz na taki sam numer. Nawet ja wróciłem do ogniska i wziąłem do ręki długi badyl z zaczepioną na jego końcu kiełbasą, kierując ją w stronę ognia.

– Błagam was!!! – krzyczała Marta przez płynące szerokim strumieniem łzy. – On nie udaje!!! Coś mu się stało!!!

– Naprawdę są nieźli. – Z podziwem pokręciłem głową, zerkając na Seweryna i Martę. – Powinni się zastanowić nad karierą aktorską. – Czulem, że kręci mi się w głowie od wypitego alkoholu.

– Tak – podsumował Krzysiek lekko już bełkoczącym głosem. – Role dramatyczne mają obcykane.

Po raz kolejny wybuchliśmy śmiechem, dobrze się bawiąc. I od razu wychyliliśmy kolejną porcję alkoholu.

– Pomóżcie! – zawodziła Marta coraz ciszej, trzymając w dłoniach głowę udającego nieprzytomnego Seweryna. – On umiera! On naprawdę umiera...

Michał rzucił spojrzeniem na leżącego na ziemi kolegę i wtedy zauważyłem, że coś go tknęło. Odłączył się od nas i podszedł niepewnie. Kucnął przy płaczącej Marcie i trącił ostrożnie w ramię leżącego na ziemi kolegę.

– Hej! Wstawaj już – powiedział. – Drugi raz ten kawał się nie uda.

Seweryn nie zareagował.

– No wstawaj! – powtórzył głośniejszym głosem. – Bo się przeziębisz!

Marta podniosła na Michała zaczerwienione oczy i wyszeptała:

– On już nie żyje. Zabiliście go.

Michał spojrzał na nią coraz bardziej zdziwiony i w pewnym momencie nagle coś do niego dotarło. Szarpnął Seweryna mocniej. Potem znów.

– To nie żart? – zapytał słabym głosem.

Marta rozplakała się histerycznie i pokręciła przecząco głową.

– Hej, człowieku!!! Wstawaj!!! – wrzasnął dramatycznie chłopak. – Wstawaj, kurwa!!!

Nagle rozmowy ucichły.

Zaciekawieni odbywającą się sceną podeszliśmy w stronę przyjaciół.

– Co się tu dzieje? – zainteresował się Krzysiek, mrugając intensywnie zamglonymi od alkoholu oczami.

– No właśnie – zawtórowałem. – Przedstawienie trwa dalej czy co?

Marta skoczyła na równe nogi.

– Żadne, kurwa, przedstawienie! – ryknęła na mnie i rozczapierzyła palce rąk, jakby chciała mi się rzucić do gardła. – On naprawdę nie żyje! Nie chcieliście mu pomóc! Dranie!!!

– Zaraz, zaraz! – Eliza, najmniej zamroczone alkoholem, szybko przedarła się przez stojących biernie kolegów. Kucnęła przy leżącym kumplu. – Seweryn! Słyszysz mnie?! – Nerwowo przyłożyła rękę do czoła nieprzytomnego, a drugą dłonią chwyciła za jego nadgarstek. Z wyrazem konsternacji na twarzy szukała pulsu. Po chwili wyraźnie zdenerwowana puściła rękę Seweryna i gwałtownie przyłożyła ucho do jego ust, nasłuchując niecierpliwie.

– Słuchajcie! – krzyknęła rozziewając. – On nie ma pulsu! Nie oddycha!

– Jak to, kurwa?! – Już mocno przestraszony przypadłem do niego na kolanach i odtrąciłem brutalnie Elizę. Sprawdziłem dokładnie to samo, co ona przed chwilą. Nagle wrzasnąłem przerażony: – Faktycznie!!! Szybko! Ratujmy go!!! – Nie zastanawiając się nawet, czy ma to w tej sytuacji jakiś sens, zacząłem robić masaż serca. Piętnaście ucisków, potem dwa wdechy. Do akcji momentalnie włączyła się Aneta. Te same szybkie, nerwowe czynności. I znów powtórzenie.

– Szybciej!!! – Usłyszałem czyjś dramatyczny głos zza pleców.

– Wyłączcie tę muzykę, do cholery!!! – zniecierpliwiała się Eliza.

Ktoś dotarł do sprzętu i bezceremonialnie wyciągnął wtyczkę z prądu. Zapadła nieznośna cisza przerywana chlipaniem Marty oraz naszymi nerwowymi oddechami, kiedy próbowaliśmy przywrócić do przytomności naszego przyjaciela. Ognisko wesoło trzaskało, rzucając na nas pomarańczowe, ciepłe refleksy.

– Jeden, dwa, trzy, cztery... – sapiałem już mocno zmęczony.

Pozostałe osoby stały bezczynnie, nie wiedząc, jak się zachować.

– Zmieńcie mnie! Już nie mam siły! – poprosiłem w końcu resztę grupy.

Michał, wyrwany w końcu z osłupienia, zastąpił mnie i dołączył do Anety, podejmując dalszy ciąg czynności ratowniczych. Co chwilę sprawdzali puls i oddech. I znów ten sam zestaw ucisków i oddechów. Ale oni też szybko tracili siły. Powoli docierała do nas przerażająca prawda. W tej chwili szalony imprezowy nastrój zastępowały mrozący krew w żyłach strach i przerażenie.

– Nie! Nie! Nie! To się nie dzieje naprawdę! – Eliza próbowała zanegować rzeczywistość. – To tylko sen. Za chwilę się obudzimy i wszystko będzie dobrze. Tylko spokojnie, oddychaj!

Wyraźnie zaczęła panikować. Jej oddech przyspieszył i wyglądało na to, że za chwilę zemdleje z emocji. Michał z Anetą, już coraz bardziej zrezygnowani i zmęczeni, w końcu się poddali, przerwali reanimację i opadli bezsilnie na ziemię.

Michał ze łzami w oczach spojrzał na naszą grupę wpatrzoną niemo w bezwładnego kumpla.

– On nie żyje. Już nic mu nie pomoże. Przepraszam... – wyszeptał.

Marta ponownie rozdarła ciszę głośnym, wstrząsającym płaczem.

Staliśmy w osłupieniu, nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą zaszło. Wciąż nie docierało to do nas, mimo że widzieliśmy wszystko na własne oczy.

– Ja pierdołę! – Aneta ukryła twarz w dłoniach. – Ja pierdołę!

Michał powoli dochodził do siebie. W końcu wstał z klęczek. Spojrzałem na niego nieprzytomnie.

– I co my teraz zrobimy? – zapytałem słabo.

– Cholera, nie wiem – odpowiedział równie głupio.

Eliza podeszła do rozedrganej Marty i objęła ją mocno.

– Ma ktoś jakieś środki uspakajające? – zapytała nas przez łzy. – Trzeba jej coś dać, bo jest cała rozdygotana.

– Dzwońcie po policję i po karetkę – zaproponował Krzysiek, który już otrzeźwiał na tyle, by zdać sobie sprawę z tego, co się stało.

– I po chuja? – odpowiedział zaczepnie Michał. – Co im powiesz? Że olałiśmy kumpla, który zaczął się dusić, biorąc to za żart? Jeszcze oskarżą nas o brak udzielenia pomocy i nieumyślne spowodowanie śmierci. Chcesz za to beknąć?

Spojrzeliliśmy na niego, kompletnie nie wiedząc, co mu odpowiedzieć. Ani co dalej mamy zrobić.

– Ale jak do tego w ogóle doszło? – zapytała drżącym głosem Aneta. – Co mu się stało? Zakrztusił się czy co?

– Cholera, nie wiem... – odpowiedział Michał. – Może był na coś uczulony?

Jak na komendę wszyscy spojrzeliśmy na Martę, która w objęciach Elizy drżała i płakała. Zauważyła spojrzenia pozostałych.

– Co? – zapytała, pochlipując.

Wszyscy wbiliśmy w nią wzrok, wyczekując odpowiedzi.

– Czy był na coś uczulony? – powtórzyła jak echo. – Chyba na orzeszki ziemne. Ale mówił wam przecież, prawda?

Tym razem jak na komendę popatrzeliliśmy na Elizę.

– W mordę! – Pierwszy odezwał się Michał. – W życiu o tym nie słyszałem. Mówił wam coś na ten temat?

Bezwiednie wzruszyłem ramionami.

– Ale jakie to ma teraz znaczenie! Przecież nie jedliśmy orzechów! – parsknąłem.

Michał nagle się ożywił. Złapał się za brodę, jakby coś mu przyszło do głowy.

– Co on jadł? – zapytał, ale nikt mu nie odpowiedział.

Wszyscy byliśmy cały czas w szoku, więc takie przyziemne pytanie kompletnie do nas nie dotarło.

– No co on jadł, do cholery!?! – krzyknął do dziewczyn.

Eliza spojrzała na ziemię, tam, gdzie leżał porzucony talerz Seweryna.

– Sałatkę, tak jak wszyscy – stwierdziła spokojnie.

– Kto ją robił?! – Michał był coraz bardziej zdenerwowany.

– Aneta przygotowała zarcie. – Eliza spojrzała na swoją koleżankę, która teraz z narastającym zdziwieniem rozglądała się po kolegach.

– No ale ja tam żadnych orzechów nie dawałam – wyjaśniła rozbijając. – Były pomidory, ogórek, sałata, papryka, pestki dyni...

– Co?! – Michał przerwał jej bezceremonialnie i podszedł szybko do dziewczyny. – Pestki dyni??? – Złapał ją za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć.

– Tak, pestki dyni! No ale to nie są orzechy, do diabła! – odparowała gwałtownie Aneta. – Odczep się!

– Gdzie jest opakowanie po tych pestkach?! – rzucił wściekle Michał. – No mów, kobieto!!

Aneta straciła dłonie kolegi i wyraźnie obrażona skrzyżowała ręce na piersiach.

– W koszu! A gdzie ma być?!

Michał, jakby dostał zastrzyk energii, pognał w stronę willi. Po chwili wrócił, trzymając w dłoniach szary kosz na śmieci. Ze wściekłością wysypał całą zawartość na ziemię i zaczął nerwowo rozgarniać resztki. W końcu znalazł poszarpane foliowe opakowanie po pestkach. Zaczął czytać:

– „...może zawierać śladowe ilości orzechów, w tym orzeszków ziemnych”. – Mordercze spojrzenie, jakim w tym momencie obrzucił Anetę, spowodowało, że dziewczyna w mgnieniu oka pobladła. Dało się to zauważyć nawet przy migotliwym świetle ogniska. – Przeczytałaś to, co było na opakowaniu?! – wrzasnął na nią. – Przeczytałaś?!

– Odwal się! Skąd mogłam wiedzieć?! – odgryzła się cała wściekła na niego.

– Ty idiotko!!! – Gwałtownie ruszył w jej stronę.

Krzysiek nagle zastąpił mu drogę.

– Zostaw ją! – Zdziwiająco mocno odepchnął Michała, aż ten stracił równowagę i upadł na ziemię.

Razem z Elizą doskoczyłem do przyjaciół, zapobiegając dalszej eskalacji emocji.

– Uspokójcie się! Przecież to był wypadek! Nikt nie chciał celowo zrobić mu krzywdy! – krzyknęła Eliza.

Siedzący na ziemi Michał walnął z wściekłością pięścią w piach.

– Kurwa!!! – zaklął głośno.

– Uspokójmy się... – zacząłem, bo chciałem wyciszyć emocje. – Zastanówmy się, co teraz zrobić.

– Już mówiłem, dzwońmy po policję i po karetkę – powtórzył z uporem Krzysiek.

Zapadła cisza. Nawet Marta siedziała w milczeniu na przewróconym konarze drzewa. Wydawało się, że wyplakała już wszystkie łzy. Widać było, że z bezsilności i żalu nie jest w stanie wydusić z siebie słowa.

– Nie – powiedział cicho Michał.

Wszyscy na niego spojrzeli.

Nasz kolega powoli wstał z ziemi i otrzepał spodnie.

– Nie dzwońmy. – Spojrzał na nas smutno.

Poczułem, że sytuacja wymyka się nam spod kontroli. Co gorsza, cały czas byłem pod wpływem alkoholu. Cały świat wirował mi przed oczami.

– Co proponujesz? – zapytałem podejrzliwie, bo nie spodobało mi się to, co przed chwilą od niego usłyszałem.

W odpowiedzi Michał wciągnął ze świstem powietrze.

– Musimy pozbyć się ciała – wyszeptał.

* * *

– Chyba Cię pojebało, człowieku!!! – wrzasnąłem na Michała, przewracając oczami. – Co ty? Filmów się naoglądałeś? Przecież to nasz przyjaciel!!!

– Jak to pozbyć się ciała? – Eliza nie wierzyła w to, co przed chwilą usłyszała.

Michał podszedł do nas spokojnie. Był teraz niezwykle opanowany. Mówił trzeźwo i rzeczowo.

– Zastanówcie się – wyjaśnił. – Jemu już nie pomożemy, ale sobie możemy mocno zaszkodzić. Gdzie znajdziesz dobrą pracę – zwrócił się prosto do mnie – jeśli przykleją ci łatkę policyjnego dochodzenia? Myślisz, że tak łatwo się z tego wyślizgamy?

– Ludzie, ale o czym my mówimy?! – Marta nagle zerwała się na równe nogi. – Chyba nie chcecie tak tego załatwić?! Przecież to Seweryn. To nasz przyjaciel, a nie kawałek mięsa!

Zapadła cisza. Krzysiek zrobił krok do przodu i popatrzył na nas uważnie.

– Michał ma rację – odezwał się w końcu. – To jedyne bezpieczne rozwiązanie. Nie będę ryzykował kariery zawodowej. Odwołuję mój pomysł z policją i karetką. Ukryjmy ciało.

Marta aż podskoczyła.

– Nie no, czy wy w ogóle się słyszycie?! Przecież to jakiś koszmar!!! Kurwa!!! Ludzie!!! – Znow zaczęła histerycznie płakać, cała się trzęsąc.

Aneta podeszła do Marty, wyciągnęła do niej rękę i popatrzyła jej prosto w oczy.

– Oni mają rację. Nic już nie możemy zrobić. Seweryn nie żyje i to w dodatku przez nasz błąd. Wszyscy jesteśmy winni. Teraz musimy myśleć o sobie.

Ja sam byłem w szoku i nie wiedziałem, co o tym sądzić. Zostałem zagłuszony głosem rozsądku pozostałych. Nawet nie próbowałem się odezwać, by zanegować pomysł Michała. Ja i Marta nie mieliśmy wystarczającej siły przebicia, potrzebnej do zawetowania tego, co ustaliła reszta.

Michał odetchnął głęboko, spojrzął na nasze spanikowane twarze i wtedy przejął inicjatywę.

– No dobra! Nie ma co debatować! Zbieramy wszystkie rzeczy! Pomóżcie mi uprzątnąć teren! – zarządził nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Dziewczyny, spakujcie wszystkie rzeczy i pozbierajcie śmieci. My zajmiemy się zwłokami. No już! Nie ma czasu! Za piętnaście minut ma nas tutaj nie być!

Marta próbowała protestować. Krzyczała histerycznie, że tak nie można, że to nie po ludzku. Pozostałe dwie dziewczyny nie dały jej jednak żadnej szansy na dalszy sprzeciw. Niemalże siłą zabrały ją do willi.

Przytaszczyliśmy sporych rozmiarów kamień i z niemałym trudem przywiązaliśmy go za pomocą liny holowniczej do martwego już ciała. Potem

zaciągnęliśmy obciążone zwłoki na pomost. Z wysiłkiem doszliśmy do końca drewnianej, trzeszczącej konstrukcji i na trzy wrzuciliśmy z głośnym chłupotem nieżyjącego przyjaciela do zalewu. Po chwili obciążone zwłoki zniknęły pod wodą. Staliśmy jeszcze przez chwilę, dysząc ciężko i patrząc, jak czarna woda uspakaja się pod naszymi stopami.

– Żegnaj. – To jedno słowo, wypowiedziane bardzo cicho przez któregoś z nas, wystarczyło za całe pożegnanie.

Potem spojrzeliśmy na siebie niepewni i przerażeni tragicznym zakończeniem tej imprezy.

– Dogaśmy ognisko i spieprzajmy stąd.

Pięć minut później trzy samochody ruszyły gwałtownie spod willi, sypiąc piaskiem spod kół i wznosząc tumany kurzu.

Po chwili już nas tam nie było.

Rozdział 1

Szok był tak ogromny, że właściwie nie pamiętam zbyt dobrze tych kolejnych dni po wydarzeniach nad zalewem. Gnani paniką i przerażeniem wróciliśmy przed czasem do domów, tłumacząc mętnie rodzinom i partnerom, że weekendowa impreza z jakichś obiektywnych powodów się nie udała i musieliśmy wrócić wcześniej. To utkane na szybko wyjaśnienie, że ktoś się pomylił z rezerwacją willi, przez co w rezultacie skróciliśmy nasz wyjazd, na razie wystarczyło.

Nie wiem, jak pozostali z naszej grupy, ale ja przeżyłem wtedy najgorsze dni w moim życiu.

Tragiczne doświadczenie śmierci Seweryna oraz świadomość, że nie mogliśmy mu na czas, bo przez bierne obserwowanie rzekomego żartu pozwoliliśmy losowi bezpardonowo rozprawić się z jego życiem, nie dawało mi spokoju. Nie mogłem jeść, nie mogłem spać, nie mogłem normalnie funkcjonować.

Dopóki tamtej nocy we krwi krążyły alkohol i adrenalina, nie do końca zdawałem sobie sprawę z tego, co się tak w rzeczywistości stało. Bezrefleksyjnie poddałem się decyzjom spanikowanej grupy ludzi. Ale dopiero teraz, gdy emocje już opadły i zostałem sam ze swoimi myślami, zrozumiałem, jakiego czynu się dopuściliśmy.

Nie wiem, jak inni funkcjonowali w tym samym czasie, bo nie miałem nawet krzty odwagi, żeby zadzwonić czy chociaż napisać wiadomość z zapytaniem o ich samopoczucie.

Wciąż zadawałem sobie pytanie, jak do tego mogło dojść? I chodziło mi nie tylko o samą śmierć naszego przyjaciela, ale przede wszystkim o podjętą przez nas decyzję pozbycia się jego ciała i ucieczkę z miejsca wypadku.

Dopiero teraz zaczynało mnie ogarniać prawdziwe, paraliżujące przerażenie. Miałem świadomość, że przecież rodzina i znajomi wkrótce zaczną szukać zaginionego Seweryna i wcześniej czy później znajdą jego zwłoki. Że nad zalewem, w tej nieszczęsnej willi, nawet średnio rozgarnięta grupa dochodzeniowa policji szybko znajdzie ślady przerwanej imprezy i cały zestaw naszych śladów DNA prowadzących na pomost, z którego zrzuciliśmy ciało.

Jak mogliśmy pomyśleć, że takie rozwiązanie przyniesie jakiegokolwiek pozytywne rozwiązanie tej sytuacji? Już lepiej by było, gdybyśmy zadzwonili wtedy po policję oraz wezwali pogotowie, a potem szczerze przyznali się do wszystkiego. Przecież to był nieszczęśliwy wypadek, nic więcej!

Teraz, nawet jeśli będziemy mieli dużo szczęścia, to i tak zostaniemy pociągnięci do odpowiedzialności. Nie ma szans, aby to się dobrze dla nas skończyło.

Ale z nas kretyni!

Spanikowana, pijana grupa debili być może właśnie zniszczyła sobie życie!

* * *

Zatapiałem się coraz bardziej w kosmatym otępieniu, gdy po weekendzie zostałem z niego wyrwany niespodziewanym sygnałem dzwonka telefonu.

To był Michał.

Obgryzając nerwowo paznokcie, przez dobrą chwilę się zastanawiałem, czy w ogóle odebrać przychodzące połączenie. Najchętniej dałbym nogę z tego kraju i uciekł przed odpowiedzialnością, konsekwencjami i wymiarem sprawiedliwości. Jak tchórz.

Po sześciu sygnałach telefon zamilkł, a ja odetchnąłem z ulgą.

Niestety po chwili znów zabrzmiał charakterystyczny sygnał dzwonka imitującego dźwięk starego telefonu. Michał dobijał się do mnie uparcie, a ja, zrezygnowany, w końcu przesunąłem palcem po wyświetlaczu i odebrałem połączenie.

– Halo – zachrypiałem niepewnie.

– Radek! Tu Michał! – Głos po drugiej stronie linii brzmiał szybko, nerwowo. – Słuchaj, policja była u mnie! Znaleźli zwłoki Seweryna! Jadą też do ciebie!

Poczułem, że zaraz się przewrócę. Przed oczami zobaczyłem ciemne plamy.

– Halo! Radek! Jesteś tam, do cholery?! – Michał brzmiał coraz bardziej natarczywie.

– Taak, jestem... – odpowiedziałem słabo.

– Słuchaj mnie uważnie! Musimy zeznawać dokładnie to samo! Powiedz, że byliśmy na imprezie, ale Seweryn odłączył się od nas przed północą i pojechał na drugą stronę zalewu, żeby spotkać się z jakąś nową dupą, OK? Rozumiesz? Nie było go z nami przez pół nocy! Nie wrócił do rana.

Milczałem. Mój umysł bardzo powoli, jakby w zwolnionym tempie przetwarzał te informacje. Zastanawiałem się nad tym, co przed chwilą usłyszałem od Michała. Czy to się w ogóle trzymało kupy?

– Radek! Kurwa! Słyszałeś mnie?! Rozumiesz?! To ważne! – Michał prawie krzyczał.

– Tak, ale... – zacząłem niepewnie. – Przecież wrzuciliśmy go do wody obok willi. To się nie klei z historyjką, że pojechał na drugą stronę zalewu...

– Ach! Nie powiedziałem ci! – Cmoknął nerwowo. – Zwłoki znaleźli parę kilometrów dalej. Widocznie kamień musiał się obłuzować i pewnie ciało wypłynęło na powierzchnię. No wiesz, niesione prądem dopłynęło do sąsiedniej miejscowości.

Potrzebowałem kilku sekund, by przetrwać te informacje, bo w tej chwili mój mózg działał z dużym opóźnieniem. Nie byłem tak nakręcony jak Michał, krzyczący do mnie z drugiej strony linii.

– Radek! – Michał znów wybudził mnie z zamyślenia. – Potwierdź, że rozumiesz! Przekaż im dokładnie tę wersję, a wszystko będzie dobrze! Muszę się rozłączyć, dzwonię do innych! Cześć!

Gdy połączenie się urwało, zostałem sam na sam ze swoimi myślami i uparcie powracającą paniką. Co będzie, jeśli mimo uzgodnionej wersji ze znań policja jednak dopatry się nieścisłości, a oględziny na miejscu wykazą, że byliśmy zaangażowani w śmierć Seweryna? I czy w ogóle wszyscy opowiedzą tę samą historię na przesłuchaniach? Co wykaże sekcja zwłok?

Nie miałem czasu, by dalej się nad tym zastanawiać, bo faktycznie, zgodnie z zapowiedzią Michała, funkcjonariusze pojawili się u mnie dość szybko.

Do mojej kawalerki weszło dwóch mundurowych policjantów z komendy rejonowej. Od razu przeszli do rzeczy.

– Panie Rozbicki, kiedy ostatnio widział pan Seweryna Lemana, z którym studiuje pan na Uniwersytecie Warszawskim? – Starszy i poważniej wyglądający aspirant bezlitośnie mi tym pytaniem uzmysłowił, że na mój temat wiedzą już wszystko.

Pociły mi się dłonie, a serce biło szybciej niż zwykle.

– W ostatni piątek wieczorem. – Starłem się za wszelką cenę, by mój głos brzmiał spokojnie, ale i tak dało się w nim wychwycić drżenie. – A coś się stało? – Próbowałem udąć zaskoczenie.

– Gdzie się widzieliście? – Drugi z funkcjonariuszy, wyraźnie młodszy policjant, który obojętnie zbył moje pytanie, spojrział na mnie twardo. Na jego pagonach rozpoznałem stopień sierżanta.

Nabrałem głęboko powietrza, być może zbyt wyraźnie, czego zaraz pożałowałem.

– Nad Zegrzem – wystrzeliłem. – Wynajęliśmy domek. Pojechaliśmy uczcić zakończenie studiów.

– Czy był tam ktoś jeszcze?

– Tak, cała nasza paczka z grupy. Poza mną i Sewerynem jeszcze pięć innych osób.

– Ile czasu tam spędziliście?

– Byliśmy tam tylko jedną noc, z piątku na sobotę – wyjaśniłem.

– Czy Seweryn Leman był tam z wami przez cały ten czas?

Pamiętając o ostrzeżeniu Michała, przygotowałem sobie wcześniej w myślach odpowiedź.

– Nie.... Z tego, co pamiętam, to jakoś jeszcze przed północą pojechał taksówką spotkać się z nowo poznaną dziewczyną. Umówili się chyba przez Tindera czy inną aplikację – skłamałem.

– A o której wrócił? – Aspirant drążył temat.

– No właśnie nie wrócił już do nas – skłamałem po raz drugi. – Czy coś się stało? – zapytałem po raz kolejny.

– I nie zaniepokoiło was, że nie dawał znaku życia i nie pojawił następnego dnia? – Sierżant wyglądał na zmęczonego i znużonego rozmową.

– Nie... – Udałem zdziwionego. – Seweryn to bardzo towarzyski człowiek, często zmienia lokalizacje podczas imprez. Założyliśmy, że tak dobrze się bawi z nową dziewczyną, że zapomniał o całym świecie.

Policjanci popatrzyli na mnie bez słowa.

– Czy Sewerynowi coś się stało? – powtarzałem do znudzenia.

Aspirant chrząknął i mlasnął językiem.

– W poniedziałek po południu znaleziono jego zwłoki dryfujące u brzegu Zalewu Zegrzyńskiego, na wysokości miejscowości Białobrzegi – powiedział w końcu starszy z policjantów.

W tym momencie nawet nie musiałem specjalnie się zmuszać do grania zaskoczonego i przestraszonego, bo kiedy usłyszałem to zdanie padające z ust policjanta, przeżyłem na nowo tamtą tragedię.

– Jak to? – wyszeptałem. – To niemożliwe... Jak to się stało?

– Tego jeszcze nie wiemy, dziś zaczęliśmy postępowanie śledcze – podsumował sierżant, baczenie patrząc mi w oczy.

Inicjatywę przejął aspirant, który, przestępując z nogi na nogę, wyraźnie chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Czy tego wieczoru zauważył pan coś charakterystycznego, coś niepokojącego w zachowaniu pana kolegi? Czy przypomina pan sobie jakiś nietypowy szczegół? Mówił coś o tej nowej dziewczynie?

– Nie.... Zachowywał się normalnie. To znaczy jak na niego – powiedziałem powoli, starając się odpowiednio dobierać słowa. – Seweryn jest... To znaczy, był... zawsze bardzo towarzyski, energiczny, dużo rzeczy robił jednocześnie. Miał chyba takie ADHD. Nawet nikt się specjalnie nie zdziwił, że spontanicznie pojechał do tej laski.

Policjanci popatrzyli na siebie. Starszy zapisał coś w notatniku. Przeszedł mnie dreszcz i poczułem, jak pot ścieka mi po karku. Czyżbym powiedział za dużo? A może Michał mówił coś zupełnie innego?

„Cholera!” – zakląłem w duchu.

– Na teraz to nam wystarczy – odezwał się młodszy z gliniarzy. – Niech pan spokojnie się zastanowi przez najbliższe godziny nad szczegółami, może pan sobie coś jeszcze przypomni. Proszę stawić się jutro w naszej komendzie, złoży pan oficjalne zeznanie do protokołu. Tutaj ma pan wezwanie i adres. – Podał mi małą karteczkę z wypisanymi danymi.

Następnie obaj funkcjonariusze pożegnali się i wyszli.

Padłem bez sił na łóżko i przeleżałem beczynn timer parę ładnych godzin. Nie miałem siły ani ochoty, by zadzwonić do Michała. On też się do mnie nie odezwał. Tak w sumie było lepiej.

Rozdział 2

Kolejne dni były trudniejsze, niż myślałem.

Odczuwałem stres, towarzyszący oficjalnym zeznaniom podczas mojej wizyty w komendzie policji, niepewność co do tego, czy nie pociągną mnie do odpowiedzialności, i ogromny strach, czy nie wyjdzie na jaw rzeczywisty przebieg wydarzeń... Czy moje lęki nie pogrążą mnie oraz moich przyjaciół? Nie miałem odwagi, by skontaktować się z kimś z naszej paczki. Bałem się, że od tej chwili nasze rozmowy mogą być inwigilowane. Już nawet wspomnienie tej szybkiej rozmowy z Michałem, w czasie której ostrzegł mnie przed policją, wywoływała u mnie paraliż, ale tłumaczyłem sobie, że może jeszcze wtedy gliniarzom nie przyszło do głowy, żeby nas podsłuchiwać.

W środę, pięć dni po tej tragicznej w skutkach imprezie, zrozpaczona mama Seweryna poinformowała nas o dacie pogrzebu. Na szczęście, czy to z powodu jej załamania psychicznego, czy może dlatego, że ktoś z naszej grupy już jej opowiedział zmyśloną historię, którą poczęstowaliśmy także policjantów, nie dopytywała mnie o szczegóły tamtej nocy. Nie wiem, czy byłbym w stanie spokojnie skłamać po raz kolejny.

Pogrzeb naszego przyjaciela, na którym musieliśmy spojrzeć sobie w oczy, stanowił kulminację stresu i stanu depresji, w jaką wpadłem. Podejrzewałem, że większość z nas przeżywała w tamtym czasie jeden z najgorszych momentów w dotychczasowym życiu.

Przez cały pogrzeb dziewczyny płakały cicho. Moi koledzy natomiast z kamiennymi twarzami patrzyli niewidzącym wzrokiem gdzieś ponad drzewami i wydawali się kompletnie nieobecni. Wyglądali, jakby zbudo-

wali wokół siebie niewidzialny mur, którym próbowali odgrodzić się od rzeczywistości.

Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, tylko rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Czułem, że straciłem przyjaciół na zawsze, że tragiczna śmierć Seweryna, do której się przyczyniliśmy, skutecznie nas rozdzieliła, zostawiając głęboką wyrwę w naszych relacjach.

* * *

Kiedy trzy dni później poinformowano mnie, że śledztwo się zakończyło, a za przyczynę zgonu Seweryna uznano utonięcie pod wpływem alkoholu i zakwalifikowano ją jako nieszczęśliwy wypadek, odetchnąłem z ulgą. Szczęśliwie nawet nie zrobili sekcji zwłok, bo prawdopodobnie rodzina się na to nie zgodziła. Domyśliłem się, że nasze zeznania okazały się na tyle spójne i wiarygodne, że nie wzbudziły najmniejszych podejrzeń i sprawę szybko zamknięto.

Teraz mogłem spokojnie przygotować się do egzaminu dyplomowego i o wszystkim zapomnieć. Mimo tego, że dla nas ta historia zakończyła się dobrze, nie miałem już ochoty ani motywacji, by wznawiać kontakt z moimi niegdysiejszymi przyjaciółmi ze studiów. Skończyliśmy edukację, nie mieliśmy już żadnej okazji, by się spotykać, a temat tabu wokół śmierci Seweryna skutecznie nas rozdzielił. Na długie lata.

Rozdział 3

Z upływem czasu ułożyłem sobie życie. Powoli zapomniałem o tamtej piątkowej letniej nocy nad zalewem i wszystko powoli się zamazało, wyblakło, oddaliło się na bezpieczną odległość. Pogodziłem się z faktem utraty kontaktu ze starymi kumplami z uczelni, nawiązałem jednak nowe znajomości, a i codzienne sprawy pochłonęły mnie całkowicie: praca, narzeczona, kupno nowego mieszkania. Już dawno rozgrzeszyłem się z mojego uczestnictwa w tamtym oszustwie, wytłumaczyłem sobie, że nie byłem wtedy w stanie ani zapobiec tragedii, ani później powstrzymać zbiorowej decyzji o upozorowaniu utonięcia. Tak wyszło i tyle.

Na pozór moje życie prywatne toczyło się idealnie.

* * *

Jakiś czas po studiach poznałem Annę, bardzo interesującą i atrakcyjną dziewczynę, z którą wkrótce zacząłem się spotykać. Dostyc szybko oboje zakochaliśmy się w sobie i zaczęliśmy nawet planować wspólną przyszłość. Pracowałem w jednym z największych banków w Polsce i jako analityk systemów sprzedaży miałem zapewniony odpowiedni poziom zarobków, co pozwalało mi na nieco więcej, niż gdybym miał dochód przeciętnego obywatela naszego kraju.

Kupiliśmy z Anią całkiem ładne i dostatecznie duże mieszkanie w niedawno postawionym apartamentowcu na Białołęce, na nowoczesnym osiedlu czteropiętrowych, ładnych bloków. Zamieszkaliśmy ze sobą, oddając się zwyczajnym, prostym czynnościom dwójki kochających się ludzi. Oboje czuliśmy, że znaleźliśmy wreszcie swoje miejsce na ziemi i że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Ale nie wszystko w moim życiu było takie bajkowe.

Moja mama, narzekająca już od dłuższego czasu na bóle brzucha i tłumiąca sobie tę przypadłość zwykłymi problemami z trawieniem, które jest charakterystyczne dla osób starszych, w końcu po moich długich namowach zapisała się na szczegółowe badania i na USG. To, czego się dowiedziała z otrzymanych kilka dni później wyników, mocno ją załamało, a mi uświadomiło, że nic nie jest w życiu tak ważne jak zdrowie. Kiedy zadzwoniła do mnie i grobowym głosem oznajmiła, że badania jasno wskazują na zaawansowaną postać raka żołądka, poczułem, że nogi się pod mną uginają. Taka wiadomość o bardzo poważnej chorobie bliskiej osoby to jedno z najtrudniejszych doświadczeń, jakie mogą spotkać człowieka.

Ania, moja narzeczona i towarzyszka życia, bardzo mi pomogła. Podtrzymywała mnie na duchu i wspierała w tych ciężkich chwilach. Dodatkowo bardzo mocno zaangażowała się w organizację leczenia i załatwiania wszystkich niezbędnych formalności, których wymagali lekarze. Mogła skutecznie pomóc mojej mamie, bo sama pracowała w ochronie zdrowia i co nieco wiedziała o sekretach funkcjonowania polskiego systemu opieki zdrowotnej.

Czekały nas długie i wyczerpujące procesy leczenia, zabiegi, naświetlania, rozmowy z lekarzami, załatwianie szybszych terminów i dodatkowych wizyt w szpitalu, aby jak najskuteczniej wykorzystać znajomości Ani i każdą najmniejszą szansę wyleczenia mojej mamy z nowotworu.

Rozdział 4

Gdy zajęty bieżącymi problemami i zwyczajnym życiem całkowicie zapomniałem o śmierci Seweryna i moim niechlubnym udziale w kłamstwie zmieniającym rzeczywisty przebieg tamtych wydarzeń, przeszłość powróciła jak zły sen, by ponownie upomnieć się o sprawiedliwość.

Pewnego wiosennego sobotniego popołudnia, gdy wraz z Anią odpoczywaliśmy po obiedzie, rozległ się dzwonek do drzwi. W tym dniu nikogo się nie spodziewaliśmy i już wtedy przeszedł mnie dziwny dreszcz, poczułem też nieprzyjemne mrowienie na plecach. Coś na kształt intuicji podpowiadało mi, że zaraz moje życie wywróci się do góry nogami.

Niechętnie podszedłem do drzwi, otworzyłem je...

I zamarłem z przerażenia.

Przed moimi oczami stał... Seweryn Leman. Cały, zdrowy i przede wszystkim żywy. Minęło siedem czy osiem lat, więc wyglądał na starszego, ale zdecydowanie to był on! Dokładnie ten sam, który w konwulsjach dusił się na moich oczach i którego zwłoki z przywiązaniem ciężkim kamieniem wrzuciliśmy do zalewu, a jego ciało znaleziono kilka dni później. Ten, którego pochowano jeszcze tego samego tygodnia i którego gorzko oplakiwaliśmy.

Nie wierzyłem własnym oczom, stałem jak zaczarowany, a Seweryn uśmiechał się lekko, jakby z drwiną. Próbowałem przełknąć ślinę, próbowałem coś powiedzieć, ale suchość w ustach nie pozwoliła mi wydobyć nawet pojedynczego dźwięku. Zamiast tego wyciągnąłem niepewnie rękę w stronę przyjaciela i dotknąłem lekko jego dłoni.

Była zimna, wręcz lodowata, jakby zamrożona.

Nagle twarz Seweryna zaczęła się zniekształcać, jego usta przybrały dramatyczny grymas, rysy twarzy się wykrzywiły, a spomiędzy jego warg wydobyl się przerażający, skrzeczący jazgot, który w zastraszającym tempie przybierał na sile. Poczulem, że zaraz pękną mi bębenki uszu. Zamknąłem oczy i zakryłem uszy rękami.

W tym momencie się obudziłem, cały mokry i przerażony.

– Kochanie. – Ania zaniepokoiła się i teraz patrzyła na mnie z lękiem. – Coś ci się przyśniło?

Usiadłem ciężko na kanapie i odetchnąłem głęboko. Minęło dopiero pół godziny od obiadu. Musiałem przysnąć dosłownie na kilka minut.

– Tak, to tylko zły sen – wyszeptalem. – Musiałem się przejeść. Zaraz mi przejdzie.

Narieczona pogładziła mnie po głowie i czule pocałowała w czoło.

Po chwili doszedłem już całkiem do siebie, a koszmar ulotnił się bezpowrotnie. Odetchnąłem z ulgą. Nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Tym razem naprawdę. Serce zabiło mi szybciej.

– Ja otworzę, Aniu. – Szybko zeskoczyłem z kanapy i podszedłem do drzwi, bo przeczuwałem, że to właśnie ja muszę to zrobić.

Otworzyłem i zdębiałem.

Przed drzwiami stała Marta.

– Cześć, Radek – powiedziała niepewnie i minimalnie drgnęła. Zdawało mi się przez ułamek sekundy, że czegoś się boi i że za chwilę ucieknie, nawet się nie żegnając. – Przepraszam, że nachodzę cię w sobotę – odezwała się już nieco pewniej.

Wyglądała źle. I to nie była kwestia czasu ani lat, które upłynęły. Wciąż byliśmy młodzi. Jej kiepski wygląd wynikał z niedbałego ubrania, byle jak ułożonych włosów, braku minimalnego choćby makijażu. Miała podkrążone oczy i umęczoną twarz, jakby od dobrych kilku dni nie spała.

– Cześć – odezwałem się wreszcie, gdy pierwszy szok minął. – Nie, nic nie szkodzi.

Staliśmy w progu mieszkania, a ja wpatrywałem się w nią pytająco. Marta przestąpiła z nogi na nogę. Nerwowo sięgnęła do twarzy i poprawiła niesforny kosmyk włosów, który spadał jej uparcie na czoło.

– Chcę porozmawiać – powiedziała krótko.

Zza moich pleców doszło mnie zaciekawione pytanie narzeczonej:

– Kochanie, kto to? Ktoś do ciebie?

Zakląłem w duchu. Nie miałem najmniejszej ochoty spędzić choćby jednej sekundy z dawną koleżanką ze studiów, a tym bardziej przedstawiać ją mojej towarzyszce życia, która nigdy się nie dowiedziała o wydarzeniach sprzed lat. Za nic w świecie nie chciałem wracać do przeszłości.

– Nie, nic takiego, Aniu! Zaraz przyjdę! To sąsiadka! – odkrzyknąłem i zamknąłem za sobą drzwi, jednocześnie wychodząc na korytarz.

Po twarzy Marty przebiegł skurcz, a jej sylwetka bardziej się przygarbiła i zmarniała.

– Naprawdę nie chcę przeszkadzać... – zaczęła.

– Po prostu powiedz, co cię do mnie sprowadza – przerwałem jej bezceremonialnie.

Spuściła wzrok. Teraz wyglądała tak biednie, że zrobiło mi się jej żal.

– Daj mi, proszę, kilka minut – wyszeptała. – Chodzi o Seweryna.

Zakląłem w duchu. Po raz kolejny.

– To zamknięty temat i nie ma po co do tego wracać – wystrzeliłem szybko. – Przepraszam cię, jest sobota, mam na dziś plany. – Sięgnąłem po klamkę.

– Radek! – Marta prawie krzyknęła. – Błagam cię tylko o kilka minut, wszystko wyjaśnię!

– Nie ma co wyjaśniać. Przeszłości nie zmienimy. – Spojrzałem na nią twardo.

Ucichła i znów spuściła oczy.

– Masz rację, nie zmienimy – wyszeptała. – Ale możemy wreszcie dowiedzieć się prawdy. – Podniosła na mnie oczy i spojrzała z jakąś nową siłą,

jakby wiedziała coś więcej, jakby poznała tajemnicę, którą musi komuś wyjawić. – Dosłownie kilka minut, proszę.

Westchnąłem głęboko.

– Dobrze – powiedziałem zrezygnowany. – Ale nie tutaj. Nie chcę mieszać w to mojej narzeczonej. Za dziesięć minut w barze Capri. Naprzeciwko mojego bloku.

W oczach Marty błysnęła iskra. Dopięła swego.

– Świetnie – odpowiedziała niemal wesoło. – Wiem, gdzie to jest. Dziękuję ci.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi i oparłem się ciężko o framugę. Zdałem sobie nagle sprawę, że będę tego ciężko żałował. Już zaczynałem.

Rozdział 5

Nie lubiłem kłamać. Zwłaszcza po tamtej historii sprzed lat, kiedy musiałem złożyć fałszywe zeznania na policji, nabrałem permanentnej awersji do kłamstwa. Nigdy nie byłem dobrym aktorem i tym razem też czułem, że Ania nie uwierzyła w moje mętne wyjaśnienia, jakobym pilnie musiał się spotkać z kolegą, który ma jakieś kłopoty rodzinne i chce się wyzalić. Strasznie to było naciągane, ale nie miałem czasu ani pomysłu na coś bardziej wiarygodnego.

O tej porze w barze Capri było już pusto, bo czas kumulacji klientów, czyli pora obiadowa, skończyła się jakiś czas temu. Marta siedziała w kącie sali, przy małym, dwuosobowym stoliku i zamyślona wpatrywała się w filiżankę herbaty, znad której unosiła się słaba smużka gorącej pary.

– Mów, co masz do powiedzenia, mam mało czasu – rzuciłem bez zbędnych wstępów, sadowiac się na niewygodnym krześle.

Dziewczyna spojrzała na mnie zamglonymi oczami i powoli wróciła do rzeczywistości. Gdy się w pełni ocknęła, spojrzała na mnie uważnie. Przyjrzałem się jej. Już wyglądała znacznie lepiej niż kilka minut temu, prawie przypominała tę wesołą i otwartą koleżankę, którą była przed laty. Prawie. Bo smutek w jej oczach i ślady zmęczenia na twarzy nie zniknęły.

– Jeszcze raz przepraszam, że nachodzę cię tak bez uprzedzenia – zaczęła. – Ale musiałam koniecznie się z tobą spotkać, choćby na chwilę.

Machnąłem uspokajająco ręką, pokazując na migi, że nie ma problemu.

– Obawiałam się, że jeśli zadzwonię i powiem, o co mi chodzi, to nie będziesz chciał mnie widzieć – wyjaśniała dalej.

– Spoko – przerwałem jej. – Po prostu przejdź do rzeczy.

Znów dojrzałem niepewność i zakłopotanie na jej twarzy. Poczułem się głupio, że tak chłodno ją traktuję, bo przecież nic złego mi nie zrobiła. To nie jej wina, że staliśmy się ofiarami tej tragedii i nasza przyjaźń się rozpadła oraz że nikt już nie utrzymywał kontaktów ze starą grupą ze studiów.

– Przepraszam, ale naprawdę nie mam zbyt dużo czasu. – Próbowałem się nieporadnie tłumaczyć.

– Okej, rozumiem – skwitowała tylko. – Inni zachowywali się jeszcze bardziej powściągliwie.

Podniosłem w zdziwieniu brwi, ale się nie odezwałem.

– Próbowałam już rozmawiać z Michałem i Elizą – wyjaśniła – ale nie mieli dla mnie nawet tych kilku minut. Nie chcieli się ze mną widzieć. Wszyscy... – zawiesiła głos i spojrzała mi prosto w oczy. – To już są inni ludzie. Ty też.

– A dziwisz się? – zapytałem ironicznie. – Po tym, co się wtedy wydarzyło?

– Nie... Nie dziwię się – potwierdziła krótko.

Spojrzałem za okno na przechodzących ludzi, na przejeżdżające samochody, na oznaki zwyczajnego życia, jakie teraz prowadziłem.

– No dobrze, nie ma co uprawiać filozofii – wróciłem w końcu na ziemię. – Mów.

Marta znów odgarnęła z czoła kosmyk czarnych jak smoła włosów. Pomyślałem przelotnie, że chyba dawno ich nie myła, ale mogłem się mylić. Rozejrzała się podejrzliwie na boki i przybliżyła się trochę do mnie, przysuwając krzesło do stołu.

– Nigdy w to nie wierzyłam – zaczęła ściszym głosem, jakby zaraz miała mi wyjawić największą tajemnicę życia. – Nie wierzyłam w to, że Seweryn umarł przez przypadek.

Prychnąłem głośno. Spojrzałem na nią z politowaniem.

– A niby przez co? – rzuciłem niedbale.

– Myślę – powiedziała wolno – że to było zabójstwo. Dobrze przemyślane i zaplanowane zabójstwo.

Roześmiałem się głośno.

– Dziewczyno – westchnąłem. – Czy ciebie przypadkiem nie pokręciło?

Wbiła we mnie swoje szare oczy. Kiedyś bardzo ładne i głębokie, dziś zmęczone i przygaszone.

– Słuchaj, mam to wszystko dokładnie przemyślane. Nic innego nie robiłam przez te ostatnie osiem lat. Analizowałam każdą sekundę nad tym cholernym zalewem, każdą minę i każdy ruch uczestników tej biby, i miałam wystarczająco dużo czasu, by to wszystko sobie poukładać – wypaliła jak z karabinu maszynowego, prawie na jednym oddechu. – Brakuje mi, co prawda, kilku szczegółów, ale jestem bliska odkrycia prawdy. Radek! Musimy to wyjaśnić! To nie był wypadek! – mówiła takim rozgorączkowanym i podniesionym głosem, że aż się rozejrzałem niepewnie na boki, czy nie wywołujemy jakiegoś zamieszania.

Na szczęście byliśmy w lokalu prawie sami.

– Uspokój się! – syknąłem. – Co ty wygadujesz, do cholery?! Naoglądałaś się filmów czy co?

– Wiem, co mówię – burknęła obrażona. – Posłuchaj moich argumentów, to sam się przekonasz i uwierzysz w to, że ktoś nas wrobił. To nie był wypadek – powtórzyła z naciskiem.

Westchnąłem i pokręciłem z niedowierzaniem głową.

– No to powiedz, jakież to rewelacje odkryłaś – rzuciłem nieco zbyt złośliwie.

Spojrzała na mnie podejrzliwie, zastanawiając się zapewne, czy mówię serio, czy tylko się z nią droczę. Przez dobrą chwilę się wahała, jednak w końcu zdecydowała się mówić.

– Po pierwsze dam sobie rękę uciąć, że Aneta doskonale wiedziała, iż Seweryn jest śmiertelnie uczulony na orzechy, a spożycie choćby śladowej ich ilości może go doprowadzić do wstrząsu anafilaktycznego. Kiedyś, w wąskim gronie, rozmawialiśmy na ten temat przy jakiejś okazji i doskonale pamiętam, że był tam Seweryn i o tym wspominał.

Popatrzyłem na Martę z powątpiewaniem, ale nie skomentowałem tego, co przed chwilą powiedziała.

– Aneta musiała choćby przelotnie rzucić okiem na opis składników dodawanych do sałatek – ciągnęła. – Przecież wszyscy wiedzieliśmy, jaka jest z niej pedantka. Zawsze czytała te ulotki i opisy z pudełek i torebek. To nie był przypadek.

Podniosłem oczy do nieba i pokręciłem z rozczarowaniem głową.

– I to jest ta rzecz, o której myślałaś przez osiem lat? – zapytałem z niedowierzaniem. – I na to marnujesz czas i zdrowie? Nie wierzę...

– Pomyśl tylko na chłodno! Przecież sam tam byłeś i widziałeś to wszystko!

– Chcesz mi powiedzieć, że Aneta z zimną krwią zamordowała Seweryna, dodając świadomie do potraw śmiertelne składniki? – Znów spojrzałem na nią z politowaniem. – A czy nie przyszło ci do tej głowy, że był taki rejwach i rozluźnienie, że faktycznie nie zauważyła tego opisu na paczce pestek? Że byliśmy pod wpływem alkoholu i że na takiej imprezie człowiek nie myśli racjonalnie i rzeczowo, tylko się bawi i odpuszcza sobie bycie pedantem?

– Nie Aneta. – Marta twardo obstawała przy swoim. – Za dobrze ją znałam. I widziałam jej reakcję podczas ratowania Seweryna.

– Marta! – Próbowałem przywołać ją do rzeczywistości. – Minęło kilka lat! Jak możesz pamiętać takie szczegóły? Była przecież wielka impreza, byliśmy pijani! A ty mi teraz wmawiasz, że dokładnie sobie przypominasz zachowanie koleżanki?

– Uwierz mi! – Znów się rozgorączkowała. – Wiem, co mówię. Ty może tego nie zauważyłeś, ale ja mogę przysiąc, że gdy Seweryn zaczął się naprawdę dławić, widziałam, jak Aneta stoi z dala od wszystkich i lekko się uśmiecha. Złośliwie. Jakby osiągnęła jakiś z góry założony plan.

Tego było za dużo. Popukałem się w czoło.

– Bierzesz jakieś dragi? – Naprawdę się zmartwiłem jej stanem. – Może odstaw to już, co?

Marta wyglądała teraz jak zbity pies. Nie wierzyłem jej ani trochę i bardzo ją to przybiło. W kącikach jej oczu pojawiły się duże krople łez, które zaczęły spływać po policzkach, zostawiając mokre ślady. Pociągnęła nosem. Nagle poczułem żal i zrobiło mi się nieswojo.

– No dobrze – westchnąłem. – Założmy, teoretycznie, że to, co mówisz, jest prawdą. To jaki motyw mogła mieć Aneta, żeby zrobić coś tak strasznego? I to na oczach przyjaciół? Ha?

Otarła łzy, sięgnęła po cieką serwetkę z uchwytu stojącego na stole i głośno wydmuchała nos.

– No tego jeszcze nie wiem... – odpowiedziała niepewnie. – Ale mam trop i pomysł, jak się tego dowiedzieć.

Ukryłem twarz w dłoniach. Wziąłem głęboki wdech i natychmiast ze świstem wypuściłem powietrze.

– Jeśli to już wszystko, co chcesz mi powiedzieć, to przepraszam cię, ale muszę już wracać. – Odsunąłem krzesło i zacząłem wstawać od stołu.

Marta nerwowo złapała mnie za ramię. Jej chwyt był silny, stanowczy.

– Proszę, zostań jeszcze chwilę. – Przytrzymała mnie tak długo, aż opałem znów na krzesło. – Jest jeszcze coś. To cię na pewno przekona.

– Myślę, że wątpię. – Skrzywiłem się. – Masz minutę, żeby mnie przekonać. Jeśli nie, to wychodzę.

Wbiła we mnie wzrok.

– Niedbałe dochodzenie, pobieżne przesłuchania, szybkie zamknięcie śledztwa – rzuciła. – To wszystko już wtedy było mocno podejrzané, a z perspektywy czasu mam pewność, że tak nie powinno się robić. Nawet po tych wszystkich latach aż się prosi o ponowne sprawdzenie faktów.

Podniosłem oczy ze zdziwienia.

– Tak, tak. – Marta była stanowcza i pewna siebie. – Pomyśl tylko. Policji wystarczyło jedynie zebrać od nas zeznania, które, dając głowę, były nieśpójne i pełne sprzeczności, i tak po prostu zamknięto śledztwo. Żadnej wizji lokalnej, żadnej sekcji zwłok, żadnych nawet najmniejszych wątpliwości. Po trzech tygodniach zamknęli sprawę, choć aż się prosiło, by zba-

dać tę historię głębiej. Tutaj nie trzeba wybujałej wyobraźni, żeby od razu dostrzec przekręt wysokiego kalibru.

Aż mnie замуrowało.

– Jesteś chora – zawyrokowałem. – Masz jakąś manię i wszędzie węszysz spisek.

Popatrzyła na mnie twardo. Nawet nie mrugnęła okiem.

– Rozumiem, że byliście z Sewerynem najbliższymi przyjaciółmi – powiedziałem już łagodniej, prawie miękko. – Ale nie możesz wpadać w paranoję. Najpierw oskarżasz Anetę o morderstwo, teraz sugerujesz, że policja maczała w tym palce. Wszyscy przeżyliśmy szok, uczestniczyliśmy w ogromnej tragedii, na naszych oczach umarł jeden z naszych przyjaciół. Marta... – Wziąłem jej dłoń w swoją. – Musisz się z tym pogodzić. Najwyższy na to czas. To był wypadek – przeliterowałem to ostatnie słowo.

Mocno zacisnęła usta. Wyglądała na zdenerwowaną... taka milcząca i z wypiekami na policzkach.

– Nie wierzysz mi... – wyszeptała tylko i natychmiast odpłynęła gdzieś daleko.

Była w kiepskim stanie. Zacząłem się o nią poważnie martwić.

– Marta – wyrwałem ją z zamyślenia. – Mogę coś dla ciebie zrobić? Jakoś ci pomóc?

Dziewczyna trwała jeszcze chwilę w tym dziwnym zamroczeniu, ale w końcu wróciła do rzeczywistości. Znów była obecna, ale wydawało się, że teraz jest już za jakimś niewidzialnym murem, którym ogrodziła się od całego świata.

– Tak – odezwała się w końcu nieco twardszym głosem. – Mówiłeś kiedyś, że masz kuzyna w policji. I to dość wysoko postawionego. W komendzie stołecznej chyba?

Aż pokręciłem z dezaprobatą głową, przeczuwając, o co za chwilę zapyta.

– Nawet nie chcę wiedzieć, o co mnie poprosisz. – Liczyłem na to, że zablokuję tę ścieżkę, na którą Marta próbowała koniecznie wejść.

– Masz tego kuzyna? – dopytywała. – To jest już moja ostatnia prośba i więcej nie będę cię nachodzić. Obiecuję.

Przez chwilę walczyłem ze sobą, zastanawiając się, czy już teraz wyjść z baru, czy jeszcze próbować ją przekonać, żeby jednak dała sobie spokój z tą sprawą.

– Tak, ale to daleki kuzyn – odpowiedziałem dość pokrętnie. – Widujemy się raz na rok na jakichś uroczystościach rodzinnych. Właściwie nie mam z nim kontaktu. Tomek jest bardzo zajęтым człowiekiem.

– Przedstaw mnie, proszę – nalegała błagalnie. – O nic więcej cię nie proszę. Pomóż mi i wtedy dam ci spokój.

– Ale po co ci on? – Nie dawałem za wygraną.

– Mam kilka pomysłów, co trzeba sprawdzić – wyjaśniła. – Tylko potrzebuję dostępu do policyjnych archiwów i pomocy kogoś z wewnątrz.

Tego było już za dużo.

Podjąłem decyzję i gwałtownie wstałem od stolika, żeby Marta nie zdążyła zareagować.

– O nie, moja droga! – powiedziałem stanowczo. – Nie będę świecił oczami przed członkami mojej rodziny i przestawiał komukolwiek z nich taką wariatkę jak ty! Dobrze ci radzę, odpuść to sobie i zajmij się swoim życiem. Nie wskrzesisz umarłych. – Odwróciłem się na pięcie i poszedłem w kierunku wyjścia. Nie chciałem już patrzeć na zapłakaną i rozczarowaną twarz dawnej przyjaciółki.

Kiedy wychodziłem już z knajpy, jeszcze zawołała do mnie rozdzierająco:

– Sama odkryję prawdę! Z twoją pomocą lub bez!

Zdecydowanym krokiem wyszedłem z baru i ruszyłem szybko do domu.

Rozdział 6

Przez kilka kolejnych dni myślałem intensywnie o tym dziwnym spotkaniu z Martą i o jej spiskowej teorii dotyczącej śmierci Seweryna. Nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić, co zamierzała dalej zrobić z tym tematem i co tak naprawdę kryje się za tymi jej podejrzeniami. Było mi jej żal, bo na kilometr można było dostrzec, że zawładnęła nią jakaś obsesja i że nie myśli logicznie. Sam naocznie się przekonałem, iż emocjonalne zaangażowanie w tę sprawę wykańczało ją zarówno fizycznie, jak i psychicznie, i według mnie nie była w stanie racjonalnie podejmować decyzji. Maniakalnie wsiąknęła głęboko w temat, ale ja nie zamierzałem tonąć razem z nią.

Na początku odczuwałem uporczywe wyrzuty sumienia i wstyd, że nie chciałem jej wysłuchać do końca, że nie dałem jej szansy na dalsze wyjaśnienia. Szybko doszedłem do wniosku, że takie fantazje i majaczenia tylko marnują czas i energię.

Dobre dwa tygodnie później musiałem jednak boleśnie zweryfikować swoje poglądy na ten temat i chcąc nie chcąc wdepnąłem w śledztwo, jakie podjęła Marta.

Leżałem wykończony po pracy w łóżku, bo tego dnia mieliśmy dość poważny audyt i spędziłem długie godziny na przekopywaniu się przez zlecenia, faktury i rozliczenia dotyczące funkcjonowania mojego działu. Trzymając w dłoni pilota do telewizora, leniwie przerzucałem kanały w poszukiwaniu czegoś interesującego. W końcu moją uwagę przykuł niby to reportaż, niby to dokument o jednej z największych sensacji ostatnich lat, która miała zrewolucjonizować współczesną medycynę.

Chodziło o profesora Ryszarda Nowogrodzkiego, który już dobrych kilka lat temu ogłosił światu, że odkrył rewolucyjny lek pomagający w terapii

pewnych odmian nowotworów, a większość jego prób laboratoryjnych prowadziła do całkowitego wyleczenia badanych pacjentów. Sprawa ta przypominała trochę przypadek profesora Tołpy, który przez całe swoje życie badał lecznicze działanie torfu i po wielu latach badań ogłosił podobnie rewelacyjnie brzmiące wnioski. Wtedy, przed laty, w atmosferze oskarżeń o negatywne działanie specyfiku i braku wystarczających badań laboratoryjnych oraz sprzecznych opinii lekarskich, cały projekt upadł i nie doczekano się tego zbawiennego leku na raka.

Przypadek profesora Nowogrodzkiego okazał się zupełnie innym tematem. Co prawda początki historii były podobne, bo brak wiary lekarskiego środowiska skutecznie rzucał kłody pod nogi odkrywcy nowego medykamentu, ale po głębszym zainteresowaniu kilku uznanych nazwisk lekarzy onkologów i przeprowadzeniu gruntownych badań oraz analiz laboratoryjnych, odtrąbiono sukces i ogłoszono całemu światu przełomową nowinę.

Natychmiast w stronę profesora rzuciło się stado żądnych ogromnego zysku biznesmenów i firm chcących zainwestować w badania, produkcję i w sprzedaż leku. W atmosferze skandali i przepychanek wyłoniono w końcu zwycięskie firmy i w ciągu zaledwie kilkunastu miesięcy postawiono nową fabrykę oraz uruchomiono produkcję. Warunkiem profesora było utrzymanie produkcji leku w Polsce, aby nasz kraj wreszcie mógł zaistnieć na światowym firmamencie i pochwalić się nie tylko epokowym odkryciem, ale także partycypować w zyskach z tego projektu.

Opatentowany i przebadany lek o nazwie Cytozynox spływał teraz z taśm produkcyjnych polskiej fabryki firmy Euronea Med, właściciela leku, po czym trafiał do szpitali na całym świecie. Oczywiście profesor pozostał autorem sukcesu i w pewnym stopniu udziałowcem przedsięwzięcia. Szefował bowiem całemu działowi R&D niedawno utworzonego koncernu i kierował badaniami nad rozwojem nowych odmian leku. Pracował także nad kolejnymi wynalazkami.

Reportaż się skończył, więc przyciszyłem dźwięk i zamyśliłem się głęboko.

Niewątpliwie był to ogromny sukces polskiej nauki, a także, jak pokazywał ten telewizyjny dokument, sukces komercyjny. Pytanie tylko, kto czerpał największe zyski z tego biznesu? Na pewno nie profesor, który dał się zapewne ogłupić przez cwanych prawników i kutyh na cztery nogi biznesmenów, a ostatecznie zadowolili się zapewne naukową częścią projektu. Zresztą jako naukowiec nie dysponował zapewne środkami umożliwiającymi mu partycypację w tej ogromnej inwestycji. Musiał skorzystać z zewnętrznego kapitału i oddać prawa do zarządzania lekiem innym firmom.

Westchnąłem ciężko i zamyśliłem się jeszcze bardziej.

Niedawno wykryty u mojej mamy nowotwór teoretycznie kwalifikował się do leczenia za pomocą tego cudownego leku, ale kolejka oczekujących była tak długa, że po wielu badaniach i konsultacjach zdecydowaliśmy o standardowym, a osiągalnym dla nas, leczeniu chemio – i radioterapią. Istniała co prawda furтка przyspieszenia rozpoczęcia kuracji cudownym preparatem profesora Nowogrodzkiego, ale taka opcja kosztowała bająnskie pieniądze. Po prawdzie pozostawało nam jedynie skorzystanie z dostępnego w tym momencie leczenia i modlenie się o skrócenie czasu oczekiwania na nowy medykament.

Leżałem przez chwilę i mimo nachodzących mnie czarnych myśli próbowałem choć trochę się zrelaksować. Gdy już chciałem wstać i zabrać się za coś konkretnego, zadzwonił telefon. Mój ulubiony dzwonek, fragment utworu instrumentalnego z filmu *Blade Runner 2049*, łagodnie prosił o odebranie połączenia. Utwór Mesa autorstwa Hansa Zimmera był tak obczwładniający i hipnotyzujący, że specjalnie przedłużałem chwilę przesunięcia zielonej słuchawki.

W końcu rzuciłem okiem na ekran. Dojrzałem jakiś nieznany mi numer, więc postanowiłem zignorować połączenie. Wołałem wysłuchać jeszcze kilku taktów utworu, niż usłyszeć kolejny miły głos w słuchawce próbujący sprzedać mi jakieś usługi bankowe lub ubezpieczeniowe.

Ostatnimi czasy takie upierdliwe telefony z ofertami telemarketingowymi nie dawały mi żyć i w pewnym momencie postanowiłem w ogóle nie odbierać połączeń z nieznanym numerów.

Sygnal dzwonka zamilkł, więc odetchnąłem z ulgą.

Po chwili znów zabrzmiał patetyczny ton utworu autorstwa Zimmera. Rzut oka na ekran sprawił, że poczułem irytację, bo znów dzwonił ten sam numer. Westchnąłem z rezygnacją i zdecydowałem jednak odebrać. Z dwojga złego lepiej wysłuchać telemarketera i grzecznie poprosić o usunięcie mojego numeru z bazy danych, niż być narażonym przez kolejne dni na upierdliwe połączenia.

– Słucham? – zagrzemiałem szorstko.

– To ja! Marta! – Nerwowy szept z drugiej strony nagle postawił mnie na nogi.

Tak starałem się zapomnieć o naszej ostatniej rozmowie i o tych dyrdymałach na temat rzekomego zabójstwa Seweryna, że prawie mi się to udało. Ale ten telefon i niespodziewany, dziwny głos Marty skutecznie wytrącił mnie z osiągniętego z niemałym trudem stanu równowagi. Dziewczyna kompletnie mnie zaskoczyła.

– Radek! Jesteś tam? – Znów usłyszałem nerwowy głos koleżanki.

– Hmm, no tak, jestem – odpowiedziałem powoli.

– Słuchaj! Potrzebuję pomocy! Śledzą mnie! – Zabrzmiała dramatycznie.

Przewróciłem oczami. Tego jeszcze brakowało, żebym teraz został jakimś workiem treningowym dla psychicznie niestabilnej dziewczyny, której urojenia przekroczyły już granice rozsądku.

– Czego ode mnie chcesz?

– Trafiłam wreszcie na trop. Mam konkrety! Ale, niestety, nakryli mnie...

– Słysząc było coraz szybszy oddech Marty, z którego wywnioskowałem, że dziewczyna szybko idzie albo wręcz biegnie. – Nie wiem, czy się z tego wykaraskam. To bardzo poważna sprawa, Radek.

Westchnąłem z rezygnacją.

– O czym ty znowu bredzisz? – zapytałem słabo. Już nawet nie miałem siły krzyknąć ani się na nią złościć. Najwyraźniej było z nią bardzo źle. Pewnie potrzebna była jej pomoc. Jakiś dobry psycholog, czy może nawet psychiatra.

– Radek, musisz mi uwierzyć. Rozgryzłam tę układankę, przynajmniej dużą jej część... – Urywany szept na chwilę został przykryty jakimś szumem, wody albo wiatru. Zdawało mi się, że słyszę trzask łamanych gałęzi. – Nagrałam szczegóły na pendrivie, ukryję go gdzieś dla ciebie – szeptała z coraz większym trudem, ciężko łapiąc oddech. – Nie mam czasu ci teraz wszystkiego opowiedzieć, bo oni są tuż za mną.

Zaniepokoiło mnie to, co właśnie usłyszałem. Moja dawna przyjaciółka brzmiała bardzo realistycznie. Nawet jeśli miała urojenia i majaczyła, to musiało zdarzyć się coś naprawdę groźnego, być może komuś czymś się naraziła i teraz faktycznie coś jej grozi.

– Gdzie ty właściwie jesteś? – zapytałem konkretnie. – Marta!

Z drugiej strony znów dotarł do mnie szum i trzaski. Jakby była w lesie, wśród drzew.

– Zapamiętaj! – szeptała coraz bardziej dramatycznie. – Lipcowe Jezioro! Tutaj znajdziesz ten pendrive. Na mnie już za późno. Oni nie puszcza mnie żywej.

Przeraziłem się już na poważnie. W jej głosie usłyszałem coś takiego, czego nie mogłem zlekceważyć. Zacząłem wierzyć, że cokolwiek zrobiła i gdziekolwiek się teraz znajdowała, naprawdę wdepnęła w coś niebezpiecznego.

– Jacy „oni”?! Gdzie jesteś? Halo! – krzyknąłem.

– Pamiętaj. Lipcowe Jezioro.

I wtedy się rozłączyła.

Natychmiast wybrałem opcję oddzwonienia pod ostatni numer, z którym rozmawiałem, ale ku swojemu przerażeniu usłyszałem tylko komunikat o niedostępności abonenta.

Zakląłem nerwowo. Spróbowałem raz jeszcze. Znowu ta sama informacja podawana beznamiętnym, męskim głosem.

– Kurwa mać! – Natychmiast dałem upust swojej wściekłości.

– Kochanie? – Z drugiego pokoju doszedł mnie głos Ani. – Czy coś się stało?

– Nie, nic skarbie! – odkrzyknąłem tylko. – Coś mi się tylko skasowało w telefonie. Wszystko w porządku!

Zacząłem gorączkowo chodzić po pokoju. Znów spróbowałem oddzwonić. Bez skutku. Intensywnie analizowałem tę dziwną rozmowę. O czym ona, do cholery, mówiła? Kto ją śledził? Co takiego odkryła?

A może to wszystko było jakimś żartem lub objawem głębokiej schizofrenii? Może dałem się nabrać?

Czy może jednak naprawdę Marta potrzebowała pomocy?

Nie, to zdecydowanie nie był żart. Przecież widziałem ją kilka tygodni temu i wiem, że nie wyglądała wcale na żartowniszę. Wręcz przeciwnie, cała była pochłonięta tym swoim prywatnym śledztwem i traktowała tę sprawę niezwykle poważnie. Aż za poważnie.

Bilem się z myślami jeszcze przez chwilę, w końcu jednak podjąłem decyzję. Spojrzałem na zegarek. Dziewiętnasta trzydzieści. Trudno, najwyżej nic z tego nie będzie, ale muszę przynajmniej spróbować.

Sięgnąłem po smartfon i wybrałem numer.

– Halo, Tomek? – zaintonowałem wesoło. – Tutaj Radek. Słuchaj, wiem, że już późno i pewnie siedzisz z Pauliną i dziećmi w domu, ale mam taką nietypową prośbę.

Usłyszałem ziewnięcie z drugiej strony, a znudzony głos zaprzeczył.

– Nie, spoko, cześć, Radek. Jeszcze siedzę w biurze, taka robota po godzinach. – Mój kuzyn, inspektor Królikiewicz, zaśmiał się niemrawo. – W czym ci mogę pomóc? – zapytał po chwili już bardziej energicznie.

Poczułem niepewność. Cholera! Czy ja naprawdę w to brnę?

– Słuchaj... ktoś do mnie dzwonił, taka koleżanka ze studiów – zacząłem. – Nie wiem, czy to nie żart albo jakieś durne wymysły, ale mówiła, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Rozumiesz... trochę się przestraszyłem. Mówiła, że ktoś ją śledzi i chce jej zrobić coś złego. Potem się rozłączyła i już nie mogę się do niej dodzwonić, bo ma wyłączony numer.

– Acha... – Znów usłyszałem ziewnięcie po drugiej stronie.

– No i się zaniepokoiłem. Nie wiem, skąd dzwoniła, ani czy rzeczywiście coś jej nie grozi. Nie wiem, do kogo się z tym zwrócić, więc zadzwoniłem do ciebie.

Cisza w słuchawce nie zapowiadała niczego dobrego.

– Halo! Tomek, jesteś? – zapytałem zaniepokojony.

– Tak, tak.... Sorry, przeglądam właśnie jakieś papiery z trudnego śledztwa – wyjaśnił mętnie. – Czyli jak mogę ci pomóc?

Odetchnąłem głębiej, zbierając siły.

– No właśnie... może mógłbyś mi chociaż pomóc ustalić, skąd dzwoniła. Może nic jej nie grozi, ale muszę to sprawdzić. Tylko nie wiem, gdzie ona jest – wyjaśniłem.

Tomek odchrząknął.

– Tak właściwie to nie wolno nam takich rzeczy robić – zaczął. – Wiesz, ochrona danych osobowych.

– No wiem... Ale ona brzmiała bardzo poważnie.

– Jesteś pewien, że to nie żart? – Chciał się upewnić.

– Tego nie wiem. Ale brzmiała bardzo dramatycznie. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że faktycznie w coś wdepnęła. Ostatnio mówiła jakieś bardzo dziwne rzeczy.

Usłyszałem, jak Tomek westchnął.

– No dobra, wyjątkowo ci pomogę – stwierdził w końcu. – Podaj mi ten numer telefonu, z którego dzwoniła.

Pół godziny później dostałem od mojego kuzyna z policji wiadomość SMS z tylko jednym słowem. Nazwą miejscowości, z której dzwoniła Marta.

Tym słowem była nazwa miasta.

Brodnica.

Rozdział 7

I znów koszmar, nieprzespana noc. Tak jak wtedy – po śmierci Seweryna. I tak jak kilka tygodni temu – po spotkaniu z Martą.

Cholera! A już myślałem, że mam to za sobą i że duchy przeszłości nie będą mnie więcej niepokoić. Najwyraźniej byłem w błędzie.

Wstałem z ciężką głową i z nieznośną świadomością, że coś należałoby zrobić. Tylko co dokładnie? Poprosić o pomoc policję? Ale na jakiej podstawie? Przeczuc i domysłów? To było stanowczo za mało, bo nawet Tomek zbytnio nie przejął się tym, co mówiłem.

Był środek tygodnia i za chwilę powinienem wyjść do pracy. Moja narzeczona właśnie dawała mi buziaka na do widzenia i zauważyła smętną minę, z jaką siedziałem nad kromką chleba z nutellą.

– Coś taki markotny, mój rycerzu? – zażartowała. – Chyba miałeś jakieś złe sny, bo strasznie się wierciłeś w nocy.

Spojrzałem na nią zmęczonym wzrokiem.

– Ach... tak, pewnie za późno zjadłem kolację i to dlatego... – wyjaśniłem wymijająco. Nagle podjąłem decyzję. – Wiesz, kochanie? – Przytrzymałem jej dłoń, kiedy chciała już wychodzić. – Muszę pilnie dziś wyjechać. Służbowo – dodałem nieco zbyt fałszywym tonem.

Nigdy nie byłem zbyt dobrym aktorem i naraz czułem, że ona już wie, że kłamię.

– Tak nagle? – zdziwiła się. Spojrzała podejrzliwie prosto w moje oczy.

– No tak... dostałem przed chwilą wiadomość, że w naszej filii w Bydgoszczy też mają audyt i poprosili mnie o pomoc z dokumentami. – Dalej brnąłem w kłamstwo i czułem, jak coraz mniej wiarygodnie to brzmi.

Ania z dziwną miną wpatrywała się we mnie. W końcu wzruszyła ramionami.

– No dobrze. Jak musisz, to jedź. – Wyraźnie posmutniała. Nie wiedziałem tylko, czy to z powodu samego faktu, że gdzieś jadę, czy po prostu wy czuła kłamstwo i to ją zmartwiło.

– Wrócę najszybciej, jak to możliwe – powiedziałem szybko, żeby poprawić jej humor i odwrócić uwagę od mojego źle zagranej wyjaśnienia. – Kocham cię – dodałem na koniec, mając nadzieję, że załagodzę w ten sposób sytuację.

Zmierzyła mnie spojrzeniem, jakby szacowała, czy mówię prawdę, czy tylko chcę zamydlić jej oczy.

– Ja też. Pa! – rzuciła niedbale i wyszła.

Usłyszałem dźwięk zamykanych drzwi i trafił mnie szlag.

– *Fuck!* – zakląłem głośno.

Bardzo źle to rozegrałem! Jeszcze tego brakowało, żeby przez najbliższe dni moja narzeczona miała focha i snuła podejrzenia. No nic. Teraz było już za późno na odkręcanie sytuacji. Pojadę do tej przeklętej Brodnicy, znajdę Martę, wyjaśnię wszystko i moje życie wróci do normy.

Dla pewności spróbowałem raz jeszcze zadzwonić na wczorajszy numer, ale wciąż był niedostępny. A innego kontaktu do niej nie miałem. Sprawdziłem też na szybko portale społecznościowe, ale nie znalazłem tam żadnych nowych wpisów. W ogóle Marta nie wykazywała zbyt dużej aktywności w internecie, więc za bardzo nie miałem czego tam szukać.

Nie było wyboru, trzeba było jechać do tej nieszczęsnej Brodnicy. Musiałem tylko szybko zgłosić szefowi, że biorę urlop na żądanie, i byłem gotowy do drogi. Miałem szczerą nadzieję, że uda mi się pozytywnie rozwikłać tę zagadkę i jeszcze tego samego dnia wieczorem położę się spokojnie spać do swojego łóżka u boku mojej dziewczyny.

* * *

Miałem sporo czasu, żeby spokojnie zastanowić się nad przebiegiem wczorajszej rozmowy z Martą i ewentualnym planem działania, kiedy już dojadę na miejsce. Droga miała mi zająć dobre trzy godziny, a przemyśleń miałem sporo, tylko niestety nie wynikały z tego żadne konkretne wnioski. Po wielokroć zastanawiałem się nad tym, o co chodziło z tym lipcowym jeziorem. Czy to rzeczywista nazwa jakiegoś akwenu w pobliżu Brodnicy? Czy raczej hasło stanowiące klucz do odkrycia miejsca pobytu mojej dawnej koleżanki? Kto jej groził? W co wdepnęła, że ktoś ją gonił? Na razie nawet się nie domyślałem, o co może chodzić, a tym bardziej nie miałem pewności, czy to w ogóle była prawda.

W połowie drogi zatrzymałem się na stacji benzynowej i siedząc w środku z kubkiem gorącej kawy, zacząłem szukać w internecie hasła „lipcowe jezioro”. Wyszukiwarka wyrzuciła oczywiście dziesiątki linków i zdjęć otagowanych takim właśnie hasłem, ale większość z tego od razu odrzuciłem jako błędny trop. Radosna twórczość internautów prezentujących swoje osiągnięcia fotograficzne podczas wakacji spędzonych nad jeziorami, strony dla wędkarzy, oferty nurkowania, galerie fotografii i inne strony nie przyniosły mi żadnej podpowiedzi. Po przejrzaniu kilkadziesiątu propozycji wyplutych przez wyszukiwarkę wiedziałem już, że to nie będzie takie proste.

Odetchnąłem głębiej, upiłem łyk kawy i spróbowałem poszukiwać w inny sposób, wprowadzając frazę „lipcowe jezioro Brodnica”. I tym razem też nic konkretnego nie rzuciło mi się w oczy. To samo, co poprzednio: dziesiątki najróżniejszego rodzaju zdjęć z pojezierza, oferty noclegów i znów wędkarze. Popatrzyłem na mapę okolic Brodnicy i przyjrzałem się bliżej nazwom jezior. Ciche, Sosno, Zbiczno, Bachotek i inne wymyślne nazwy kompletnie nic mi nie mówiły. Siedziałem tak przez dobre pół godziny, szukając jakichkolwiek wskazówek i podpowiedzi, ale kompletnie na nic nie trafiłem. Albo byłem na to za głupi, albo Marcie definitywnie coś się pomieszało. Już sam nie wiedziałem, co dalej mam z tym zrobić.

Popatrzyłem w dal i doszedłem do wniosku, że sam nie rozwiążę tego rebusu. Sięgnąłem więc po telefon.

– Cześć, Tomek, tu ponownie Radek – powiedziałem, skrepowany. Zda-
wałem sobie sprawę, że zawracam kuzynowi głowę jakimiś bzdurami, pod-
czas gdy on pewnie ma na karku skomplikowane sprawy i śledztwa gru-
bego kalibru, bo tylko takie trafiały na biurka komendy stołecznej. A on był
inspektorem Wydziału Kryminalnego, a nie jakimś zwykłym policjantem.

– No hej – odpowiedział krótko. – Co tam znowu?

– Przepraszam cię bardzo za trucie tyłka, ale mam problem – wydukałem
niepewnie.

– No wal śmiało, mam mało czasu – rzucił niecierpliwie.

– Hmm, wiesz, jestem w drodze do Brodnicy, żeby odszukać tą moją ko-
leżankę – mówiąc te słowa, poczułem, jak głupio zabrzmiało to, co miałem za
chwilę palnąć. – Tylko że mam rebus do rozwiązania. Wczoraj mówiła
przez telefon, że zostawi mi gdzieś pendrive z informacjami. I jedyną
wskazówką było hasło. Przeszukałem już cały internet i na nic nie trafiłem.
Potrzebuję pomocy.

Chwila złowrogiego milczenia dała mi mocno do myślenia i zdałem so-
bie sprawę, że za moment usłyszę, że zawracam mu głowę duperelami.

– No, a jakie to hasło? – zapytał tylko.

– Lipcowe jezioro – wyjaśniłem. – Przekopałem kilkadziesiąt stron i nie
znalazłem w pobliżu Brodnicy nic powiązanego z tymi słowami. Chyba że
nie jestem w stanie dostrzec ukrytego znaczenia albo to wcale nie jest
w Brodnicy.

Tomek odchrząknął.

– Chętnie bym ci pomógł, Radek, ale jestem strasznie zawałony robotą. –
Kuzyn rozwiął moje wątpliwości. – Mamy jakąś potworną kumulację trud-
nych spraw.

– Rozumiem, Tomek. I dziękuję za pomoc – powiedziałem z wyraźną re-
zygnacją.

– Ale... – mój kuzyn inspektor mówił dalej – ale dam ci numer do naszego
specja od komputerów, Roberta Bielskiego. To mój człowiek z zespołu. On

ma mózg jak sklep i masę ciekawego oprogramowania. Już sporo takich rebusów rozwiązał w swoim życiu. Powiedz tylko, że dzwoniś ode mnie.

– Bardzo dziękuję, Tomek – ucieszyłem się jak dzieciak.

– Spoko, daj znać, jak uda ci się namierzyć tę koleżankę – odpowiedział.

– I, Radek, jeśli tylko zobaczysz, że jest jakieś niebezpieczeństwo, dzwoń do mnie – dodał już poważniejszym tonem.

– Jasne, cześć!

Godzinę później, dojeżdżając do Brodnicy, dzięki pomocy Roberta z komendy stołecznej miałem już konkretną informację, czego i gdzie szukać. Rebus okazał się faktycznie dość skomplikowany i bez pomocy zaawansowanych aplikacji, którymi dysponowała policja, wyszukujących w sieci dane kontekstowe, szukających korelacji i łączących je w całość, pewnie nigdy sam bym nie wpadł na rozwiązanie zagadki wymyślonej przez Martę.

Ku mojemu zdumieniu, okazało się, że *Lipcowe Jezioro* to nazwa obrazka namalowanego przez artystkę, niejaką Marię Okołów-Podhorską, która zastosowała dość rzadką technikę tworzenia zwaną akwafortą. No ale co miało to wspólnego z terenami wokół miasta Brodnica? I co Marta miała na myśli, używając tego hasła?

Otóż Robert, dzięki swoim zaawansowanym aplikacjom, namierzył pomnik stojący nad jeziorem Bachotek, poświęcony właśnie osobie o takim nazwisku: Marii Okołów-Podhorskiej, która przyczyniła się w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku do założenia w tym właśnie miejscu stacji kajakowej PTTK. I, co prawda, mimo że te dwie osoby – artystka i zapalona propagatorka turystyki wodnej – to były zupełnie różne postaci, to łączące je ogniwo, czyli imię i nazwisko, prowadziło w końcu do tego właśnie miejsca. Pomnika nad jeziorem. Pomnika poświęconego pamięci tej właśnie osoby. I faktycznie, teraz, gdy już wiedziałem, o co chodzi, bez trudu znalazłem w sieci zdjęcia i informacje o upamiętniającym ją kamieniu.

Byłem pod dużym wrażeniem sprytu Marty, która w taki wyrafinowany sposób wskazała mi miejsce ukrycia pamięci USB, tak by nikt postronny się nie domyślił, o co chodzi. Miałem tylko ogromną nadzieję, że pendrive

wciąż gdzieś tam w pobliżu tego pomnika na mnie czeka i że nikt go nie zabrał. Miałem też nadzieję, że informacje zostawione przez Martę pozwolą mi ją szybko namierzyć.

Gdy już wreszcie dotarłem nad jezioro i gdy upewniłem się, że nikt mnie nie obserwuje ani nie śledzi, obejrzałem ze wszystkich stron ten kawał kamiennej płyty. Na pierwszy rzut oka nic tutaj nie było. Wziąłem więc większy patyk i rozgrzebałem ziemię za pomnikiem. Było tu dość miękko i w mokrej glebie dość szybko znalazłem jakieś zawiniątko. W małym foliowym woreczku czekał na mnie pendrive od Marty.

Rozdział 8

Wreszcie miałem w dłoni małą, czerwoną kość pamięci, mającą zawierać jakieś kluczowe informacje. Za chwilę miało się okazać, czy faktycznie odkryła coś ważnego, co przewróci do góry nogami całą historię związaną ze śmiercią naszego przyjaciela, czy wręcz odwrotnie, przekonam się tylko w twierdzeniu, że mocno jej odbiło i cierpi na schizofrenię. Wreszcie, miałem nadzieję, że wyczytam z zapisanych na pendrivie danych, gdzie jej, do cholery, szukać. Bo w głębi duszy się martwiłem, że faktycznie przydarzyło się jej coś złego.

Wróciłem do samochodu najszybciej, jak mogłem, wziąłem z torby mojego małego laptopa i drżącymi rękami włożyłem do gniazda USB znalezione urządzenie. Ekran komputera zamrugał i otworzył nowe okno, a w nim zobaczyłem tylko jeden plik. Był to dokument tekstowy o nazwie „Dla Radka”. Rozemocjonowany natychmiast kliknąłem w ikonkę pliku, po czym... wyświetliło się zapytanie o hasło dostępu.

– Cholera! – zakląłem głośno.

Jakie hasło? Nie dość, że musiałem przejechać kawał Polski w to miejsce, żeby znaleźć tę kosteczkę, to jeszcze plik był zabezpieczony hasłem!

To wszystko zaczynało być diabelnie skomplikowane i zagmatwane. I wkurzające.

Hasło, hasło...

Myślałem intensywnie przez dobrą chwilę, aż nagle mnie olśniło. Ależ tak! Przecież hasłem prawdopodobnie jest to kluczowe „Lipcowe Jezioro”. W maksymalnym podnieceniu szybko wpisałem ciąg znaków, po czym moim oczom ukazał się długi list, na który od razu zachłannie się rzuciłem.

Witaj, Radku.

Jeśli czytasz te słowa, to ja prawdopodobnie jestem już w bardzo poważnych tarapatach, w które wdepnęłam z własnej, nieprzymuszonej woli i z pełną świadomością. Zupełnie nie wiem, jak się to skończy, ale muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby rozwiązać tę zagadkę, która nie daje mi spokojnie żyć, która stała się moją obsesją i przez którą nie mogę normalnie funkcjonować.

Musisz mnie zrozumieć. Ja szczerze wierzę, i mam ku temu coraz więcej dowodów, że Seweryn padł ofiarą jakiegoś większego spisku i że został na naszych oczach brutalnie zamordowany. Jestem przekonana, że to nie był wypadek, a on mocno komuś przeszkadzał lub może odkrył coś, czego nie powinien. Co to takiego było, tego, co prawda, jeszcze nie wiem, ale w końcu do tego dojdę.

Bardzo bym chciała, żebyś mi uwierzył i żebyś mi zaufał. Tylko na tobie mogę już polegać.

Próbowałam zainteresować tematem pozostałe osoby z naszej starej paczki, ale reakcje tych, do których dotarłam, były jeszcze gorsze niż twoja. Ty przynajmniej choć trochę mnie wysłuchałeś. Nie do końca, ale zawsze. I za to bardzo ci dziękuję. Jeśli czytasz te słowa, to także dziękuję ci, że tutaj przyjechałeś taki kawał drogi.

Ale do rzeczy!

Pewnie zadajesz sobie pytanie, dlaczego tutaj się znaleźliśmy? W Brodnicy? Otóż pewnie wiesz, że w tym mieście, w otoczeniu pięknych lasów i jezior, była kiedyś specjalna strefa ekonomiczna zachęcająca inwestorów do umieszczania swoich start-upów i nowych inwestycji. Sporo firm wybrało tę lokalizację z korzyścią dla nich samych, ale też dla miasta i okolicy.

Jedną z takich firm jest Euronea Med, właściciel nowoczesnej fabryki farmaceutycznej produkującej leki. Firma ta, jako jedyna na świecie, jest właścicielem unikatowego patentu na rewolucyjne lekarstwo na pewną grupę nowotworów. Ten medykament jest produkowany tylko w tej jednej fabryce, właśnie tutaj.

Załóżę się, że słyszałeś o profesorze Ryszardzie Nowogrodzkim, który kilka lat temu odkrył, przebadał i udokumentował pozytywne działanie tego leku i dzięki któremu ruszyła polska produkcja specyfiku? No właśnie. Wszyscy o tym słyszeli. Były tam, co prawda, jakieś duże niejasności związane z samym finansowaniem przedsięwzięcia, były przepychanki inwestorów, była walka o rozpoczęcie produkcji,

ale w końcu się udało i dziś z taśm produkcyjnych schodzi kilka tysięcy fiolek leku dziennie, które są sprzedawane na całym świecie.

Jeszcze nigdy Polska nie była tak ważna na światowej scenie naukowo-gospodarczej.

No ale co to wszystko ma wspólnego z moim dochodzeniem w sprawie śmierci Seweryna?

Jeśli teraz stoisz, to proponuję, żebyś usiadł. Bo za chwilę dowiesz się czegoś kluczowego i ważnego, czegoś, co mocno cię zdziwi.

Otóż, już jakiś czas temu, w zupełnie przypadkowy sposób dowiedziałam się czegoś, co w pierwszej chwili brzmi zupełnie nieprawdopodobnie. Ale jednak jest prawdziwe.

Czy wiedziałeś, że naukowiec, odkrywca tego rewolucyjnego leku na raka, Ryszard Nowogrodzki, jest biologicznym ojcem Seweryna? Założę się, że nawet tego nie podejrzewałeś, nie brałeś pod uwagę takiej sensacyjnej ewentualności. Ale tak, to prawda. Dotarłam do dokumentów w Urzędzie Stanu Cywilnego, które bez żadnych wątpliwości potwierdziły ten fakt.

Teraz się pewnie zastanawiasz, dlaczego w takim razie Seweryn nigdy o tym nie wspomniał ani nie nosił nazwiska Nowogrodzki? I czy w ogóle o tym fakcie wiedział?

Przeprowadziłam dość szczegółowe śledztwo i sporo odkryłam.

Otóż pan profesor, jak każdy genialny naukowiec, żył w swoim własnym, zamkniętym świecie. Gdy wiele lat temu, zaraz po studiach medycznych, Nowogrodzkiemu przydarzył się przelotny romans z koleżanką z uczelni, nie planował ani związać się na poważnie z tą kobietą, ani zakładać rodziny. Jego całe życie toczyło się wokół nauki i medycyny, był pochłonięty sprawami wyższej wagi aniżeli przyziemne tematy damsko-męskie. Z tego romansu narodził się właśnie Seweryn, jednak świeżo upieczony tata nie był ani przygotowany na takie wyzwanie, ani nie czuł się w obowiązku zajmować się małym berbeciem.

Profesor obiecał co prawda płacić regularnie miesięczną kwotę na utrzymanie syna i widywać się z nim od czasu do czasu, ale nie zamierzał żenić się z kobietą, która urodziła mu dziecko, ani z nimi mieszkać. Tak właściwie to Nowogrodzki nie

opuszczał swojego gabinetu na WUM-ie, gdzie intensywnie pracował nad nowymi lekami i sposobami leczenia nowotworów.

Na początku matka Seweryna zgodziła się użyć nazwiska ojca dziecka i w dokumentach z USC, do których dotarłam, widnieje Seweryn Nowogrodzki. Jednak wiele lat później, gdy poznała innego mężczyznę, z którym związała się na stałe, zmienili nazwisko na Leman. I właśnie pod takim to nazwiskiem wszyscy znaleźliśmy Seweryna.

Z plotek i informacji zasłyszanych od ludzi będących blisko obu stron wynikało, że pan profesor rzeczywiście regularnie płacił ustaloną kwotę na wychowanie syna i nawet od czasu do czasu się z nim widywał. Oczywiście nie był najlepszym wzorem ojca i nawet nie wiedział dokładnie, jak powinno się zajmować dzieckiem, ale do pewnego stopnia się starał. Na tyle, na ile potrafił.

Teraz zapytasz pewnie, dlaczego Seweryn nigdy o tym nie mówił, dlaczego się nie pochwalił, że jego biologiczny ojciec to geniusz i odkrywca największej sensacji ostatnich lat?

Może była to dla niego sprawa zbyt prywatna, zbyt wrażliwa, zbyt delikatna? A może wręcz specjalnie nie chciał nic o tym mówić, bo obawiał się właśnie o swoje życie? O to, że ktoś będzie chciał wykorzystać fakt, że jest synem genialnego naukowca?

Pytań jest oczywiście wiele, a odpowiedzi na razie brak. Stąd właśnie moje prywatne śledztwo i dotarcie aż do tego miejsca. Do miasta, w którym stoi piękna, nowoczesna fabryka produkująca najbardziej pożądany lek na świecie, a w której pracuje, kierując całym działem badań i rozwoju, nasz profesor Nowogrodzki. Jestem przekonana, że może on odpowiedzieć na wiele zadanych przeze mnie pytań i rzucić nowe światło na tę sprawę. Założę się, że wyjaśnienie zagadki jest na wyciągnięcie ręki. Wystarczy porozmawiać z naukowcem.

Jednak... Nie jest to takie proste.

Przyjechałam tu pełna nadziei, że szybko uda mi się nawiązać kontakt z tym geniuszem i będę miała sposobność z nim szczerze porozmawiać. Wystarczyłoby tylko go namierzyć i umówić się na spotkanie. Ale okazało się to ogromnym wyzwaniem. Rzeczą wprost niemożliwą.

Moje próby dotarcia do środka fabryki zakończyły się fiaskiem. Ten obiekt jest tak ściśle strzeżony, co, nawiasem mówiąc, wcale mnie nie dziwi, a ochrona tak skuteczna, że nie miałam żadnej szansy przebrnąć przez szczelnie postawioną zapórę. Próbowałam kilkanaście razy, i to pod różnymi pretekstami, przedrzeć się przez recepcję firmy i dotrzeć do profesora. Byłam bez szans! Za każdym razem odpowiedź była jednoznaczna.

„Nie ma takiej możliwości”.

„Pan profesor jest niezwykle zajęтым człowiekiem i pracuje nad kolejnymi rewolucyjnymi odkryciami”.

Na pewnym etapie posunęłam się nawet do oszustwa i pod przebraniem udawałam dziennikarkę, a innym razem studentkę farmacji. Niestety, żadne z tych zabiegów nie przybliżyły mnie do kontaktu z Nowogrodzkim.

Co więcej, w pewnym momencie ochrona zaczęła baczniej mi się przypatrywać. Rozpoznawali mnie już i nawet nie mogłam wejść na teren recepcji, bo zatrzymywali mnie od razu przy wejściu.

Byłam już zrezygnowana i zmęczona tymi podchodami, gdy nagle zdarzyło się coś, co miało szansę tchnąć nową energię w moje dochodzenie. Jednego dnia, gdy znów próbowałam zdobyć jakiś kontakt do naukowca i ponownie odprawiono mnie z kwitkiem, wyszłam jak zwykle przed budynek i długo patrzyłam zamyślona na wejście do fabryki, zastanawiając się, co jeszcze mogę zrobić.

W pierwszej chwili nawet nie zwróciłam większej uwagi na człowieka, który szedł szybkim krokiem od strony wejścia do budynku. Mężczyzna ten niósł kilka teczek z dokumentami i wyglądał na kuriera, bo w jego uchu tkwiła mała słuchawka i ubrany był w szary kombinezon. W chwili gdy przechodził obok mnie, nagle się potknął i starając się zachować równowagę, wypuścił z rąk pęk dokumentów, które rozsypały się po chodniku. Oczywiście odruchowo przykucnęłam, żeby pomóc pozbierać rozrzucone papiery. Mężczyzna też ukucnął obok mnie, sięgając po koperty i teczki. Nagle popatrzył mi w oczy i szepnął: „Dziękuję pani”, a potem, ku mojemu zdumieniu, wskazał na małą karteczkę złożoną na kilka części, leżącą obok mojego buta, i szepnął: „Proszę to przeczytać, to bardzo ważne”.

Potem wstał, pożegnał się i odszedł.

Pozostałam jeszcze chwilę w tej pozycji, zdumiona całą sceną, ale szybko oprzytomniałam i najszybciej, jak mogłam, ukryłam karteczkę w zaciśniętej dłoni, wstałam i odeszłam. Prawie biegłam, żeby jak najszybciej oddalić się od fabryki. Mężczyzna dawno zniknął, a ja nawet nie zdążyłam go o nic więcej zapytać. Przeszłam kilkaset metrów, usiadłam na ławce i trzęsącymi się dłońmi rozłożyłam kartkę. Było tam tylko kilka zdań, niby nic niewyjaśniających, ale na tyle intrygujących, że rozpalila się we mnie nadzieja.

Była tam wiadomość mniej więcej tej treści: „Jeśli chce Pani dowiedzieć się czegoś na temat profesora Nowogrodzkiego i na temat sytuacji w fabryce, spotkajmy się dziś o godzinie dwudziestej nad jeziorem Bachotek w ośrodku PTTK. Niech będzie Pani ostrożna, mogą Panią śledzić”.

Sam rozumiesz, że po takiej informacji od nieznanego człowieka aż podskoczyłam i otworzyły mi się oczy, że jednak ktoś dostrzegł moje starania i pomoże mi choć trochę wyjaśnić tę sprawę. Z drugiej jednak strony zaniepokoiła mnie wzmianka o ostrożności i o śledzeniu mnie. A może jest to celowo zastawiona pułapka, w którą wpadnę?

Nie wiem kompletnie, czego się spodziewać, ale muszę spróbować. To być może jedyna szansa, by się dowiedzieć czegoś nowego. Jadę nad to jezioro, by za kilka minut spotkać się z tym człowiekiem.

Nagrywam tę wiadomość na pendrivie na wypadek, gdyby coś mi się przytrafiło.

W razie czego gdzieś ją dla Ciebie zostawię.

Jeśli to nie ja odkryję prawdę, to Ciebie, Radek, proszę, żebyś pociągnął dalej śledztwo. Musimy się wreszcie dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Skończyłem czytać.

Byłem zdumiony i oszołomiony.

Nie tylko faktem, że ojcem Seweryna jest Nowogrodzki, ale całą tą historią i śledztwem Marty, która była w stanie dokopać się do takich owianych tajemnicą faktów.

Jeśli podejrzewała, że coś jej grozi, to dlaczego wcześniej nie poprosiła kogoś o pomoc?

No tak. Przecież prosiła. Między innymi mnie. Ale nikt nie brał tego na serio. Nawet ja. Zaniepokoiłem się dopiero wtedy, gdy jej telefon zamilkł na dobre po tej dramatycznej rozmowie z zeszłego wieczoru.

Najgorsze było to, że list Marty nie przybliżył mnie wcale do odpowiedzi na pytanie, gdzie jej mam szukać i co jej się stało.

Zakląłem w duchu po raz nie wiem który. Tak naprawdę niczego nowego się nie dowiedziałem i, co gorsza, nie wiedziałem, co dalej robić.

Poszedłem jeszcze raz pod pomnik, przy którym Marta zostawiła dla mnie poprzedniego wieczoru wiadomość. Obszedłem dookoła kawał terenu, wypatrując jakichś śladów czy znaków, które mogłyby mnie na coś nakierować, ale niczego tam nie znalazłem. Poszperałem jeszcze patykami w ziemi, trawie i w liściach, ale też bez skutku.

Nagle pomyślałem o tym, że skoro ona tutaj była, i to całkiem niedawno, to może ktoś ją widział? Co prawda ten teren wydawał się słabo odwiedzany przez turystów, poza tym to nie był jeszcze sezon, ale musiałem spróbować.

Poszedłem więc do budynków stacji kajakowej, aby spróbować z kimś porozmawiać i czegoś się dowiedzieć. Nie było tam za dużo osób. Jakiś dozorca pilnujący kajaków, ratownik wodny i lokalny animator oraz kilku przypadkowych turystów. Spróbowałem zasięgnąć języka, ale słabo to szło. Okazało się, że nikogo tutaj wczoraj po dwudziestej nie było, nawet dozorca zamknął na kłódkę magazyn ze sprzętem wodnym i poszedł do domu. Widać było, że mocno zaniedbany ośrodek, wręcz popadający w ruinę, nie przyciągał o tej porze roku zbyt wielu amatorów sportów wodnych.

I znowu byłem w kropce. Czy raz jeszcze zadzwonić do Tomka? Ale co miałem mu powiedzieć? Że mam jakiś poszlakowy list od Marty i niejasne podejrzenia, że coś mogło jej się stać? Zgłosić zaginięcie do lokalnej policji? Też nie przejdzie, bo nie minęło nawet obowiązkowe czterdzieści osiem godzin, od kiedy rozmawiałem z nią po raz ostatni.

Już miałem zrezygnowany stamtąd odejść, gdy od strony pomostu dobiegł mnie rozpaczliwy krzyk. Spojrzałem odruchowo w kierunku, gdzie jeszcze przed chwilą widziałem siedzących turystów. Byłem dobre sto me-

trów od jeziora, ale zauważyłem, że jedna z osób, przerażona kobieta, pokazuje coś pozostałym. Nerwowo wskazywała na mętną taflę wody. W mgnieniu oka wszyscy zareagowali w nerwowy sposób, podbiegając do barierki. Usłyszałem, jak ktoś z tej grupy mówi głośno: „O matko!”. Jeden z mężczyzn zaczął machać rękami w stronę budki dozorca, przywołując pomoc.

– Potrzebujemy pomocy! – krzyczał. – Coś jest w wodzie! To chyba topielec!

Nagle nogi mi zmiękły i ugięły się pode mną. „Tylko nie to, błagam, tylko nie to” – szeptałem w myślach. Zacząłem powoli iść w stronę pomostu. Czułem się jak w złym śnie, w którym wszystko nagle zgęstniało i spowolniło moje ruchy. Z trudem łapałem oddech. Pociemniało mi w oczach.

Obok mnie przebiegł dozorca z długą tyczką zakończoną hakiem, a z drugiej strony sprintem zbliżał się ratownik. Pchany jakąś niewidzialną siłą szedłem z mozołem w stronę pomostu. Po chwili patrzyłem już na wysiłki dwóch mężczyzn, którzy starali się przyciągnąć do pomostu pływający w wodzie kształt. Z niemałym trudem w końcu wyciągnęli coś ciężkiego. Mgła przesłoniła mi oczy, a puls tętnił pod skórą w przyspieszonym tempie. Doszedłem powoli do brzegu jeziora, na którym leżało już wyciągnięte z wody ciało, jednak tłumek gapiów skutecznie zasłaniał mi widok. Ostatkiem sił, starając się opanować szalejące emocje, przeprosiłem dwójkę turystów, by się przesunęli, i spojrzałem na topielca.

To była Marta.

Rozdział 9

Szok trzymał mnie dość długo.

Nawet nie wiem, ile czasu minęło, zanim dotarło do mnie z całą brutalnością, że przede mną leży martwa koleżanka, która niedawno straciła życie, a ja nie zdążyłem jej pomóc. Teraz dopiero ogarnęło mnie przerażenie i pojawiła się świadomość zagrożenia. Nieokreślonego i trudnego do zrozumienia, ale jednak namacalnego. Pojmowałem coraz wyraźniej, że Marta rzeczywiście musiała odkryć coś ważnego i w ten sposób śmiertelnie narażić się niebezpiecznym ludziom, którzy bez wahania ją zabili. Zamroczony odszedłem w stronę budynku stacji i usiadłem na jakimś betonowym, rozlatującym się murku. Ukryłem twarz w dłoniach, próbując objąć umysłem to, co się właśnie stało. Nie mogłem zrozumieć, jak to możliwe, że ona nie żyje. Wpadła do wody i się utopiła? Czy ktoś jej w tym pomógł?

Ktoś już zadzwonił na policję, ktoś zaczął płakać, część postronnych gapiów odeszła. Szybko nastał wieczór i prawie całkowicie się ściemniło, gdy plaża i budynki ośrodka rozświetliły się niebieskimi refleksami policyjnych kogutów. Po chwili nad jezioro podjechał także ambulans. Funkcjonariusze, prokurator i lekarze dość długo badali teren, oglądali topielca i przepytывali ludzi. Ja straciłem poczucie czasu i siedziałem w tym samym miejscu, jakbym został zamieniony w kamień. Z oddali patrzyłem tępo na krzątających się ludzi. W końcu lekarze zabrali martwe ciało do kostnicy. Policja jeszcze przez chwilę oglądała teren i rozmawiała z osobami, które stały nad brzegiem jeziora.

Ja, otumaniony wydarzeniami i potwornie zszokowany, nie wstałem, nie podszedłem do funkcjonariuszy i nie przyznałem się, że znałem denatkę. Nikt z obsługi stacji nie zwrócił zresztą uwagi na to, że wcześniej o nią wypytywałem.

Na razie kompletnie nie wiedziałem, co robić.

W dodatku teraz było już zupełnie ciemno.

W końcu wstałem i poszedłem w stronę drogi prowadzącej do Brodnicy. Nie mając innego pomysłu, sięgnąłem w końcu po telefon i zadzwoniłem do kuzyna.

– Cześć, Tomek – zacząłem grobowym głosem. – Przepraszam za późną porę, ale stało się coś złego.

– Cześć, coś z ciocią Halinką? – zaniepokoił się. – Znów miała udar?

Przez kilka długich sekund nie wiedziałem, o czym on, do cholery, mówi, ale zaraz mnie olśniło i przypomniałem sobie o siostrze mojej matki, która faktycznie zmagala się ostatnio z chorobami.

– A nie... Z ciocią wszystko dobrze. – Nabrałem głębiej powietrza. – Słuchaj... jestem w Brodnicy.

– W Brodnicy? – zdziwił się.

– No tak, pamiętasz? Ta moja koleżanka, która dzwoniła, że ktoś ją śledzi, dzwoniła właśnie stąd. Ten Robert od ciebie pomógł mi zlokalizować to miejsce.

– A, no tak! No i?

– No i... przyjechałem jej tutaj poszukać, bo urwał się kontakt, nie odbierała telefonu. Marta zostawiła dla mnie wiadomość. Znalazłem ją. To znaczy wiadomość, nie Martę. Bardzo istotną, rzucającą nowe światło na śmierć naszego przyjaciela z czasów studiów – przełknąłem ślinę. – Była sprytna, ale widocznie tylko do czasu... – zawiesiłem głos. – Przypadkowi turyści natrafili na nią godzinę temu. Dostrzegli ją w jeziorze. Martwą.

Chwila złowrogiej ciszy kłuła w uszy bardziej niż świadomość tego, co przed chwilą powiedziałem.

– Bardzo mi przykro, Radek – powiedział powoli Tomek. – Co się stało?

– Zamordowali ją, jestem o tym przekonany. Za mocno zbliżyła się do prawdy i ktoś ją zabił – wypaliłem. – Musimy natychmiast zacząć śledztwo...

– Zaraz, zaraz... – przerwał mi w pół zdania. – Poczekaj, bo chyba się zagalopowałeś. Przede wszystkim: skąd wiesz, że ją ktoś zabił? To po pierwsze. Po drugie, jesteś pewnie w szoku. Ochłoń trochę. Weź najlepiej coś na uspokojenie.

– Ale...! – zacząłem.

– Spokojnie, Radek – ciągnął łagodnym, wytrenowanym głosem mój kuzyn. – Czy na miejscu jest policja?

– Tak, jeszcze są tutaj, przepytują świadków – odpowiedziałem.

– No to sam widzisz, że teraz się spokojnie tym zajmą. Proszę cię, nigdzie się nie wychylaj i nikomu nie mów takich rzeczy, że to jest morderstwo. Jeszcze ciebie w to wciągną.

– Ale ja wiem na pewno, że tak było! – mówiłem chaotycznie podniesionym głosem. – Upozorowali utonięcie, ale trzeba zrobić dokładne śledztwo, zbadać wszystkie ślady! Mam od Marty informacje, które otworzyły mi oczy. Musisz mi pomóc! Już dwie osoby przez to zginęły!

Tomek westchnął ciężko. W tle usłyszałem piskliwe głosy dzieci. Domyśliłem się, że to Maks i Zosia odprawiają wieczorne figle. Wyobraziłem sobie nagle jego szczęśliwy dom, piękną żonę, dwójkę rozkosznych dzieciaków. W każdym razie taki obraz mieli przed oczami wszyscy członkowie naszej rodziny, którzy z zazdrością i podziwem patrzyli na udane zawodowe i rodzinne życie inspektora Królikiewicza i jego zjawiskowej żony Pauliny.

– Zaczekaj chwilę – rzucił krótko i prawdopodobnie wyciszył mikrofon, bo w słuchawce zaległa grobowa cisza. Po krótkiej chwili wrócił do rozmowy: – Radek. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Jest już późno, jedź do jakiegoś hotelu, wynajmij pokój i prześpij się. Ja z samego rana do ciebie przyjadę i sprawdzę na miejscu co i jak. Wszystko mi opowiesz. Jeśli się okaże, że mogę jakoś pomóc, na pewno to zrobię. Okej?

Odetchnąłem z ulgą. To już było coś. Od razu też nieco się uspokoiłem.

– Tak, dziękuję ci, Tomek.

– Radek. – Kuzyn nagle przybrał ojcowski ton. – Pamiętaj, że robię to tylko dlatego, że jesteśmy rodziną, a ty brzmisz naprawdę niepokojąco. Nie chcę, żebyś wpakował się w jakieś kłopoty.

– Oczywiście, jestem ci za to bardzo wdzięczny – odpowiedziałem.

– Daj znać, gdzie się zatrzymasz na noc. I z nikim o tym nie rozmawiaj – rzucił na zakończenie rozmowy.

Rozdział 10

Noc spędzona w hotelu Magnat w Brodnicy nie uspokoiła mnie wcale. Wręcz odwrotnie, powoli zaczynałem bać się o swoje życie. Bo przecież przestępcy, ponieważ już zaczynałem myśleć o tym, że stoi za tym kilka wrogo nastawionych osób, mogli zarówno podsłuchać moją ostatnią rozmowę z Martą, jak i mogli też dyskretnie mnie obserwować, gdy szukałem czegoś nad brzegiem jeziora. W pewnym momencie dostałem takiej paranoi, że każdy szmer za drzwiami brałem za zbliżające się niebezpieczeństwo. Wyobraźnia zaczęła podpowiadać mi najróżniejsze scenariusze, a większość z nich była dla mnie przerażająco niekorzystna. W wyniku narastającej psychozy i ogólnego rozbicia prawie nie zmrużyłem oka i rano z trudem zwlokłem się z łóżka, wykończony jak po dobrej imprezie.

Co więcej, coraz bardziej plątałem się w zeznaniach, jeśli chodzi o moją Anię. Mętne tłumaczenie, że muszę zostać jeszcze jeden dzień, że wypadło coś ważnego, z czego nie mogę się wymigać, nie wyszło mi za dobrze. Zmęczony z niewyspania głos brzmiał pewnie tak, jakbym balował całą noc. Już teraz wiedziałem, że będę musiał wszystko wytłumaczyć mojej, co prawda wyrozumiałej, ale jednak coraz bardziej podejrzliwej i ostrożnej narzeczonej.

Tomek przyjechał na tyle wcześnie, że zdążyliśmy jeszcze na hotelowe śniadanie, przy którym mogłem mu opowiedzieć wszystko, co do tej pory się wydarzyło. Usiedliśmy w najdalszym kącie jadalni, tak żeby nikt nam nie przeszkadzał, i obstawiliśmy się talerzami z zimnymi i ciepłymi daniami. Tomek, głodny po podróży z Warszawy, wcinał wszystko jak popadło, natomiast ja miałem tak mocno ściśnięte gardło, że ledwo zmusiłem się do przełknięcia kilku kęsów jajecznicy.

– No to opowiadaj, Radek, wszystko po kolei, od samego początku – odezwał się z pełnymi ustami. – Każdy szczegół może być ważny.

Spojrzałem na kuzyna, który za każdym razem, gdy się widywaliśmy, przywodził mi na myśl hollywoodzkich aktorów grających detektywów twardzieli rodem z CIA lub FBI. Tomek nie czułby się zapewne pokrzywdzony porównaniem go do Henry’ego Cavilla lub Ryana Goslinga, bo dorównywał im zarówno urodą, jak i sylwetką. Jediną różnicę stanowiły bardzo jasne włosy, z którymi mógł uchodzić za Skandynawa. Podobno, gdy Tomek był młodszy i decydował o swoim przyszłym życiu zawodowym, cała rodzina namawiała go, żeby aplikował do Akademii Teatralnej i rozpoczął karierę aktora, ale ku rozczarowaniu ciotek zdecydował się na szkołę policyjną i zawód detektywa dochodzeniowego. Gdy się dobrze nad tym zastanowiłem, to w zasadzie jego praca niewiele różniła się od występowa-
nia przed kamerą, bo jako inspektor policji często musiał manipulować emocjami swoich rozmówców i grać różne role prowadzące do rozwiązania spraw.

– Hej – wyrwał mnie z zamyślenia. – Dobrze się czujesz? Bardzo źle wyglądasz.

– Prawie całą noc nie spałem – wyjaśniłem. – Zacząłem się bać o moje bezpieczeństwo. Po tym, co zobaczyłem i czego się dowiedziałem, już sam niczego nie jestem pewien.

Spojrzał na mnie uważnie, prawie badawczo. Poczułem się jak u psychologa, który ocenia stan pacjenta i na szybko szacuje potencjalną metodę leczenia, jeszcze na długo przed postawieniem diagnozy.

– Dopóki jesteś ze mną, nic ci nie grozi – powiedział uspokajająco. – A teraz opowiedz wszystko od początku. Co to za koleżanka, dlaczego jej grozili, co to za wiadomość, którą ci zostawiła? Mamy czas.

Przeszedłem więc przez całą historię, opisując wszystko to, co wydarzyło się w naszej grupie przyjaciół od czasów studenckich na uniwerku, przez tę fatalną, zakończoną śmiercią Seweryna noc nad Zegrzem i okoliczności szybko zakończonego śledztwa. Najnowsze wydarzenia – od zaskakującego kontaktu z Martą, która po latach milczenia nagle pojawiła się nie

wiadomo skąd, jej teorii spiskowej, do tragicznego odkrycia nad jeziorem. Opisałem z największą możliwą dokładnością, nie szczędząc najmniejszych szczegółów.

Skończyłem mówić i rzuciłem okiem na krzątające się kelnerki, które zaczęły już sprzątać po śniadaniu. Spojrzały na nas wyczekująco, ale widząc, że nie zamierzamy tak szybko opuścić restauracji, wróciły do swoich zajęć.

– Przykro mi z powodu śmierci twojej znajomej. – Tomek zaczął dziobać widelcem niedokończone śniadanie i rozdrabniał na papkę pozostawione resztki jajecznicy. – Z tego, co mi powiedziałaś, to wszystko brzmi bardzo nieprawdopodobnie. Do tego za dużo tutaj domysłów i teorii. Ale... niejedno już widziałem i niejedną sprawę, na pozór mało realną, rozwiązałem. – Upił łyk kawy i zamyślił się na chwilę. – Jeśli rzeczywiście twoją koleżankę zamordowano – mówił dalej – to mamy do czynienia z bardzo poważną sprawą, którą powinna zająć się lokalna jednostka kryminalna.

Chciałem właśnie głośno potwierdzić, że tak, owszem, to było morderstwo, ale Tomek gestem dłoni skutecznie mnie uciszył.

– Ale... zanim wydamy jednoznaczny werdykt – kontynuował – musimy dać szansę lokalnej policji. Takie są procedury. Niech zbadają teren i zainicjują rozpoznanie. Sam rozumiesz, że na tym etapie trzeba podejść do sprawy delikatnie. Poza tym moja obecność tutaj jest nieoficjalna.

Pokiwałem w milczeniu głową. Oczywiście nie pomyślałem o tym, że Tomek jest tutaj prywatnie, ściągnięty do Brodnicy przez moje rozchwiane zachowanie i sensacyjne opowieści. Martwił się o mnie i tyle.

– Widzę, że jesteś mocno zaangażowany emocjonalnie – ciągnął dalej – ale w takich sprawach trzeba brać pod uwagę najróżniejsze przyczyny śmierci, od wypadku po samobójstwo włącznie.

– Ale, Tomek! Ja wiem na pewno, że ktoś ją gonił! Uciekała przed kimś! I to właśnie tutaj! – Zacząłem się gorączkować.

Kelnerki z zainteresowaniem spojrzały w naszą stronę, aż sam siebie skarciłem za ten wybuch emocji.

– Wiem, Radek. – Tomek zachowywał spokój. – Ale musimy mieć dowody i motyw. Dojdziemy do tego, spokojnie.

Spojrzałem na niego bezradnie.

– To co możemy teraz zrobić? – Patrzyłem na niego wyczekująco. – Czuję się podle, bo nie uchroniłem Marty przed śmiercią. Mimo tego, że wspominała, że pakuje się w coś niebezpiecznego.

– Nie mogłeś wiedzieć, że to się tak skończy. – Głos mojego kuzyna brzmiał jakby prowadził jakąś terapię. – Zareagowałeś od razu, przecież zadzwoniłeś do mnie i przyjechałeś tutaj następnego dnia. I tak zrobiłeś bardzo dużo. Naprawdę nie masz sobie nic do zarzucenia. – Westchnął głęboko i wbił oczy w kubek zimnej już kawy. – Proponuję zrobić tak – przyjął bardziej rzeczowy ton – pojedziemy do najbliższej komendy, z której wczoraj przyjechał patrol wezwany nad jezioro. Przedstawię się i wyjaśnię, że jestem tutaj prywatnie i przyjechałem na twoją prośbę, gdy wczoraj zobaczyłeś martwą koleżankę, po czym w szoku do mnie zadzwoniłeś. Nie będziemy ukrywać, że jesteśmy rodziną. Będzie to brzmiało naturalnie, że zaniepokojony twoją wczorajszą relacją przyjechałem zatroszczyć się o młodszego kuzyna. Okej?

– Brzmi dobrze – przyznałem. – Ale co dalej?

– Opowiesz policjantom, że Marta dzwoniła do ciebie dwa dni temu z prośbą o spotkanie w ważnej sprawie – ciągnął. – Przyjechałeś, szukałeś jej w umówionym miejscu, czyli nad jeziorem w tym ośrodku. Nie było jej, a telefon nie odpowiadał. I wtedy zobaczyłeś, że wyciągają ją z jeziora. Tylko tyle na tym etapie możemy zrobić. Sprawdzimy, co policjanci już wiedzą i co zdążyli wy badać na miejscu. Proszę, żebyś nie wspominał o wydarzeniach sprzed lat ani o zostawionym przez nią pendrivie. Przynajmniej na razie.

Pokiwałem głową, zgadzając się z nim. Sam też wolałbym tak to zrobić.

– Najważniejsze jest to, żeby policja zaczęła śledztwo razem z prokuraturą. To ich teren. Znają ludzi, okolicę, potencjalnych sprawców. Dajmy im się wykazać. My sami na tym etapie więcej tu nie zdołamy.

Tomek miał rację. Mógł sobie pozwolić na chłodne, zawodowe podejście do tematu. Jego opanowany i rzeczowy ton podziałał na mnie uspokajająco.

– No dobrze, zawijajmy się, bo nas zaraz stąd siłą wyniosą – rzucił żartobliwie, ale widząc brak pozytywnej reakcji z mojej strony, szybko stał uśmiech ze swojej twarzy.

Rozdział 11

Pobyty w Komendzie Powiatowej Policji w Brodnicy trwał niewiarygodnie długo. Dopełnianie formalności i sprawdzanie w komputerowym systemie policji danych Tomka oraz moich zajęło dobrą godzinę. Średnio rozgarnięty funkcjonariusz nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, o której godzinie przybędzie śledczy przydzielony do pracy z takimi sprawami, więc zmarnowaliśmy ładny kawałek cennego czasu. Naczelnik wydziału kryminalnego wyjechał do stolicy, więc nie było innej możliwości, jak tylko czekać.

Kiedy w końcu do komisariatu wszedł ubrany w cywilne ciuchy podkomisarz Włodarski, który tak nam się przestawił, mogliśmy zabrać się do rzeczy. Usiedliśmy w małej, dusznej salce bez okna i wtedy opowiedziałem dokładnie wszystko w taki sposób, jak ustaliłem to z Tomkiem. Bardzo się stresowałem, bo śledczy patrzył na mnie z kamienną twarzą i wytrenowanym głosem zadawał konkretne, krótkie pytania, więc gdyby nie obecność kuzyna i jego pomoc w dopowiadaniu szczegółów, na pewno palnąłbym o jedno słowo za dużo lub wspomniałbym o czymś związanym z Sewerynem. Ale udało mi się jednak ograniczyć do konkretów związanych z samą Martą.

– I zupełnie nie podejrzewa pan, w jakiej sprawie pana koleżanka przyjechała aż do Brodnicy? – drażył temat policjant, by wycisnąć ze mnie jak najwięcej.

– Nie mam pojęcia – skłamałem. – Myślałem, że chodzi o jakąś niespodziankę i że chce w ten sposób mnie tutaj ściągnąć. Za czasów studenckich robiliśmy różne żarty.

Spojrzał na mnie uważnie.

– Jakie żarty? – Świdrował mnie wzrokiem.

Wstrzymałem oddech. Oblał mnie zimny pot. Wręcz namacalnie odczułem, jak Włodarski czyta mi w myślach.

– No różne – zawahałem się. – Jak to studenci... – zamilkłem kompletnie ogłupiały, myśląc intensywnie o tym, jak wyjść z tej pułapki, którą sam na siebie zastawiłem.

Funkcjonariusz bez najmniejszego mrugnięcia powiek nadal wpatrywał się we mnie, zabierając mi pewność siebie. Na szczęście w porę przyszedł mi na pomoc Tomek.

– Panie podkomisarzu – rzucił pewnie, prawie ostro. – Zna pan już wszystkie szczegóły otrzymane od Radka. Co prawda ja jestem tutaj prywatnie, ale chętnie się dowiem, co udało wam się ustalić. Jeśli oczywiście na tym etapie śledztwa może pan podzielić się z nami szczegółami.

Włodarski skrzywił się nieładnie i postukał palcem w biurko. Przez chwilę wyglądał tak, jakby zastanawiał się nad tym, co odpowiedzieć, ważąc w myślach szczegóły moich wyjaśnień i okoliczności znalezienia zwłok Marty.

– Jest jeszcze za wcześnie, aby cokolwiek powiedzieć – stwierdził sucho. – Zbieramy dane z okolicy jeziora, nasi ludzie pojechali właśnie przepytac pracowników i turystów z ośrodka PTTK i okolicznych mieszkańców. Sekcja zwłok odpowie nam na pytanie, co było prawdziwą przyczyną zgonu. Jeśli wykluczymy przypadkowe utonięcie albo samobójstwo – dopowiedział z naciskiem akcentując słowo „jeśli” – rozpoczniemy bardziej zaawansowane śledztwo. To tyle.

– Rozumiem. – Tomek pokiwał głową, zgadzając się z zaproponowanym schematem dochodzenia.

Tak jak wcześniej mi mówił, tak potwierdziło się w praktyce, że lokalna policja ma bardzo określone sposoby badania takich spraw i zazwyczaj zaczyna od sprawdzenia najprostszych domniemyanych przyczyn i okoliczności zdarzeń.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, badając się wzrokiem. Nie bardzo wiedziałem, o co można jeszcze zapytać i co można jeszcze dopowie-

dzieć, aby pomóc tym policjantom, nie narażając się jednocześnie na przykre konsekwencje.

Na pomoc moim rozterkom przyszedł telefon podkomisarza, który nagle zaświergolił wesoło głośnym dzwonkiem i zabłysnął rozświetlonym ekranem. Policjant szybko sięgnął po komórkę.

– Włodarski – rzucił krótko. – Acha. Tak. Już jadę.

Tomek spojrzał pytająco, ale podkomisarz wytrzymał spojrzenie.

– Przy denatce znaleźli kartę do pokoju hotelowego – powiedział w końcu. – Hotel Cykada. Ekipa już tam jedzie.

Tomkowi zabłysnęły oczy. Spojrzał na mnie porozumiewawczo.

– Pojedziemy razem. – Bardziej zdecydował, niż zapytał, ale Włodarski spojrzał z powątpiewaniem na mojego kuzyna i nieprzyjemnie zmrużył oczy.

– Nie wydaje mi się, panie inspektorze – odpowiedział złośliwie, cedząc słowa. – Po pierwsze nie jest pan tutaj oficjalnie, a po drugie – specjalnie zrobił przerwę – mogłoby to potencjalnie zaszkodzić przyszłemu śledztwu, jeśli prokurator takie uruchomi.

Kątem oka zauważyłem, jak Tomek delikatnie się spina, przygotowując się na zwarcie.

– Panie podkomisarzu – zaczął spokojnie, ale zdecydowanie. – Niezależnie od mojego prywatnego charakteru pobytu w tym mieście, pragnę panu przypomnieć, że jako wyższy stopniem oficer komendy stołecznej jestem w naturalny sposób pana przełożonym w strukturze policji.

Włodarski otwierał właśnie usta, aby zaprotestować, ale Tomek nie dał mu na to szansy.

– Komenda stołeczna nie bez kozery posiada jedne najwyższych kompetencji w naszym kraju do prowadzenia śledztw o charakterze kryminalnym i do włączania się w ich tryb, a także do przejmowania inicjatywy, jeśli zachodzi podejrzenie popełnienia morderstwa. – Mój kuzyn był bezlitosny. – Niech mi pan wierzy, że lepiej dla pana będzie, panie podkomisarzu, jeśli unikniemy oficjalnego powiadomiania o pana wątpliwościach naczelnika

Wydziału Kryminalnego tej komendy. A pana bezpośredniego przełożonego. – Tomek spojrzał wymownie prosto w oczy Włodarskiego.

W tej właśnie chwili lokalny śledczy zgubił pewność siebie, a jego poczucie bezgranicznej władzy na własnym terenie straciło swoją moc.

– A także, żeby oszczędzić panu wstydu – Tomek miękko, prawie po ojcowsku, dokończył wypowiedź – i nie wywoływać w pana przełożonym poczucia, że ogranicza pan kompetencje wyższej instancji, jaką jest Komenda Stołeczna Policji.

Aż zachłystnąłem się zachwytem nad sprawnością języka i umiejętnością manipulowania głosem mojego kuzyna. Był w tym naprawdę świetny! Rzeczywiście mógłby z powodzeniem rozpocząć karierę aktorską, o jakiej marzyła kiedyś spora część naszej rodziny.

Widziałem wyraźnie, że podkomisarz z trudem przełyka tę ciężką pigułę i bardzo mocno pracuje nad sobą, by nie wybuchnąć złością. Jednak musiał się pogodzić z tym, że bez względu na to, czy Tomasz Królikiewicz, inspektor policji z Warszawy, był tutaj prywatnie, czy nie, stał wyżej w hierarchii i przez całą dobę mógł w dowolnym momencie włączyć się w śledztwo i zażądać dostępu do danych każdego postępowania. Najwidoczniej Włodarski szybko sobie skalkulował, że bardziej mu się będzie opłacało, jeśli przystanie na towarzystwo starszego stopniem policjanta, niż narazić się na ewentualny zgrzyt i starcie ze swoim naczelnikiem w Brodnicy.

– Dobrze – powiedział w końcu przez zaciśnięte zęby. – Spotkamy się na miejscu. – Wstał i wyraźnie wściekły zamasyście wyszedł z pokoju.

Rozdział 12

Hotel Cykada położony zaledwie kilkaset metrów od jeziora Bachotek, zbudowany na skraju lasu w typowo wakacyjnym klimacie, sprawiał bardzo przyjemne wrażenie. Ogólne odczucie relaksu i wypoczynku psuł tylko policyjny samochód zaparkowany przed samym wejściem do budynku. Zajechaliśmy służbowym czarnym bmw Tomka, z którego było mi żal wysiąść. Podkomisarz Włodarski też był już na miejscu.

Kiedy weszliśmy na pierwsze piętro, gdzie znajdował się pokój Marty, zobaczyłem, że policjanci stali już niecierpliwie na korytarzu hotelowym w oczekiwaniu na obsługę obiektu, żeby dostać się do pomieszczenia. Dwóch mundurowych z komendy powiatowej spoglądało na swojego szefa, licząc na ewentualne wskazówki lub jakieś informacje. Włodarski milczał jednak, spoglądając spode łba na Tomka i mnie, gdy zmierzaliśmy w ich kierunku.

Recepcjonistka z przestraczem w oczach doszła do drzwi pokoju i nerwowo przeciągnęła kartą magnetyczną, otwierając zamek z elektromagnesem. Włodarski pchnął drzwi i zamiast zdecydowanie wkroczyć do środka, nagle zatrzymał się w progu. Ruchem ręki pokazał, żeby nikt nie wchodził, ale było to zupełnie niepotrzebne, bo i tak zagroził swoją sylwetką wejście do pokoju. Trwał tak przez chwilę, aż zniecierpliwiony Tomek podszedł do niego najbliżej, jak się da, i zajrzał mu przez ramię, lustrując wnętrze.

– Ktoś tu był – mruknął tylko. – I nieźle nabałagał.

Podkomisarz rzucił tylko okiem na mojego kuzyna i z wyraźną niechęcią mruknął:

– Najwidoczniej. Chyba że ta wasza znajoma była taką bałaganiarą...

Tomek spojrzał na niego z powątpiewaniem. Potem rzucił mi przez ramię przywołujące spojrzenie. Do tej pory wciąż nieśmiało stałem z tyłu i niczego jeszcze nie zobaczyłem. Podszedłem do nich niepewnie i zajrzałem ukradkiem do środka. Rzeczywiście, w pokoju panował niesamowity bałagan. Pomyślałem od razu, że żadna kobieta nie zostawiłaby takiego rozgardiaszu, nawet gdyby spieszyła się dokądś najbardziej na świecie. Ubrania, kosmetyki i inne drobiazgi były porozrzucane po całej powierzchni podłogi, nawet materac był ściągnięty ze skrzyni łóżka i rozbebeszony jakimś ostrym narzędziem, straszył oparty niedbale o ścianę. Intruz, czy może raczej intruzi, nie oszczędzili nawet szuflad małej komody, roztrzaskali je i porozrzucali zawartość niedbale po podłodze. Najwyraźniej ktoś tu czegoś szukał i dokładnie splądrował pomieszczenie.

– Dzwonię po ekipę, żeby zabezpieczyła ślady – zdecydował w końcu Włodarski. – Nie wchodźcie do środka, a tym bardziej niczego nie dotykajcie. – Rzucił okiem na dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, którzy stali bezradnie, onieśmieleni, i nie odzywali się ani słowem.

– Wy dwaj – wskazał palcem na policjantów – przepytajcie obsługę hotelu. Sprawdźcie, czy widziano tutaj w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin jakichś podejrzanych typów. Jeśli mają gdzieś kamery, to przejrzyjcie drobiazgowo zapis z ostatniej doby. Zróbcie to dokładnie – ddał z naciskiem.

– Okej, szefie! – rzucił jeden z nich, po czym obaj udali się na dół na recepcję hotelu.

Włodarski spojrzał na nas wymownie.

– Technicy będą najwcześniej za pół godziny – wyjaśnił cierpko. – Potem zejdzie im się pewnie dobrą godzinę, albo i dłużej.

– Poczekamy – odpowiedział twardo Tomek. – Zaczyna to wyglądać dość interesująco. Chętnie poznam wyniki badań.

Włodarski znów na nas spojrzał, jakbyśmy byli wrzodem na jego tyłku, i westchnął ciężko:

– Jak chcecie – stwierdził tylko i zatrzasnął drzwi do pokoju, odcinając nam możliwość dostępu do pomieszczenia.

* * *

Nie było innego wyjścia. Jeśli chcieliśmy dowiedzieć się czegoś z wyników oględzin pokoju, trzeba było poczekać. Mieliśmy więc sporo czasu, żeby się zastanowić, co dalej. Podczas gdy czekaliśmy w hotelowej restauracji, zapytałem Tomka, co proponuje w tej sytuacji.

– Tak jak mówiłem ci poprzednio, lokalni policjanci muszą zrobić swoje. Trzeba mieć wyniki sekcji zwłok, zeznania świadków, raport ekipy technicznej z tego zdemolowanego pokoju. Ja, niestety, mam swoją robotę i muszę zaraz wracać do Warszawy. Ty, Radek, też musisz stąd wyjechać – powiedział z naciskiem.

Spojrzałem na niego niemal z wyrzutem.

– Ale co będzie, jeśli nie przyłożą się wystarczająco do śledztwa, albo zignorują jakieś ślady? – zapytałem, oglądając się ostrożnie za siebie i sprawdzając, czy któryś z policjantów przesłuchujących pracowników hotelu nie znajduje się przypadkiem w zasięgu mojego głosu. – Przecież mam ten pendrive od Marty i wiem, dlaczego przyjechała aż tutaj i co chciała osiągnąć.

– Wiem, Radek. – Tomek znów uderzył w ten spokojny, hipnotyzujący ton. – Ale musimy działać ostrożnie i po kolei. Trzeba poczekać na wyniki dochodzenia speców z komendy z Brodnicy. – Spojrzał na mnie uważnie. – Ale mogę ci obiecać, że nie będziemy czekać beczynn timer. Z tego, co mówiłeś, Marta podejrzewała, że coś było nie tak ze śledztwem po znalezieniu zwłok Seweryna. Ty też chyba odniosłeś wrażenie, że za szybko zakończyli postępowanie i nie zadawali zbędnych pytań. Prawda?

Potaknąłem szybko głową.

– Tak. Mieliśmy tylko krótki wywiad, złożenie zeznań i to wszystko – potwierdziłem. – Wtedy wydawało mi się to zbawieniem, bo bałem się konsekwencji naszej decyzji z ukryciem ciała Seweryna, ale teraz, z perspektywy czasu, faktycznie wydaje się to bardzo dziwne. Nikt nie drażył tematu, nikt nie zadawał niepotrzebnych pytań. Nie było sekcji zwłok. Gdyby je zrobili,

to na pewno by się okazało, że przyczyną śmierci nie było utonięcie, tylko uduszenie. I wtedy na pewno zaczęłoby się śledztwo na całego...

– No właśnie mi też wydaje się to dziwne – przyznał mi rację. – Na pierwszy rzut oka wygląda to co najmniej na poważne zaniedbanie. W takich sytuacjach jednak wykonuje się sekcję zwłok, aby wytypować przyczynę zgonu. Nie wspominając o innych elementach śledztwa, jak chociażby o dokładnym zbadaniu okolicy. Na przykład tej waszej willi, w której doszło do... żartu. – Tomek nabrał powietrza, jakby nad czymś się mocno zastanawiał, ważąc w myślach, czy opłaca mu się brnąć dalej w ten temat. – Poza tym... ten pendrive. Musisz mi go dać. Poproszę Roberta o dokładną analizę zawartości pamięci, może wyczyta coś więcej niż tylko samą treść wiadomości do ciebie. – Upił łyk herbaty z niedużej filiżanki typowej dla hotelowych restauracji.

Zawsze się zastanawiałem, dlaczego podają takie małe filiżaneczki, które wystarczają zaledwie na kilka łyków napoju, a nie zaproponują klientom dużych, wygodnych kubków. W każdym razie byłaby to interesująca opcja.

– Sam list też musimy dokładnie przeanalizować – mówił dalej Tomek. – Nie tylko pod kątem potencjalnej prawdziwości jego treści i związku ze śmiercią Seweryna, ale też, żeby wyczytać coś między wierszami. Z doświadczenia wiem, że inteligentni ludzie są w stanie ukryć w treści takiej wiadomości jakiś przekaz, który na pierwszy rzut oka nie wydaje się oczywisty. Dobry śledczy w końcu wychwyci taką wiadomość, ale dobry algorytm i kawałek oprogramowania zrobi to jeszcze szybciej. – Tomek postukał palcem w stół, sygnalizując, że za chwilę powie coś ważnego. – I, Radek – spojrzał na mnie twardo – jeśli jest cokolwiek, powtarzam, cokolwiek, co pominąłeś w swojej opowieści dziś rano, lub jeśli masz coś do ukrycia, to lepiej ujawnij mi to teraz. Musisz być ze mną absolutnie szczerzy. Sporo ryzykuję, angażując się w tę sprawę. Mam nadzieję, że to rozumiesz?

Ton głosu mojego kuzyna i zimny wzrok wbity w moje oczy sprawił, że oblał mnie zimny pot i poczułem panikę. Zdałem sobie sprawę, że dla postronnego obserwatora, który nie brał udziału w wydarzeniach przed

ośmiu laty, za dużo było tu niedomówień i tajemnic, a za mało sensu i konkretów.

– Daję ci moje słowo, że absolutnie nie mam nic do ukrycia – powiedziałem przez zaciśnięte zęby. – Opowiedziałem ci szczerze wszystko, co się wydarzyło. Sam nie mam pojęcia, co tu jest grane. Jeśli posądzasz mnie o to, że coś kręcę, to...

Tomek zauważył moje oburzenie podejrzeniami z jego strony i uspokajająco pokazał otwarte dłonie, prostując palce, a potem położył je na blacie stołu.

– Spokojnie. O nic cię nie posądzam. Muszę tylko wiedzieć, czy o czymś nie zapomniałeś. Albo czy o czymś nie chcesz teraz mówić. – Znow przyjął balsamiczny ton łagodzący moje wzburzenie. – Ale jeśli mówisz, że to wszystko, to ci wierzę.

Zapadła krępująca cisza przerywana tylko dalekimi odgłosami rozmów w recepcji między gośćmi hotelowymi i pracownikami hotelu Cykada oraz odgłosami z kuchni restauracji szykującej się zapewne do pory obiadowej.

– Posłuchaj. Zrobimy tak – głos Tomka był konkretny i pewny siebie – ty wrócisz do Warszawy, masz przecież pracę. Ja poszperam w dokumentacji sprzed ośmiu lat i pogadam z tymi policjantami, którzy wtedy prowadzili sprawę. Może uda mi się coś ustalić, trafić na jakiś ślad, którym można pójść dalej. Cały problem w tym, że muszę to zrobić nieoficjalnie, po cichu. Dopóki sprawa nie trafi do naszej komendy, nie mogę za bardzo się wychylać. Sam rozumiesz, mamy swoje zadania, i to dużego kalibru. A sprawa Marty to na razie śmierć w niewyjaśnionych okolicznościach i tylko jakieś domysły, że może to być część grubszej sprawy. Bez żadnych dowodów.

Potwierdziłem skinieniem głowy, że doskonale to rozumiem.

– Przez ten czas ci tutaj – kiwnął głową w nieokreślonym kierunku gdzieś za swoimi plecami – powinni mieć już wyniki swojego dochodzenia. Poproszę ich o przysłanie informacji, jak już zbiorą wszystkie dane. Nie powinni robić problemów. – Tomek dokończył herbatę i tęsknie spojrział w stronę kuchni. – Ze swojej strony dam ci znać, co ustaliłem, najszybciej, jak to możliwe. Okej?

Znów milcząco pokiwałem głową.

– Postaraj się zrelaksować i trochę odprężyć. Wiem, że w ciągu ostatnich godzin dużo przeżyłeś. Ale na razie nie możesz nic więcej zrobić. – Uśmiechnął się smutno.

Ja znów pokiwałem głową.

– Głodny jestem. – Nagle zmienił temat i ton głosu. – Zamówmy coś, póki czekamy na zakończenie przeszukania pokoju. Co zjemy?

Kiedy pół godziny później kończyliśmy typowe polskie dania, jakieś kotlety z ziemniakami i surówkami, ekipa techniczna zbierała już swoje graty i powoli wynosiła się z hotelu. Dwaj mundurowi zwinęli się jeszcze wcześniej, bo ze zrozumiałych powodów po szybkim przepytaniu pracowników Cykady i spisaniu zeznań nie mieli nic więcej do roboty.

Jak na złość, okazało się, że jedyna kamera wideo zamontowana w recepcji hotelu była od kilku dni zepsuta i nie udało się skorzystać z tego sprzętu. Ku rozczarowaniu policji wynik krótkiego rozpytania nie dał na razie żadnych informacji. Z tego, co nam skrótowo przekazali, dowiedzieliśmy się jedynie, że nikt z pracowników hotelu nie zauważył niczego podejrzanego, a na pewno nie odnotowano wejścia na teren obiektu obcych osób, które nie były gośćmi hotelowymi. Żadnych nietypowych zachowań klientów, żadnych oznak włamania czy dziwnych sytuacji.

Podkomisarz Włodarski zaprosił nas w końcu do pokoju, w którym mieszkała Marta.

Razem z Tomkiem wszedłem do częściowo uprzątniętego już pomieszczenia i poczułem się dziwnie nieswojo. Świadomość, że jeszcze kilkanaście godzin temu mieszkała tutaj żywa kobieta, przyjaciółka ze studiów, która teraz leżała martwa w jakimś prosektorium, przybijała mnie mocno i sprawiała, że wpadłem w jeszcze bardziej ponury nastrój.

Rozejrzałem się po pokoju. Technicy pozbierali porozrzucane poprzednio prywatne rzeczy dziewczyny i poukładali je na łóżku, powkładali też na właściwe miejsca powyrywane wcześniej z komody szuflady. Przyglądając się temu wszystkiemu nieco dokładniej, stwierdziłem, że po ogromnym bałaganie zrobionym przez nieznaną sprawców prawie nie było już

śladu. Jedynie pocięty nożem, zniszczony materac stał oparty o ścianę pokoju i psuł cały efekt zrobionego na szybko porządku. Mała podróżna torba leżała na łóżku obok ubrań i kosmetyków Marty.

– Nic ciekawego nie znaleźliśmy – stwierdził kwaśno Włodarski. – Tylko ciuchy i kosmetyki. Rzeczy osobiste. Technicy dokładnie sprawdzili pomieszczenie. Zdjęli odciski palców. Zobaczymy, co nam to powie. Poza tym zupełnie czysto. Żadnych podejrzanych przedmiotów czy śladów. – Podkomisarz wyglądał na mocno rozczarowanego, zupełnie jakby się spodziewał znaleźć tu Bóg wie co, broń albo narkotyki. – Nawet jeśli włamywacze znaleźli coś dla nich interesującego, to i tak teraz się nie dowiemy, czego szukali i czy to coś znaleźli.

Spojrzałem na łóżko. Ubrania, dezodorant, szczotka do włosów, ładowarka do telefonu, generalnie nic specjalnego. Z zaciekawieniem sięgnąłem natomiast po dość grubą, miękko oprawioną książkę z blad różową okładką. Za pierwszą stroną tkwiła papierowa zakładka z logo EMPIK-u. Spojrzałem, zaciekawiony, na tytuł książki. *Saga rodziny Goldberg*, tom I. Od razu pomyślałem, że to pewnie typowa babska literatura, bo zarówno sam tytuł, jak i ta różowa, romantyczna okładka z jakąś patetyczną damulką w ogromnym białym kapeluszu sprzed lat przywodziły na myśl romansidło dla znudzonych gospodyń domowych.

Przekartkowałem szybko książkę, ale nic nie wypadło ze środka. Żadnego listu, żadnej dodatkowej kartki. Włodarski zauważył to i niedbale wskazał palcem na trzymany przeze mnie przedmiot.

– Nic tam nie było – skwitował. – Technicy już to przejrzyli i nie zauważyli niczego podejrzanego.

Chwilę tak staliśmy, nie wiedząc, co dalej powiedzieć, ale ciszę przerwał Tomek, który widocznie spieszył się z powrotem do Warszawy.

– Dziękuję, panie podkomisarzu – zaczął. – Bardzo proszę o przesłanie informacji na temat wyników sekcji zwłok denatki, jak tylko do pana trafią. Tu jest kontakt do mnie. – Podał Włodarskiemu swoją wizytówkę.

– Oczywiście – potwierdził zimno policjant, chowając od razu kartonik do kieszeni. Nie spojrzał nawet na nadrukowane na nim informacje.

– Mój kuzyn pozostaje do dyspozycji, gdyby chcieli panowie jeszcze go o coś zapytać. – Widziałem, że Tomek chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę i ruszyć w drogę powrotną. Teraz poczułem, że przeze mnie zmarnował cały dzień.

Włodarski kiwnął tylko głową.

– Na razie nie ma takiej potrzeby, mamy już zeznanie i zapisany telefon do pana Rozbickiego. – Spojrzał na nas wyczekująco, po czym, nie widząc żadnej reakcji, zaczął szybko zbierać rzeczy Marty do małej czarnej torby. Skończył i wbił we mnie wzrok.

Domyśliłem się, że chodzi mu o książkę, którą cały czas kurczowo trzymałem w dłoniach.

– Jeśli można... – zająknąłem się. – Chciałbym to zatrzymać... Na pamiątkę po przyjaciółce.

Poczułem, że brzmię fałszywie i jakoś tak melodramatycznie, że aż sam się sobie zdziwiłem. Właściwie tak do końca nie wiedziałem, po co mi ta książka, ale poczułem, że muszę ją mieć. Moje słowa ostatecznie odniosły pozytywny skutek, bo policjant po krótkim wahaniu cofnął rękę, którą wcześniej wyciągnął w moim kierunku.

– Oczywiście – stwierdził sucho. – Nie będzie nam potrzebna.

– Do widzenia, panie podkomisarzu. – Tomek już zabierał się do wyjścia. – Proszę pamiętać o informacjach dla mnie.

Po chwili byliśmy już poza hotelem. Tomek podwiózł mnie do mojego samochodu, który zostawiłem poprzedniego wieczoru przed Magnatem, pożegnaliśmy się i każdy z nas wrócił do swojego życia.

Rozdział 13

Powrót do Warszawy nie był łatwy. Był wręcz koszmarem. Spędziłem sam ze sobą i swoimi myślami ponad trzy godziny w samochodzie, wpadając coraz bardziej w depresję i zwątpienie. Nagle znalazłem się w samym środku niewyjaśnionych wydarzeń rodem z filmu kryminalnego i zupełnie nieprzygotowany przez życie na konfrontację z tego typu sytuacjami rozleciałem się na kawałki. Nie mogłem prowadzić w takim stanie. Musiałem zatrzymać się gdzieś po drodze. Płacząc z bezsilności oraz zwątpienia, przeklinałem los. Już dwie niewinne osoby, nie wiadomo dlaczego i w jakiej sprawie, straciły życie. Ktoś za tym wszystkim stał, ktoś zdecydowany na wszystko, kto nie wahał się zabić, a ja czułem się zagubiony i zagrożony.

Jedyną pociechą było wsparcie Tomka, który zaangażował się w śledztwo i obiecał zbadać sprawę, choć stanowiło to dla niego dodatkowe, niewdzięczne zajęcie.

Podczas kolejnych dni powoli wróciłem do swojego życia, od czasu do czasu tylko zastanawiając się na tym, co będzie dalej i czy policjanci z Brodnicy odkryli coś istotnego, co pozwoliłoby trafić na ślad przestępców. Czekałem też na sygnał od Tomka, ale się nie odzywał, a ja nie chciałem mu się zbyt narzucać ani zawracać głowy.

Czasami siadałem wieczorami nad książką Marty, próbując czytać tę typowo kobiecą literaturę, ale nie byłem w stanie przebrnąć przez górnolotny i patetyczny styl pisarki, przeznaczony raczej dla pań i przywodzący na myśl dzieła typu *Przeminęło z wiatrem* lub *Duma i uprzedzenie*. Zrobiłem kilka podejść do tej książki, ale zawsze poddawałem się po kilkunastu stronach, odkładając gruby tom na półkę.

Na przygnębiającym pogrzebie Marty nie dostrzegłem innych kolegów z naszej starej paczki ze studiów, choć poinformowałem Elizę przez komunikator o tej przykrej uroczystości, prosząc ją o dalszy kontakt z innymi osobami. Nie wiem, czy sama nie była w stanie dotrzeć na cmentarz, czy nie chciała się po prostu tam pojawić ani czy w ogóle uczyniła próbę kontaktu z pozostałymi osobami z naszej studenckiej grupy. Zostawiłem jej swój numer telefonu, ale nawet nie odpisała i nie oddzwoniła. Bolesnie odczułem fakt, że wszystko się rozpadło, rozleciało na kawałki. Rozkład zaczął się osiem lat wcześniej i już nigdy nasza grupa nie wróciła do dawnych relacji.

Mijały dni, aż w końcu zadzwonił do mnie Tomek i umówiliśmy się na spotkanie. Przyjechał prosto do mnie, żeby na spokojnie porozmawiać. Akurat moja Ania była tego wieczoru poza domem, co stanowiło dodatkową zaletę, bo mogliśmy poruszyć wszystkie, nawet te najbardziej wstrząsające i wciąż krępujące dla mnie aspekty sprawy, które rzucały cień na moją osobę. Do tej pory nie powiedziałem narzeczonej, że przed laty w panice pozbyliśmy się ciała i że uczestniczyłem w tym haniebnym czynie. Podejrzywałem, że przyjdzie taki dzień, kiedy będę musiał się do tego przyznać, ale najchętniej odłożyłbym to na świętego nigdy.

– Ładnie mieszkaś. – Tomek rzucił szybko okiem, lustrując wnętrze naszego mieszkania, kiedy tylko przekroczył próg. – Jakoś nigdy u was nie byłem.

– A bo zawsze u ciotki się widzimy albo u dziadków na świętach – odpowiedziałem skrępowany, bo faktycznie jakoś nigdy się nie złożyło, by go do nas zaprosić.

– Trzymasz się jakoś? – zapytał, zdejmując kurtkę.

– Staram się nie myśleć za dużo o tym wszystkim, bo można zwariować – bąknąłem.

Pokiwał tylko ze zrozumieniem głową.

Weszliśmy do środka i z niecierpliwością spojrzałem na kuzyna, który, wierzyłem w to mocno, musiał mi przynieść dziś jakieś konkretne infor-

macje. Coś, co wyjaśni choć trochę to, o co w tym wszystkim chodzi, i odpowie na pytanie, dlaczego już dwie osoby nie żyją.

– Mam raporty z Brodnicy – zaczął bez wstępów. – Najbardziej przykra ze spraw, to przyczyna śmierci Marty Kwiek. Prokurator zarządził przeprowadzenie sekcji zwłok, która wykazała, że bezpośrednią przyczyną zgonu dziewczyny było utonięcie.

– Tak po prostu? – Uniosłem w zdziwieniu brwi.

– Nie znaleziono przy denatce żadnych przedmiotów ani śladów DNA potencjalnych sprawców. Lekarz sądowy, który prowadził oględziny, nie odnotował też śladów walki, siniaków czy zadrapań. W takich okolicznościach ciężko zakwalifikować śmierć dziewczyny jako morderstwo, bo nie ma żadnych dowodów czy nawet poszlak. Do raportu lekarz wpisał po prostu: utonięcie. – Tomek zobaczył moją konsternację na twarzy. – Wiesz, że nawet jeśli założymy, iż faktycznie ktoś ją zabił – spojrzał na mnie smutno – to zrobił to tak profesjonalnie, że nie ma po tym śladu. Chciałbym ci oszczędzić szczegółów, ale... mogli ją umiejętnie przytrzymać pod wodą, żeby nie zostawić na jej ciele siniaków. Aż się utopiła. To, niestety, nie jest aż takie trudne.

– Ale tam przy brzegu była raczej płytka woda! – zaprotestowałem. – Dorosły człowiek nie utonie tak po prostu, bez żadnej przyczyny. I to przy samej plaży.

– Ciało mogło dopłynąć do tego miejsca niesione przez wodę – powiedział smutno. – Nie da się teraz wyjaśnić, w którym miejscu wpadła do jeziora. Żeby dokładnie zbadać ślady odcisków butów na piasku, policja musiałaby być tam zaraz po zdarzeniu. A przez te ostatnie kilkanaście godzin kręciło się tam trochę turystów i obsługi ośrodka, więc jeśli nawet były tam jakieś ślady, to dawno zostały zatarte.

Nerwowo potarłem nos.

– No a świadkowie? Nikt jej nie widział? Poprzedniego wieczoru?

– Niestety – podsumował. – Okolica jest raczej wyludniona. Sam tam byłeś, to widziałeś. Ośrodek PTTK jest mocno zaniedbany i nie przyciąga tłumów. A dodatkowo, z tego co mówiłeś, Marta dzwoniła późnym wieczorem.

rem, gdy było już ciemno. Najwidoczniej w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby być świadkiem zdarzenia. Ani pracownicy ośrodka, ani przypadkowi turyści nie pomogli w tej sprawie. W tym lesie nie ma też żadnego monitoringu.

Smutno zwiesiłem głowę, myśląc, że śmierć przyjaciółki pójdzie na marne, skoro nie ma nawet najmniejszego śladu sprawców. Nagle przyszło mi coś do głowy.

– No a co z jej pokojem? – zapytałem nerwowo. – Ustalili coś?

– Tylko to, co słyszałeś, kiedy byliśmy na miejscu. Pokój był czysty, w hotelu nikt nic nie zauważył, nie było nawet materiału wideo z kamery w recepcji. Jedyna szansa była jeszcze w zdjętych odciskach palców z klamek drzwi, futryny i mebli, ale i to niewiele pomogło. Zebrano jedynie ślady Marty Kwiek, pracowników hotelu i jakieś inne, niezidentyfikowane, mogły być kogokolwiek, na przykład poprzednich lokatorów. Niestety, policja dalej się nie posunie z dochodzeniem: brak środków i ludzi. Poza tym – Tomek zawiesił głos i spojrzał na mnie – oni już zamknęli sprawę. Tak jak mówiłem na początku... utonięcie. Nieszczęśliwy wypadek.

– Cholera! – zakląłem i przygryzłem dolną wargę ze złości.

Za chwilę znów usłyszałem kojący głos Tomka, przypominający spokojny ton terapeuty pracującego nad swoim pacjentem.

– Radek, tamta sprawa na razie jest nie do ruszenia. Przepraszam, że przyszedłem z kiepskimi wiadomościami, ale nic więcej w Brodnicy nie działałam. Przynajmniej na tym etapie. Ale... – zawiesił głos, a ja spojrzałem z ciekawością. Czyżby miał jeszcze jakiegoś asa w rękawie? – Tak jak ci obiecałem, pogrzebałem trochę w tej sprawie sprzed lat, kiedy to przeprowadzono tylko powierzchowne śledztwo i szybko zamknięto dochodzenie.

Spoglądałem z ciekawością na twarz kuzyna, oczekując dalszego ciągu.

– Nie było łatwo dostać się do tych akt, ale jakoś po długich staraniach udało mi się przekonać naczelnika Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego z komendy powiatowej w Legionowie, żeby udostępnił mi te dokumenty nawet bez oficjalnego nakazu. Pamiętaj, że cały czas działałam nieoficjalnie.

– Kuzyn spojrzał na mnie znacząco.

Nerwowo potwierdziłem, że, oczywiście, pamiętam i jestem wdzięczny za włączenie się w tę sprawę.

– Przejrzałem dokładnie dokumentację. Zawierała zeznania przypadkowych dzieciaków, które znalazły ciało, waszej grupy przyjaciół, notatki ze śledztwa, opinię prokuratora. Od razu zauważyłem, że nie było tego za dużo. Zaledwie kilka kartek, kilka zdjęć. Cienka, szara teczka. Data, numer sprawy, podpis śledczego prowadzącego temat i prokuratora. To wszystko. Oglądałem po kolei wasze zeznania: twoje, Michała Czerwca, Marty Kwiek, Elizy Marjanowskiej, Krzysztofa Nieczuja i Anety Kochańskiej. To chyba byli wszyscy uczestnicy tamtej imprezy? – Tomek skierował pytające spojrzenie w moim kierunku.

– Tak, wszyscy – pokiwałem głową. – Oprócz Seweryna, który umarł tej nocy na naszych oczach.

– W takim razie – mój kuzyn mówił dalej – były tam zeznania wszystkich osób z tego wyjazdu, niczego nie brakowało. Do tego zaraz jeszcze wrócę, ale najpierw powiem ci o moich wrażeniach z oględzin pozostałych dokumentów z udostępnionej mi teczki. Otóż to, co rzuciło mi się w oczy, to bardzo lakoniczna, wręcz minimalistyczna opinia dyżurnego prokuratora, który został wezwany na miejsce odnalezienia ciała.

Wyczekująco patrzyłem na inspektora, który zaczął mówić niezwykle ciekawe rzeczy.

– Musisz wiedzieć – wyjaśniał mi dalej tonem wykładowcy prowadzącego zajęcia na uczelni – że pomimo tego, iż to policjanci przyjeżdżają pierwsi na miejsce zdarzenia, to następnie ktoś inny decyduje o dalszych krokach. Po wstępnych oględzinach miejsca i znalezionych zwłok zawiadamiają telefonicznie pełniącego właśnie dyżur prokuratora. Ten jedzie na miejsce zdarzenia. I, co ważne, to on decyduje o przebiegu sprawy, a nie mundurowi. Mówiąc krótko, to od prokuratora zależy, jak potoczą się dalsze losy śledztwa.

Pokiwałem w milczeniu głową.

– To tak samo jak w Brodnicy, nad tym jeziorem Bachotek, gdzie znaleziono Martę – odpowiedziałem.

– Dokładnie tak – potwierdził Tomek. – I o ile sam naocznie widziałeś, jak to wyglądało w praktyce kilka dni temu, to niestety ani ja, ani ty, ani nikt z twoich znajomych nie był świadkiem odkrycia sprzed ośmiu lat, kiedy to nad Zegrzem ktoś natknął się na ciało waszego kolegi. – Tomek nabrał powietrza, jakby szykował się do dłuższej tyrady. – W każdym razie raport z miejsca zdarzenia, w tym wypadku z dzikiej plaży nad Zalewem Zegrzyńskim, był niezwykle lakoniczny i krótki. Z tego, co wyczytałem, notatka mówiła tylko o tym, że w dniu takim i takim znaleziono w wodzie przy brzegu ciało mężczyzny, które dryfowało zaczepione o konar przewróconego w tym miejscu drzewa. Po wyciągnięciu zwłok z wody dokonano wstępnych oględzin, które wskazały za prawdopodobną przyczynę śmierci utonięcie pod wpływem alkoholu.

Rzuciłem szybkie spojrzenie na Tomka.

– Ale skąd wyciągnęli taki wniosek? – zdziwiłem się. – Przecież od imprezy minęło już trochę czasu, kilka dni, a policjanci nie byli w stanie chyba na szybko oszacować, że Seweryn pił? Zwłaszcza że ciało leżało cały czas w wodzie.

Na twarzy Tomka odmalowała się satysfakcja, że wychwyciłem ten szczegół raportu.

– No właśnie – potwierdził. – To jest jeden z tych elementów, które całkowicie zaburzają poprawność przeprowadzonych badań na miejscu i sprawiają, że wygląda to mocno podejrzanie. Jak się wydaje, prokurator na podstawie opinii patologa stwierdził, że w takich okolicznościach nie rekomenduje wykonania sekcji zwłok, bo nie jest to w tym przypadku potrzebne. Zalecił tylko rutynowe przesłuchanie świadków, czyli rodziny zmarłego i najbliższych znajomych pod kątem ustalenia przebiegu wydarzeń z ostatniego tygodnia. Mundurowi policjanci, którzy przybyli na miejsce z komendy w Nieporęcie, potwierdzili tylko swoimi podpisami, że odbyło się to zgodnie z zapisami w raporcie. Sprawę dalej przekazano do komendy powiatowej w Legionowie, gdzie tematem zajął się niejaki aspirant Banaś, z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego. To właśnie on razem z dru-

gim funkcjonariuszem w ciągu następnych dni zajęli się przesłuchaniem rodziny i przyjaciół, w tym waszej grupy, która była nad Zegrzem.

– Tak, pamiętam ich, jakby to było wczoraj – przytaknąłem szybko.

– Nie dziwię ci się, bo pewnie było to dla ciebie ogromnym przeżyciem – powiedział. – I musiałeś się pilnować, żeby zataić prawdziwą wersję wydarzeń. Opowiedzieć policji to, co na szybko doradził ci wtedy Michał. Złożyłeś fałszywe zeznania. Skłamałeś w obliczu prawa.

Poczułem, jak niemiłosiernie pieką mnie policzki, bo wspomnienie tamtego oszustwa wróciło teraz ze zdwojoną siłą i doświadczyłem narastającej winy. Ton, z jakim Tomek to powiedział, podziałał na mnie z odpowiednim skutkiem. A on zauważył moją reakcję.

– Nie to, żebym cię oceniał, Radek – rzucił szybko. – Rozumiem, że działałeś w dużym stresie i strachu. Pod wpływem presji i zbiorowej hysterii. Tylko stwierdzam fakt. No już! Odpręż się. To było dawno, a ja nie zamierzam ci zaszkodzić.

Tomek klepnął mnie po przyjacielsku w ramię i trochę rozluźnił atmosferę. Podziałało na tyle, że przestałem myśleć o moim oszustwie.

– No ale co dalej? – zapytałem w końcu. – Znalazłeś coś jeszcze w tych aktach?

– Przestudiowałem dokładnie zeznania, a zwłaszcza wasze. Tej waszej szóstki z imprezy – wznowił wyjaśnienia. – Były dokładnie takie, jak mi mówiłeś kilka dni temu. Była impreza, ognisko, grill, muzyka, alkohol. Wszyscy zgodnie zeznali, że w pewnym momencie, między dwudziestą trzecią a północą, Seweryn oznajmił, że jedzie spotkać się z jakąś nowo poznaną dziewczyną z Tindera. Miało to być gdzieś niedaleko, w sąsiedniej miejscowości, też nad Zalewem Zegrzyńskim. Na pytanie policji, czy nic was w tym nie zdziwiło, każdy odpowiedział podobnie, że taki właśnie był ten wasz kolega, zwariowany, towarzyski, nieprzewidywalny, spontaniczny. Koniec końców, niezatrzymywany przez nikogo, wezwał taksówkę i pojechał. Na kolejne pytanie policjantów, czy nie zaniepokoiło nikogo, że nie wrócił aż do rana, padły podobne odpowiedzi do twojej: „Seweryn taki już był, że często znikał i nikomu się nie tłumaczył”.

– W sumie właśnie taki był – dodałem. – Ironia losu sprawiła, że właściwie przynajmniej tutaj nie musieliśmy kłamać. Seweryn naprawdę często robił nieprzewidywalne rzeczy, a my wszyscy byliśmy do tego przyzwyczajeni. Nawet ten żart przygotowany przez niego razem z Martą pasował do niego idealnie. Aż dziwne, że się wtedy na niego nabraliśmy.

– Może właśnie o to komuś chodziło – wtrącił z zagadkową miną Tomek.
– Nie sądzisz?

Spojrzałem na niego zdziwiony.

– Co masz na myśli? – zapytałem.

– Sprawca śmierci Lemana dokładnie wiedział, jaki on był i jak można wykorzystać ten fakt, żeby pierwszy żart odwrócił waszą uwagę od zamachu na jego życie – odpowiedział. – Ten, kto zaplanował morderstwo Seweryna, sprawnie i z pełną bezwzględnością wykorzystał sytuację, bo wiedział, że po takim żarcie, kiedy to zostaliście wkręceni w symulowaną śmierć kolegi, już drugi raz nie zareagujecie i pozwolicie mu się udusić. W ten sposób Seweryn nie miał najmniejszych szans na przeżycie, bo morderca doskonale wiedział, że nikt mu nie pomoże.

– Cholera! Nigdy bym o tym w ten sposób nie pomyślał!

Nastąpiło milczenie, bo musiałem przetrwać tę informację i zastanowić się jeszcze raz nad grupą ludzi, która przez kilka lat była mi bliska, a okazało się, że wśród nich jest zabójca, który z zimną krwią spowodował śmierć naszego kolegi. I, być może, kilka dni temu doprowadził do śmierci Marty.

– Radek. – Tomek spojrzał mi twardo w oczy. – Czy jesteś w stanie ocenić, nawet z perspektywy czasu, kto, poza Martą, która zaplanowała razem z Sewerynem ten śmiertelny żart, mógł jeszcze wiedzieć, że zamierzają odegrać tę aktorską scenę przy ognisku? Czy ktoś z pozostałych czterech osób mógł się tego domyślać?

Podrapałem się z zakłopotaniem w brodę.

– W mordę... nie mam zielonego pojęcia. Po tylu latach nie jestem w stanie przypomnieć sobie, czy ktoś zachowywał się jakoś inaczej albo podej-

rzanie. Tomek, ja nie potrafię sobie teraz nawet wyobrazić, że w ogóle ktośkolwiek z nas mógłby coś tak potwornego zrobić!

– No tak... Może ktoś po prostu nawet przypadkowo podsłuchał, jak Marta z Sewerynem planują ten numer, i wykorzystał ten fakt. – Mój kuzyn się zamyślił. – No w każdym razie jest to jedna z zagadek, na którą nie mamy odpowiedzi.

– No chyba że wpadliśmy w paranoję i faktycznie to był wypadek – mruk-
nąłem zrezygnowany. – A śmierć Marty ma związek z czymś innym.

– To jedna z ewentualności – zgodził się ze mną Tomek. – Ale... sądzę, że jednak nie mamy paranoi. Zaraz ci powiem, dlaczego tak uważam. Ma to związek z waszymi zeznaniami.

Spojrzałem na Królikiewicza zdziwiony, oczekując wyjaśnienia tego, co przed chwilą usłyszałem.

– Otóż, tak jak ci powiedziałem, wszystkie zeznania sześciu osób z imprezy były bardzo podobne, spójne, a w zasadzie nawet takie same. W pierwszej chwili przyjąłem to za rzecz oczywistą, bo pamiętałem, jak mówiliś, że Michał zadzwonił do każdego z was i szybko udzielił wskazówek, co i jak mówić, by zeznania były podobne. By policja nie miała podstaw do dalszego grzebania w temacie i aby nie prowokować niepotrzebnie kolejnych przesłuchań, bo wtedy na pewno ktoś by się pogubił w zeznaniach i wyszłoby na jaw, że kręcicie. I że prawdziwy przebieg wydarzeń z tej nocy był kompletnie inny.

– Tak było – potwierdziłem.

Tomek pokiwał głową.

– Tyle że... – wznowił swój wywód – o ile rozumiem, to wszyscy byli w bardzo dużym stresie i świeże wspomnienia tej tragicznej nocy musiały trzymać was jeszcze długo po tym feralnym weekendzie. Byliście młodzi i na pewno śmierć kolegi oraz późniejsza paniczna reakcja związana z pozbyciem się ciała musiały wywołać ogromne napięcie psychiczne. No chyba że przyjmujemy, że cała wasza szóstka była dobrze wytrenowana psychologicznie i przeszła niezłe szkolenie, aby trzymać nerwy na wodzy i bezbłędnie powtórzyć słowo w słowo dokładnie to samo, co pozostali?

– Oczywiście, że nie – odparłem.

– No właśnie, Radek. Poza tym mówiłeś, że Michał zadzwonił do ciebie dosłownie na pół minuty, tak? Spieszyło mu się, bo musiał zadzwonić jeszcze do pozostałych osób, a nie wiedział, w jakiej kolejności policjanci będą was odwiedzać. Szybko przekazał informację i się rozłączył.

– Tak było – potwierdziłem po raz któryś.

– No to jak zbierzemy te fakty do kupy – argumentował Tomek – ogromny stres, krótki i nerwowy komunikat od Michała oraz brak komunikacji pomiędzy wami przed odwiedzinami policji, by uzgodnić zeznania, to jakim cudem wszystkich sześć raportów jest identycznych?

Zbaraniałem i popatrzyłem tępo na kuzyna.

– Ale jak to? Identycznych? – zapytałem głupio.

– Tak, identycznych – potwierdził. – W pierwszej chwili nie zwróciłem na to uwagi, ale przeczytałem je kilka razy i wiesz co? Nie ma żadnych, dosłownie żadnych faktów, które by się chociaż minimalnie nie zgadzały. Wszystkie zeznania są idealną kopią. Te same informacje, te same szacunkowe godziny, te same emocje bijące z użytych słów. Jakby ktoś zrobił kopię.

– Co to oznacza? – zapytałem.

Tomek westchnął głęboko.

– Na pierwszy rzut oka – podsumował – że ktoś celowo tak pokierował spisywaniem zeznań, żeby były spójne i nie budziły żadnych zastrzeżeń, i żeby szybko można było zamknąć śledztwo.

– Czyli ci policjanci to zrobili? – krzyknąłem z podniecenia.

– Prawdopodobnie. Tylko pytanie, po co to zrobili i na czyje zlecenie działali.

Milczeliśmy przez chwilę, a ja, porażony tą rewelacją, znów nabrałem przekonania, że wchodzimy coraz głębiej w bardzo niebezpieczną historię. To wszystko zaczynało być naprawdę przerażające.

– To co teraz możemy zrobić? – zapytałem w końcu.

Tomek pstryknął palcami, jakby od początku czekał na takie pytanie.

– Mam dwa pomysły. Po pierwsze, spotkać się z twoimi przyjaciółmi i porozmawiać z nimi. Chętnie zapytałbym ich o szczegóły tamtego fatalnego wieczoru i poprosiłbym raz jeszcze o powtórzenie zeznań. Założę się, że wyszłoby coś innego niż w aktach policji.

Pokiwałem bez słowa głową.

– Poproszę cię o numery telefonów do tych osób.

– Jasne, choć nie mam numerów do wszystkich osób – odpowiedziałem.

– Po drugie, chętnie spotkam się z tymi policjantami, którzy was odwiedzali. Ciekawe, co mieliby do powiedzenia po tych ośmiu latach i czy teraz nie pogubiliby się w zeznaniach.

– Dobry pomysł. Tylko czy nie będziesz miał przez to kłopotów?

Tomek uśmiechnął się szelmowsko.

– Spokojnie, zrobię to dyskretnie. Przecież wciąż działałem nieoficjalnie.

Uzgodniliśmy więc, że inspektor Tomasz Królikiewicz, w miarę swoich możliwości i czasu, przeprowadzi dyskretnie prywatne śledztwo i odpyta tych kilka osób uczestniczących lata temu w wydarzeniach, które dopiero miały nabrać zupełnie innego znaczenia, niż wszystkim do tej pory się wydawało.

Rozdział 14

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu na efekty pracy Tomka nie musiałem długo czekać, bo już po trzech dniach dostałem krótką, ale treściwą wiadomość na czacie. „Dziś, godz. 20.30, bar Pelikan. Ważne”. Serce zabiło mi szybciej i z niecierpliwością czekałem na wieczór, by się dowiedzieć, co takiego ten mój zdolny kuzyn ustalił.

Jedyny problem, jaki się pojawił, to coraz bardziej podejrzliwe pytania Ani, która nie bardzo chciała uwierzyć w moje mętne tłumaczenia po co i z kim chcę się zobaczyć. Ale w końcu pokazałem jej wiadomość od Tomka, tłumacząc, że to jakieś rodzinne tematy związane ze spadkiem po dalekich krewnych. Utwierdziłem narzeczoną w przekonaniu, że lepiej będzie, jak załatwię sprawy z kuzynem gdzieś na mieście. Jakoś to przeszło i tego wieczoru mogłem spokojnie wyjść z domu.

Kompletnie nie wiedziałem, dlaczego bar Pelikan stał się dla Tomka idealnym miejscem spotkania, ale nie zastanawiałem się nad tym. Zresztą lokalizacja bardzo mi pasowała i teraz już siedzieliśmy przy zwyczajnym restauracyjnym stoliku, jedząc frytki z dużego głębokiego talerza.

– Podobno kucharz tej restauracji – zaczął enigmatycznie Tomek – był związany przez kilka lat z mafią z Bemowa. Ale po serii aresztowań dostał status świadka koronnego, wsypał całą bandę odpowiedzialną za nielegalny handel bronią i wymigał się od odpowiedzialności.

– No coś ty! – zdziwiłem się. – I pracuje tutaj jako kucharz, zamiast się ukrywać?

– No właśnie podobno to jest najlepszy kamuflaż – zaśmiał się Tomek. – Uważa, że nic mu nie grozi. Poza tym cała wroga szajka siedzi, a kluczowe

osoby z grupy nie żyją, więc czuje się bezpiecznie. Zresztą, nie wiem. Może to sobowtór tamtego gościa? Nieważne.

Z niecierpliwością spojrzałem na kuzyna.

– No, masz coś? Powiedz!

– Spokojnie, mam – potwierdził. – I to dużo ciekawych rzeczy. Bardzo ciekawych.

Moja twarz zapewne wyrażała taką niecierpliwość, że Tomek aż się zaśmiał.

– Ale masz minę. – Udał, że zakrywa oczy rękami, jakby nie chciał na to patrzeć. – No ale nie trzymam cię w niepewności, już mówię. Dzięki twoim danym udało mi się skontaktować z Elizą i Michałem. To znaczy najpierw z Elizą, a później, powiedzmy, po pewnych komplikacjach, także z Michałem Czerwcem. – Inspektor Królikiewicz zgarnął z talerza kilka dobrze wysmażonych frytek i wpakował sobie wszystkie do ust. Chwilę zajęło mu przeżucie tej dużej porcji, podczas gdy ja umierałem z ciekawości, aby usłyszeć to, co udało mu się wybadać. – Niestety – zawiesił głos – Aneta Kochańska i Krzysztof Nieczuj są na razie poza zasięgiem. Ani Eliza, ani Michał nie wiedzą, gdzie można ich szukać. Nie utrzymywali ze sobą kontaktu od tamtych wydarzeń, zresztą tak jak i pozostali. Ale ty przynajmniej miałeś telefon do Elizy. Co do ostatnich dwóch osób, to nie ma żadnych namiarów. Zapadli się pod ziemię.

– Może wyjechali za granicę? – podpowiedziałem.

– Może – zgodził się Tomek. – Jeszcze ich poszukam w bazie danych. Na pewno wcześniej czy później trafię na ich ślad. Ale po kolei. Eliza Marjanowska. Bez problemu udało mi się z nią spotkać. Była, co prawda, zaskoczona, że policja znów grzebie w tej sprawie, ale szybko wyjaśniłem, że są jakieś nowe fakty, które wyszły na jaw, i że potrzebuję jej pomocy. W każdym razie dziewczyna podtrzymała poprzednie zeznania, co mnie szczególnie nie zdziwiło, bo ktoś z własnej nieprzymuszonej woli chciałby się przyznać do oszustwa. Zapytałem potem, czy wie o śmierci Marty Kwiek, i tutaj trochę zmiękła. Potwierdziła, że, owszem, dotarły do niej te przykre informacje i słyszała, że Marta utopiła się w jakimś jeziorze, ale nic więcej

na ten temat nie wiedziała. Tyle tylko, że przytrafił się jej śmiertelny wypadek. Następnie przez jakiś czas swobodnie rozmawialiśmy, a ja próbowałem wychwycić w jej wypowiedziach jakieś niezgodności, jakieś fakty, których wcześniej nie było w aktach policji. Ale nic takiego się nie pojawiło. Nic nowego ani budzącego wątpliwości. W końcu postanowiłem zagrać na ostro. I mam nadzieję, że nie będziesz miał mi tego za złe. Bo ostatecznie chodzi nam o ustalenie prawdy i o złapanie przestępców, prawda?

Słyszając te słowa, ścierpła mi skóra, bo intuicyjnie wyczułem, że faktycznie będę miał mu za chwilę za złe to, co zrobił.

– To znaczy? – zapytałem słabym głosem.

Tomek odchrząknął i spojrzał na mnie dość dziwnie.

– Powiedziałem jej, że się wysypałeś i zeznałeś policji, jak to w panice utopiliście ciało i uciekliście z miejsca wypadku. Że wtedy podczas zeznań kłamaliście policji i zatailiście ważne fakty.

O mało co nie spadłem z krzesła. Pociemniało mi w oczach i poczułem, że zaraz wyskoczy mi serce. Co on takiego narobił?! Dlaczego mnie wsypał? Co ja mu takiego zrobiłem?

– Jak mogłeś? – wyszeptałem bezsilnie. – Chcesz, żebym wylądował w więzieniu?

– Spokojnie. – Tomek jak zwykle przybrał ton łagodzący wszystkie bóle i rozterki. – Dokładnie to przemyślałem i celowo zrobiłem użytek z tych informacji. Wierz mi, nic ci nie grozi. Eliza sama jest teraz bardzo mocno zaszczona i boi się o swoją skórę. Nic nie wyjdzie na jaw, jeśli ty sam nie zechcesz się przyznać policji. A chyba nie chcesz? Przynajmniej nie teraz, prawda?

Jakoś mnie nie uspokoił i wciąż nie mogłem uwierzyć, że posunął się do takiego rozwiązania. Nie dość, że mu zaufałem i przyznałem się do oszustwa grożącego konsekwencjami, to jeszcze teraz wystawił mnie na niebezpieczeństwo.

– Radek – odezwał się spokojnie. Zauważył, że wytrącił mnie całkowicie z równowagi i teraz próbował swoich psychologicznych sztuczek, żebym

ochłonał. – Jeszcze raz ci mówię. Nic ci nie grozi – przesyłabizował wypowiedziane zdanie. – Spokojnie. Wiem, co robię. – Przywołał kelnerkę i zamówił dwie dobrze zmrożone wódki.

Po chwili na stole wylądowały kieliszki wypełnione po brzegi przezroczystym płynem, po którym miało mi się zrobić lepiej. Po którym miałem dalej w spokoju i w skupieniu słuchać o efektach małego, prywatnego śledztwa inspektora Królikiewicza.

– Okej – powiedziałem, gdy już się trochę opanowałem. – Muszę ci zaufać. Przecież nie chcesz, żeby twój kuzyn wylądował w pace, co nie?

Zaśmiał się serdecznie.

– No jasne, że nie! Posłuchaj, co ci powiem, to zrozumiesz, dlaczego poszedłem tą ścieżką. Jak tylko Eliza usłyszała ode mnie, że puściłeś farbę, od razu się rozkleiła. I o to mi chodziło! – Uśmiechnął się triumfalnie. – Oczywiście się rozplakała i widać było, że ciężar skrywanej tajemnicy teraz odpuścił i mogła wreszcie zrzucić to z siebie z całym ogromem emocji. Musiało być jej naprawdę ciężko przez ten długi czas, bo płakała przez dobrych kilka minut. Wreszcie jako tako się uspokoiła i opowiedziała wszystko tak, jak było naprawdę. Historię znałem już od ciebie, więc tylko starałem się wychwycić nowe szczegóły i fakty, o których ty nie wspomniałeś. Oczywiście opowieść z jej ust okazała się naprawdę wartościowa, bo dowiedziałem się paru nowych rzeczy.

– Jakich? – Niecierpliwie się mocno.

– Prawie sama z siebie, bez moich pomocniczych pytań, od razu wskazała Michała jako podejrzanego o przyczynienie się do śmierci Seweryna. Widać było gołym okiem, że miała te przemyślenia już od długiego czasu. Pewnie każde z was przez te osiem lat się zastanawiało, co tak naprawdę się wydarzyło. A Eliza od samego początku podejrzewała właśnie jego.

– Ale dlaczego Michała? – zdziwiłem się, unosząc brwi.

– Podała dwie przyczyny. Jedna to po prostu jakieś tam przeczucia, ale druga to już konkretna rzecz, którą przez przypadek zaobserwowała. Co do pierwszej sprawy, której się uczepliła, to był fakt, który także ty mi potwierdziłeś, że to właśnie Michał wpadł na pomysł pozbycia się ciała i to on

wszystkich popędzał, aby zrobić to sprawnie i ulotnić się stamtąd jak najszybciej. Podobno nawet nie zabrał swoich rzeczy z plaży. Zostawiliście tam grill i inne drobiazgi. – Tomek spojrzał na mnie pytająco, jakby szukał potwierdzenia tych słów.

– No tak, zgadza się, ale... – zacząłem – to o niczym nie świadczy, prawda? To przecież nie jest żaden dowód. Sam mówiłeś, że działaliśmy w stresie i w panice. Każdy z nas mógłby wpaść na taki pomysł, żeby ukryć ciało i zwać z tej przeklętej willi. To nie musiał być Michał.

– Oczywiście – zgodził się ze mną. – Dlatego powiedziałem, że pierwszy argument obciążający Michała Czerwca jest tylko luźną obserwacją Elizy, niczym więcej. Subiektywną oceną wydarzeń.

– No a ten drugi?

Tomek zabębnił palcami o blat stołu i wziął kolejną, zimną już frytkę.

– To już poważniejsza sprawa – cmoknął. – Eliza zeznała, że jeszcze na początku imprezy, kiedy to dopiero rozstawialiście sprzęt i przygotowywaliście jedzenie, była przypadkowym świadkiem prowadzonej w tajemnicy rozmowy waszych kolegów. Według jej relacji, gdy przechodziła w domu korytarzem do kuchni, usłyszała, jak za drzwiami jednej z sypialni dwóch chłopaków z waszej paczki naradzało się w tajemnicy. Jej uwagę zwrócił fakt, że coś do siebie szeptała. Zaintrygowana, zakradła się pod te właśnie drzwi, które były tylko lekko przymknięte. Eliza powiedziała mi, że przyłożyła ucho i zaczęła nasłuchiwać. Wasi koledzy rozmawiali bardzo cicho i do jej uszu doszły tylko jakieś strzępy zdań, z których jednak wychwyciła całkiem konkretne informacje. Jest pewna na sto procent, nawet po wielu latach, że usłyszała słowa: „Uważaj, to bardzo mocny środek”, „No i właśnie o to mi chodzi. Ile tego masz?”, „Sto gramów. To końska dawka”, „Powinno wystarczyć...”. Niestety w tym właśnie momencie odezwał się jej telefon, na który przysłała wiadomość, a ona, przestraszona, że podsłuchuje, w popłochu odskoczyła od drzwi. Nie zdążyła jednak na tyle odbiec od pokoju, aby wasi kumple nie zauważyli, że ktoś ich podsłuchiwał. Wyszli z pokoju wyraźnie speszeni. Udawali, że nic się nie stało, po prostu bardzo szybko się oddalili, a po wyjściu na zewnątrz wrócili do swoich zajęć. Eliza jest pewna,

że zauważyła, jak jeden z nich chowa do kieszeni mały woreczek z jakimś białym proszkiem.

– No coś ty? – Aż mnie zmroziło i z niedowierzaniem popatrzyłem na kuzyna opowiadającego te rewelacje.

– Wtedy pomyślała, że obaj przekazywali sobie jakiś narkotyk, żeby użyć go podczas imprezy i pozwolić sobie na większy odlot niż po zwykłym alkoholu. Ale teraz, z perspektywy czasu, jest święcie przekonana, że ten biały, tajemniczy proszek to była jakaś silnie działająca trucizna, którą dodali później do jedzenia Seweryna. I która spowodowała, że się udusił.

– To w ogóle jest możliwe? – podałem to w wątpliwość.

– Niestety tak. Są takie środki, które działają w najróżniejszy sposób. Można na przykład wywołać atak serca albo zatrzymać oddech. Współczesna farmacja ma tak szerokie pole do popisu, że na wszystko znajdzie się środek. – Pokiwał smutno głową.

– Ale kim byli ci dwaj spiskowcy, do cholery? – drążyłem dalej.

Tomek zrobił minę, jakby to było co najmniej oczywiste.

– W sumie tego wieczoru było was czterech, prawda? – zadał oczywiste pytanie, bo mówiłem już kilka razy, jaki był skład imprezy.

– No tak – przytaknałem.

– No to jeśli wyeliminujemy ciebie i Seweryna, to zostaje...

– ...Michał i Krzysiek – dokończyłem, wpadając w głęboką zadumę.

Westchnąłem głęboko. Tego wieczoru Seweryn stał się ofiarą zabójstwa. Więc w kręgach podejrzeń pozostawał Michał i Krzysiek. Dwóch kumpli, którzy mieli jakiś interes w pozbyciu się kolegi z uczelni. Znów zamyśliłem się nad sensownością tego wszystkiego i ponownie straciłem jakąkolwiek pewność co do naszego przekonania, że to było morderstwo. Kompletnie nie mogłem uwierzyć w to, że koledzy, przyjaciele z uczelni, mogli zrobić coś takiego. I przede wszystkim nie mogłem zrozumieć, jaki mieli motyw.

Tomek zauważył moje głębokie zamyślenie i domyślił się, dlaczego znów wpadłem w zadumę.

– Radek, wiem, że to nie jest łatwe, ale trzeba się liczyć z taką ewentualnością, że któryś z nich z zimną krwią targnął się na życie Lemana. Na tę chwilę nie mamy żadnej pewności ani dowodów, ale... – zamilkł.

– Ale?

– Opowiem ci, jak przebiegła rozmowa z Michałem, bo ta była bardzo interesująca – rzucił tajemniczo. – Nie było go pod wskazanym przez Elizę adresem, a nie mieliśmy aktualnego numeru telefonu, więc musiałem poprzebać w bazie danych policji. Żeby namierzyć jego adres zamieszkania albo miejsce pracy, cokolwiek. I w końcu trafiłem na twojego kolegę z uniwersytetu. Niestety, nie miał tyle szczęścia, co ty – skwitował.

– Co masz na myśli?

– Masz dobrą pracę, piękną narzeczoną, prowadzisz stateczne i bezpieczne życie. Nie tak jak Michał.

– A co mu się stało, że tak mówisz? – zdziwiłem się. Faktycznie nic o nim nie słyszałem przez te lata. Nawet nie pomyślałem, że komuś z naszej starej paczki może się nie powieść w życiu.

– Michał wstąpił na krętą i niebezpieczną ścieżkę życiową. W dodatku nielegalną. Z informacji wyciągniętej z policyjnego komputera wynikało, że jest ścigany przez policję. I to wcale nie za niezapłacone mandaty albo równie błahe powody. Michał bywał już wcześniej wielokrotnie zatrzymywany, ale za każdym razem udawało mu się wymigać od odpowiedzialności.

– Ale za co? – Nie kryłem zdumienia. Tak naprawdę to nie znałem tego człowieka. Spędziliśmy ze sobą tylko pięć lat na uczelni, a to za mało, żeby dobrze poznać drugą osobę.

– Za dystrybucję nielegalnych substancji psychoaktywnych, które jedynie z powodu wolno reagującego prawa nie są zakwalifikowane jako narkotyki, tylko jako groźne dla zdrowia i życia dopalacze.

Aż gwizdnąłem ze zdziwienia.

– Po ostatnim aresztowaniu wyszedł za kaucją i zaczął się ukrywać. Zadzwoń do śledczych, którzy pracowali nad jego sprawą, i dowiedzia-

łem się, że nie stawił się na rozprawę. Zresztą w ogóle zniknął z radaru.

– No to jak go w końcu dopadłeś?

– Poprosiłem kolegę z mojego zespołu, Piotrka Wronę. Ma ogromne doświadczenie w tropieniu ludzi i wystarczyło mu pół dnia, żeby zdobyć adres poszukiwanego. Ukrył się gdzieś na Pradze Południe, w starych kamienicach, gdzie wciąż mieszkają podejrzane typki i różnej maści cwaniaczki. Generalnie zamelinował się w bardzo nieciekawej okolicy. – Tomek przestał opowiadać i sięgnął po telefon, gdy krótko zabzyczała melodyjka powiadomienia, ale zaraz z ulgą schował smartfon do kieszeni i wrócił do rozmowy: – Dodatkowo nie było wcale łatwo się z nim spotkać. Widać, że mocno musiał nabroić, bo schował się przed całym światem, jakby miał na sumieniu sporo ciężkich przestępstw. Ale w końcu namierzyłem go w jednym z mieszkań przy Grochowskiej i odwiedziłem późnym wieczorem. To było wczoraj, więc mam dla ciebie świeże informacje.

– No i co ciekawego powiedział? – Niecierpliwiłem się.

– Sam rozumiesz, że musiałem dać znać chłopakom z komendy rejonowej, że wiem, gdzie ukrywa się Michał. Poprosiłem ich tylko o kilka minut dla mnie, żebym mógł z nim spokojnie porozmawiać i czegoś się dowiedzieć. Tamci czekali w gotowości pod kamienicą. W razie gdyby coś poszło nie tak, mieli zainterweniować. – Tomek spojrzał przeciągle za okno i na chwilę zamilkł, zbierając myśli. – Rozmowa z Michałem nie była łatwa – wznowił po chwili. – Podejrzewam, że był na jakichś pobudzających prochach, bo zauważyłem u niego nienaturalną nerwowość. Wzrok miał rozkojarzony, a ręce rozdygotane. Kiedy tylko zapytałem o wydarzenia z nadzalewu, usztywnił się i dość zdecydowanie potwierdził bajeczkę opowiedaną już wcześniej. Żadnego odstępstwa od tego, co wyczytałem w zeznaniach, tak jakby wręcz cytował te akta, jakby znał je na pamięć. Wtedy pomyślałem, że być może przez tyle lat tak długo powtarzał w myślach ten fałszywy scenariusz, że teraz sam w to uwierzył i traktował to jak prawdziwą wersję wydarzeń.

– Czyli z niczym się nie zdradził? – zapytałem rozczarowany.

– W pierwszej chwili nie. Dlatego ujawniłem, że już wiem, jak było naprawdę. I że wiem także, kto pierwszy wyszedł z pomysłem ukrycia ciała oraz ucieczki z miejsca zdarzenia. Na razie mówiłem tylko o nieszczęśliwym wypadku, nie sugerowałem w ogóle, że są podejrzenia o zabójstwo.

– No i? – dopytywałem.

– Wtedy Michał dość nerwowo, wręcz spazmatycznie mnie wyśmiał. Zaczął wykrzykiwać, że opowiadam bzdury, że to bajki wysane z palca. Jednym słowem, zaprzeczył temu jeszcze dobitniej i jeszcze bardziej nerwowo. Tak więc postanowiłem przycisnąć go zdecydowanie mocniej i zaryzykowałem. Powiedziałem o relacji Elizy, która podsłuchiwała ich zza drzwi pokoju i widziała, jak jeden drugiemu przekazuje torebkę z proszkiem. Zapytałem wprost, czy nie uważa, że to mogło mieć jakiś związek ze śmiercią jego kolegi. Bo według mnie wyglądało to dość podejrzanie i zeznania Elizy mogłyby mu bardzo zaszkodzić. Jego reakcja była spokojna, po prostu zamyslił się na chwilę, tak jakby się uspokoił. Nic nie wskazywało na to, że za chwilę zareaguje w niespodziewany sposób.

– Co się stało?

– Dałem się zaskoczyć – odpowiedział Tomek z kwaśną miną. – W ułamku sekundy Michał popchnął w moim kierunku ciężkie, stare krzesło, które stało pomiędzy mną a nim, i wystrzelił jak z procy w kierunku wyjścia z pokoju. Wpadł na klatkę schodową, a ja straciłem cenne ułamki sekund i zostałem w tyle. Kiedy dotarłem na dół, skacząc po kilka schodków naraz, zobaczyłem, jak w cieniu bramy dwóch policjantów z rejonowej szamoce się z moim uciekinierem. Musieli nieźle się starać, żeby go uspokoić, bo napędzany adrenaliną strasznie kopał i szarpał się. Gdyby nie pomoc moich kolegów po fachu, na pewno by uciekł. Ostatecznie mundurowi założyli mu obrączki i odwieźli do aresztu.

– No i co teraz? – zapytałem rozczerowany. – W końcu nic ci przecież nie powiedział.

– Jak już ochłonie za kratkami, to mam z nim do pogadania. Odczekam do jutra, żeby dragi wyparowały z jego organizmu i żeby trochę zmiękł. Przesłucham go i zobaczymy, co wtedy powie.

Westchnąłem ciężko i spojrzałem na Tomka.

– Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Michał jest dilerem i potencjalnym mordercą? W mordę! Aż nie mogę w to uwierzyć!

– Już nie takie rzeczy się zdarzały w mojej karierze zawodowej – odpowiedział rozbijając Tomka.

Tego dnia znów wpadłem w pułapkę snucia pesymistycznych scenariuszy i automatycznie zakwalifikowałem Michała jako winnego śmierci naszego kolegi. Wspominając po tylu latach tamten wieczór, mógłbym łatwo zgodzić się z tym, że zachowywał się jak ktoś próbujący zatuszować wyniki swoich zbrodniczych działań. Ten narkotyk przekazywany w tajemnicy oraz jego inicjatywa przy pozbywaniu się ciała idealnie mi teraz pasowała do całego obrazka.

Rozdział 15

– Rozmawiałaś z Michałem? – Zamiast przysłowiowego „cześć”, przeszedłem od razu do rzeczy, zasypując Tomka pytaniami. – Powiedział coś wreszcie?

Tomek przyjechał następnego dnia swoją nieoznaczoną służbówką pod mój blok dosłownie na kilka minut, więc szybko wskoczyłem na fotel pasażera, żeby dowiedzieć się jakichś nowych faktów.

– Przepraszam za bałagan. – Odrzucił na tylną kanapę dziecięce zabawki, zostawione pewnie przez Maksa i Zosię. Z tyłu przymocowane były dwa duże foteliki, na których wały się jakieś drobiazgi, butelki z pićm, niedokończone ciastka i papierki.

– Nie ma problemu – skwitowałem tylko i skupiłem uwagę na kuzynie.

Ten zrobił tajemniczą minę i odezwał się enigmatycznie:

– Mam coś. Coś ciekawego. Nawet bardzo.

– No? Ale co konkretnie?

– Już mówię. – Przetarł zmęczone oczy. – Tak jak w tej dziupli na Grochowskiej, Michał w areszcie też na początku twardo obstawał przy waszej oryginalnej historyjce, którą wszyscy opowiedzieli na przesłuchaniach. Tym razem był spokojny i opanowany. Widać było, że prochy z niego już zeszły. Jeszcze raz powtórzyłem, że wiem o prawdziwym przebiegu imprezy i jej przedwczesnym zakończeniu. I o jakimś tajemniczym białym proszku, który przekazywali sobie z Krzyśkiem. Niestety, informacja o prawdziwej wersji wydarzeń powtórzona po raz drugi też nie pomogła, więc sięgnąłem po coś innego i zastraszyłem go wieloletnią odsiadką za handel środkami odurzającymi. Dałem mu do zrozumienia, że tym razem już na pewno się nie wywinie. Przestraszył się blachy i zmiękł.

– Przyznał się w końcu? – zapytałem.

– Tak. Nie tylko przyznał się do prawdziwej wersji wydarzeń, ale tak się nakręcił, że wypaplał znacznie więcej, niż się spodziewałem. Nie wiem, czy to pod wpływem dawno ukrywanych emocji, czy przez to, że narkotyki przestały działać, ale w pewnym momencie, przyparty do muru, opowiedział sporo ciekawych rzeczy. Zapytałem o łączące was relacje, kto z kim się lubił, kto miał jakieś zatargi czy awantury. Naopowiadał mi trochę banałów, z których niewiele wynikało. Ale gdy zagadnąłem go o Seweryna, zaszła w nim jakaś zmiana. Zrobił coś, co mnie kompletnie zbiło z tropu. – Tomek przestał opowiadać i podrapał się za uchem.

– No! Co takiego zrobił? – poganiałem go zniecierpliwiony.

Kuzyn spojrzał na mnie zagadkowo.

– Rozpłakał się jak bóbr. Ryczał jak dziecko. Podejrzewam, że długo brał wcześniej jakieś mocne depresanty i akurat w areszcie trafiłem w szczyt psychicznego dołka. Na początku myślałem, że po prostu przypomniał mi się ten wieczór i teraz, po tylu latach, emocje puściły. Wreszcie rozmawiał z nim ktoś obcy, kto znał prawdę i szczegóły tamtych wydarzeń, więc wreszcie mógł dać upust dawno skrywanym żalom i wstydom. Ale nie, nie o to chodziło.

– No to o co?

– Nie uwierzysz. W końcu wydukał przez łzy wstrząsany spazmami, że Seweryn dla niego dużo znaczył, znacznie więcej niż dla innych.

Zrobiłem zdziwioną minę.

– Jak to? Nie bardzo rozumiem.

– Ja też zbaraniałem. Pomyślałem, że może Michał świetnie gra i chce odwrócić moją uwagę od całej sprawy. Albo wywołać u mnie współczucie. Ale nie. Okazało się, że chodziło zupełnie o coś innego. Coś, czego w ogóle nie braliśmy pod uwagę.

– To o co w takim razie? – Nie dawałem Tomkowi zbyt długo trzymać mnie w niepewności.

– Michał wyznał, że... kochał się w Sewerynie.

– Że co?! – Zrobiłem wielkie oczy.

– Od dawna podejrzewałem, że bardziej podobają mi się mężczyźni niż kobiety, i jak trafiliście razem na studia, to stracił dla niego głowę. Z relacji Michała wynikało, że ukrywał to przed całym światem, a przed Sewerynem w szczególności.

Na moment mnie przytknęło, aż musiałem głębiej odetchnąć.

– No to musiał to zajebiście dobrze robić! – krzyknąłem z wrażenia. – Bo nic nie zauważyłem przez te pięć lat znajomości.

– Fakt, musiał dobrze się kryć.

– No ale co z tego wynika? Seweryn mu się podobał i to wszystko?

– Nie do końca – kontynuował wyjaśnienia Tomek. – Michał, pociągnięty za język i całkowicie już rozklejony, wyznał, że na jakiejś mocno zakrapianej imprezie w końcu przyznał się przyjacielowi, że coś do niego czuje, a ten, nie wiadomo, czy z powodu wypitego alkoholu, czy tylko dla czystej zabawy, pozwolił mu na coś więcej. Wylądowali razem w łóżku.

– No nie! Bzykali się? – Nie mogłem w to uwierzyć. – To Seweryn też był pedziem?

– Już nie wnikałem w szczegóły, bo dla mnie bardzo ważne było to, że coś między nimi zaszło. Michał zabujał się jeszcze bardziej, ale w końcu trafił na opór waszego kolegi. Ten miał rzekomo wyjaśnić, że to była tylko taka zabawa, jednorazowy numer pod wpływem alkoholu. Seweryn przyznał, że tak naprawdę to jest biseksem, ale jednak bardziej woli dziewczyny, pozwalając sobie tylko od czasu do czasu na urozmaicenie życia seksualnego. Na skok w bok.

– O w mordę! – Byłem w szoku. Tyle lat znałem tych ludzi i dopiero teraz dowiadywałem się takich szokujących faktów, które stawiały całą sprawę w kompletnie innym świetle.

– Potem Michał miał rzekomo być w depresji – mówił dalej Tomek – otrącony przez obiekt swoich westchnień. Bardzo to przeżywał, ale w końcu jakoś sobie poukładał dalsze życie. Tak przynajmniej twierdził. Ja jednak myślę, że dalej podkochał się w Sewerynie. Tylko dobrze to ukrywał.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Kręciłem ze zdziwienia głową. – Ale w sumie to by wszystko tłumaczyło. Teraz to się trzyma kupy. Miał motyw, bo został odtrącony przez niedoszłego chłopaka, w którym się zakochał. Zabójstwo z miłości! I jednocześnie zemsta za zdeptane uczucia. Ciekawe, czy Marta o tym wszystkim wiedziała?

– Tego się już nie dowiemy... Morderstwo z powodu zawodu miłosnego to może być jedna z hipotez, ale jeszcze nie czas na finalny werdykt, Radek.

Popatrzyłem uważniej na kuzyna.

– Nie znamy wszystkich faktów, a przede wszystkim nie mamy żadnych dowodów. Absolutnie żadnych. Tylko domysły.

– No to co w końcu z Michałem? Jak się zakończyła ta rozmowa?

– Przycisnąłem go jeszcze pod kątem tego proszku, którym wymieniał się z Krzyśkiem, ale nabrał wody w usta. Nie chciał nic powiedzieć. Kiedy przyparłem do go mocniej do muru, wymijająco stwierdził, że to były tylko jakieś pobudzacze. Działające podobnie jak amfetamina, tylko tańsze. To miały rzekomo być właśnie początki jego niechlubnej kariery w świecie dilerki. Niestety, nie mamy już jak sprawdzić, co to był za środek. Minęło zbyt wiele czasu.

– Ale czy ten proszek mógł spowodować, że Seweryn się udusił? Albo ktoś mógł mu go dosypać do żarcia?

– Wszystko jest możliwe, Radek. Tylko absolutnie nie mamy jak tego potwierdzić. Nie było sekcji zwłok, nie skonfiskowano żadnych dowodów, nikt nie przeprowadził oględzin tej waszej willi. Nie mamy nic. I wierz mi, nawet gdyby teraz Michał przyznał się, że uczestniczył jakoś w zabójstwie Seweryna i użył jakiejś śmiertelnej substancji chemicznej, to każdy sąd może to odrzucić z braku dowodów.

– To co dalej?

– Michał jest zatrzymany i tymczasowo aresztowany, bo nie stawił się na rozprawie. Na razie nic więcej nie mogę działać. Co prawda mamy potencjalnego sprawcę i motyw, który pasuje do sytuacji, ale poza tym absolutnie nic więcej. Zobaczymy, co postanowią sędzia i prokuratura.

– Czyli to na razie koniec? – zapytałem rozczarowany.

– Tego nie powiedziałem. – Tomek pokręcił głową. – Mam jeszcze do pogadania z tymi policjantami, którzy wtedy prowadzili sprawę, przesłuchiwali was i potem szybko zamknęli śledztwo. Chcę im zadać kilka pytań. Może coś z tego wyniknie? – Postukał mnie palcem w pierś. – Z nikim o tym nie rozmawiaj. I czekaj na sygnał ode mnie.

Wróciłem do mieszkania, a czarne bmw inspektora policji szybko odjechało.

Rozdział 16

Mijały kolejne dni, a ja czekałem na nowe wieści od mojego kuzyna. Pod wpływem ostatnio odkrytych szczegółów dotyczących Michała i Marty oraz intensywnie działającej wyobraźni zacząłem obsesyjnie myśleć o tym, że ktoś mnie śledzi. Nie mogłem tego stwierdzić na pewno, ale wydawało mi się, że mają mnie na oku. Nie wiedziałem dokładnie, kto miałby to być, ale moja wyobraźnia podpowiadała mi coraz bardziej fantastyczne scenariusze. Zacząłem się bać, że jestem kolejnym celem na liście. Wiedziałem, że Michał siedzi w areszcie i nic mi z jego strony nie grozi, ale irracjonalny strach i obsesja związana z czyhającym zagrożeniem mnie nie opuszczały.

Doczekałem się wreszcie kolejnego spotkania z Tomkiem, który zaprosił mnie tym razem na sobotni spacer po Parku Szczęśliwickim. Korzystając z dobrej pogody, wybrał się ze swoją rodziną na przechadzkę w miejscu, gdzie było wystarczająco dużo atrakcji dla dwójki małych dzieci i gdzie można było po spacerze zjeść coś dobrego. Tomek zostawił Paulinę z dziećmi na placu zabaw i odeszliśmy dobry kawałek w stronę mniej uczęszczanej części parku, żeby spokojnie porozmawiać o dręczącej mnie sprawie.

– Jest coraz bardziej mrocznie, Radek – zaintonował złowrogo. – Po tym, czego się dowiedziałem w ostatnim tygodniu, nabieram przekonania, że to jakiś grubszy temat, a nie tylko indywidualna gra Michała bazująca na jego osobistych pobudkach.

– Dlaczego?

– Tak jak ci ostatnio mówiłem, chciałem pogadać z tymi policjantami, którzy wtedy prowadzili sprawę. Takie rutynowe rozpoznanie. Planowałem zapytać ich o przebieg procedury, dlaczego nie było sekcji zwłok, czy

wszystkie fakty zostały zbadane i czy właściwie zabezpieczyli ślady. Głównie po to, żeby zobaczyć ich reakcję na zadawane pytania i wychwycić z ich głosu i treści odpowiedzi, czy czegoś nie ukrywają. W końcu akta sprawy były, jak na moje oko, trochę zbyt skromne i ktoś nie dopełnił swoich obowiązków.

– No i co powiedzieli?

– Nic – odparł krótko. – Nie udało mi się z nimi porozmawiać.

– Jak to? – zdziwiłem się. – Dlaczego? Wyjechali gdzieś?

Tomek zrobił marsową minę.

– W pewnym sensie – odpowiedział. – Obaj funkcjonariusze przejechali się na tamten świat. Nie żyją. Dwóch funkcjonariuszy z rejonowej z Legionowa. A także prokurator, który wtedy został wezwany na miejsce, gdzie znaleziono zwłoki Seweryna, i który mocno wpłynął na szybkie umorzenie śledztwa.

Aż mnie zatkało. Przystanąłem na chwilę i spojrzałem na Tomka.

– Co za pech! – Nie kryłem zdumienia. – Ale żeby wszyscy trzej?

– Prawda? – skwitował kwaśno. – Nieprawdopodobnie pechowy zbieg okoliczności. Niestety nie mamy szczęścia.

Wypuściłem ze świstem powietrze i z dezaprobatą pokręciłem głową.

– To co możemy teraz zrobić? Jak dalej rozgryźć tę sprawę?

– Przede wszystkim nie zatrzymałem się na informacji o tym, że trzy związane z prowadzeniem ówczesnego dochodzenia osoby nie żyją. To prawda, że ludzie umierają, a przez ten czas nasi funkcjonariusze mogli w dowolny sposób rozstać się z życiem. Taki los. Każdemu może się przydarzyć złośliwy nowotwór, zawał serca czy jakiś wypadek...

Pokiwałem głową, że zgadzam się z rozumowaniem kuzyna.

– Ale... Trudno przejść obojętnie obok faktu, który w końcu udało mi się odkryć. Wymagało to trochę zachodu i pogadania z kilkoma osobami, jednak w końcu dotarłem do pewnych informacji, które całkowicie zmieniły mój początkowy osąd sytuacji. – Tomek przerwał, a ja prawie wyszedłem z siebie z powodu narastającej ciekawości. – Wyobraź sobie moje zdziwie-

nie, gdy się okazało, że wszyscy trzej rozstali się z życiem w ciągu kolejnych trzech miesięcy od zamknięcia tamtej sprawy. A to już jest więcej niż bardzo dziwny zbieg okoliczności. Wręcz powiedziałbym, że nieprawdopodobny zbieg okoliczności zmuszający do zastanowienia się nad tak zaskakującą złośliwością losu.

Aż zatrzymałem się w miejscu i zmusiłem mojego rozmówcę do zrobienia tego samego.

– Poza tym – mówił dalej. – Przyczyna ich śmierci też budzi wątpliwości. Podniosłem w zdziwieniu brwi i pytająco spojrzałem na kuzyna.

– Pierwszy z nich, ten aspirant Jerzy Banaś, zginął w wypadku samochodowym w trzy tygodnie po zakończeniu śledztwa, i to w dość niewyjaśnionych okolicznościach. Rozbił się na drzewie na prostej drodze, gdy wracał wieczorem do domu w Wołominie. Podobno nie stwierdzono z absolutną pewnością przyczyny wypadku, nie było też żadnych świadków. Ot, po prostu pech. Albo się zagapił i zjechał przy dużej prędkości z jezdni, albo wpadł w poślizg i nie opanował pojazdu, nie wiadomo. W raportach policji nie znalazłem żadnych konkretnych notatek, które by mogły cokolwiek wyjaśnić.

Otwierałem coraz szerzej oczy ze zdumienia, a Tomek mówił dalej.

– Drugi policjant, który prowadził przesłuchania świadków, sierżant Kamil Jerzykowski, został śmiertelnie postrzelony podczas próby aresztowania jakichś młodych gangusów z Jabłonnej, którzy kradli luksusowe bryki i rozbierali je na części w pobliskich lasach. Standardowa akcja zatrzymania zakończyła się śmiercią funkcjonariusza. Niestety napastnik też zginął w tej strzelaninie, więc nawet nie ma kogo spytać o okoliczności. Dziwne jest to, że przy takiej akcji, gdzie istnieje ryzyko użycia broni palnej, wysyłają na nią mundurowego sierżanta bez kamizelki kuloodpornej i bez wsparcia grupy specjalnej. – Tomek zaczął grzebać butem w ziemi. – Z kolei prokurator Stefan Nowak zszedł na niespodziewany atak serca tuż po wyjściu z restauracji po pewnym niedzielnym obiedzie z rodziną. Był okazem zdrowia, uprawiał sport, nie pił i nie palił, nie leczył się kardiologicznie.

– No to chyba jest akurat najmniej podejrzana z tych trzech sytuacji? – zapytałem. – Dużo mężczyzn umiera na zawał.

– Ale bardzo łatwo go wywołać – zripostował Tomek. – Wystarczy kilka kropli pewnego groźnego, ale łatwo dostępnego specyfiku i człowiek umiera na atak serca, a w organizmie nie zostaje nawet ślad jego działania. To wywar z naparstnicy.

Nabrałem mocno powietrza i przytrzymałem je przez chwilę, aż poczułem lekki ból w klatce piersiowej. Potem wypuściłem je powoli.

– To wszystko brzmi więcej niż niepokojąco – odezwałem się po chwili milczenia. – Tomek, w co my wdepnęliśmy? To jakaś mafia czy co?

– Nie wiem, Radek, ale faktycznie teraz wygląda to na zorganizowaną akcję przestępczą. Mamy kilka trupów i historię ciągnącą się od lat. Nie wygląda to dobrze. Tylko powstaje pytanie, jakie powiązanie mają ze sobą te wszystkie elementy? Śmierć Seweryna Lemana, sprawa Michała, niechlujny sposób prowadzenia śledztwa i wreszcie te prywatne odkrycia Marty i ostatecznie jej śmierć... Gdzie jest wspólny mianownik?

Zasepiłem się. Niestety po tej rozmowie czułem się jeszcze gorzej niż poprzednio, a ostatnio zaobserwowane objawy paranoi tylko pogłębiały ten stan.

– Mam jeszcze jeden pomysł. – Tomek wbił spojrzenie w moją twarz. – Tylko muszę o tym pogadać z moim szefem, żeby pozwolił mi zacząć oficjalnie grzebać w tej sprawie. Nie mogę dłużej robić tego za plecami mojego naczelnika, a sprawa wygląda na tyle skomplikowanie, że czas rozpocząć prawdziwe śledztwo. Pozwoli to też oficjalnie włączyć się w dochodzenie związane ze śmiercią Marty i wznowić współpracę z policją w Brodnicy.

– Myślisz, że komenda stołeczna będzie chciała to rozgrzebać? – zapytałem.

– Postaram się, by właśnie tak się stało.

Zawahałem się przez moment.

– Wiesz... mam wrażenie, chociaż nie mogę wykluczyć, że to moja paranoja, że ktoś mnie śledzi, że mają mnie na oku.

– Dlaczego tak sądzisz? – Tomek wyraźnie się przestraszył. – Chodzi ktoś za tobą? Stało się coś konkretnego?

– No właśnie nie. Mam chyba jakąś obsesję. Już tyle się wydarzyło i tyle narosło sensacji wokół tego tematu, że chyba zacząłem trochę świrować. Wydaje mi się, że mnie śledzą, podsłuchują i czytają moje maile. W końcu Marta została zamordowana, bo zaczęła węszyć wokół tej sprawy, to i mnie mogą sprzątnąć. Michał może mieć współpracowników.

Tomek przystanął i oparł swoje dłonie o moje barki.

– Radek, musisz wyluzować. Nic ci nie grozi. Michał siedzi w areszcie. Dopóki nigdzie sam nie łazisz i nie wtykasz nosa tam, gdzie nie trzeba, jesteś bezpieczny.

– No chyba tak, masz rację. To pewnie tylko paranoja wywołana stresem.

Doszliśmy do placu zabaw. Zobaczyłem, że Paulina już zbiera dzieciaki i szykuje się do powrotu. Ta kobieta była tak atrakcyjna, że nie mogłem oderwać od niej wzroku. Nawet po dwójce dzieci miała nienaganną figurę i niesamowicie zadbaną cerę.

– Radek. – Tomek spojrzał na mnie uważnie. – Jeśli mam rozpocząć oficjalne śledztwo, to muszę ujawnić wszystkie fakty, łącznie z prawdziwą wersją wydarzeń znad Zegrza, historią Marty, jej podejrzeniami i zawartością pendrive'a. Zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiał opowiedzieć prawdę i przyznać się do tego, co wtedy zrobiliście?

Pokiwałem w ciszy głową.

– Chyba nie ma innego wyjścia, prawda?

– Postaram się zminimalizować ewentualne niekorzystne skutki postępowania, ale pewnie będziesz wezwany do złożenia zeznań. Tak trzeba.

Paulina z dwójką rozbrykanych maluchów właśnie dochodziła do nas i musieliśmy przerwać rozmowę.

– Radek? – Paulina podała mi ciepłą i aksamitną dłoń. – Pójdiesz z nami na obiad? Tu niedaleko jest Włoska Robota, wybieramy się tam razem. Za-

praszamy.

– Tak, wujek! Chodź z nami! – Kilkuletni Maks zapalił się do tego pomysłu i spojrzał na mnie z nadzieją.

– Bardzo chętnie, ale... – Musiałem się jakoś wymigać, bo obiecałem Ani wspólne popołudnie. – Muszę wracać do domu. Mam kilka spraw do załatwienia.

– Szkoda. – Żona kuzyna nie kryła rozczarowania. – To może innym razem?

– Na pewno, umówimy się jakoś – zaproponowałem szybko, zegnając się z całą czwórką.

Rozdział 17

Nie spodziewałem się tego. Nie spodziewałem się, że do mnie zadzwoni. Po tylu latach ciszy i udawania, że się nie znamy, że nic nas nie łączyło, wreszcie się odezwała. Po tym, jak się nie zjawiała na pogrzebie Marty, byłem przekonany, że chce się trzymać jak najdalej od tej sprawy, ode mnie i od demonów przeszłości. Ale zrobiła wreszcie ten krok i zadzwoniła.

– Cześć, Radek, tu Eliza.

W pierwszej chwili nie dotarło do mnie, z kim rozmawiam, ale szybko oprzytomniałem. W ciągu ostatnich kilkunastu lat dziewczynę o takim imieniu spotkałem tylko jedną, na studiach, w naszej grupie. Elizę Marjanowską. Uczestniczkę imprezy nad Zegrzem.

– Cześć, Liz – powiedziałem odruchowo, jakbyśmy znów byli paczką przyjaciół z jednego uniwersytetu.

– Dawno tak do mnie nie mówiłeś – odparła melancholijnie. Z ciepłego brzmienia jej głosu wywnioskowałem, że się rozmarzyła, że znów jesteśmy studentami i mamy cały świat jeszcze przed sobą.

– Bardzo dawno, Liz.

– Słuchaj... Był u mnie policjant, taki ważniejszy. Wiesz, nie zwykły dzielnicowy, tylko taki detektyw, ubrany po cywilu. Bardzo przystojny.

– Wiem – przerwałem jej bezceremonialnie. – To mój kuzyn. Pracuje w policji. Inspektor Tomasz Królikiewicz. Poprosiłem go o pomoc, więc zajął się śledztwem w sprawie śmierci Marty.

Zamurowało ją na chwilę, ale w miarę szybko odzyskała głos.

– To twoja rodzina? – zdziwiła się.

– A wydawało ci się, że policjanci nie mają rodzin? – odpowiedziałem trochę złośliwie, ale dość szybko się opanowałem. Sam nie wiem, dlaczego

nagle ogarnęła mnie złość. Może dlatego, że znów usłyszałem jej głos? I po tylu latach odezwały się stare rany?

– Nie, oczywiście, że mają. Tylko nie wiedziałam o tym, że masz kuzyna w policji.

– Przepraszam, powinienem cię uprzedzić. Ale po tym, jak się nawet nie odezwałaś przez chat i nie pojawiłaś się na pogrzebie Marty, stwierdziłem, że nie chcesz utrzymywać ze mną żadnego kontaktu.

– To nie tak ... – zaczęła, ale przerwałem jej brutalnie:

– Spoko, rozumiem to. Wszyscy przeżyliśmy traumę. Każdy musiał poradzić sobie z tym na swój własny sposób. Ja też nie jestem święty. Mogłem się wcześniej odezwać.

Zapadło milczenie.

– No ale w czym ci mogę pomóc? – zapytałem w końcu, wracając do rozmowy.

– Chciałam cię zapytać, czy wiesz, że zatrzymali i aresztowali Michała, i że prawdopodobnie to ja się do tego przyczyniłam. Ale skoro ten inspektor to twoja rodzina, to pewnie wszystkiego już się dowiedziałeś.

Milczałem, więc Eliza wzięła to za nieme potwierdzenie.

– I chcę ci powiedzieć, że przez ostatnie lata cały czas gryzło mnie to, że nie sprzeciwiłam się pomysłowi Michała i że nie powstrzymałam pozostałych przed... zrobieniem tego. To się tak szybko potoczyło, że nie byłam w stanie odpowiednio zareagować.

– Liz, nikt nie był w stanie – uspokoilem ją. – Wszyscy zostaliśmy zaskoczeni i nikt racjonalnie nie myślał. To były odruchy. Instykt samozachowawczy. Działaliśmy w szoku.

– Tak, ale... – zawahała się – ...gdybym wtedy wiedziała to, co teraz, i gdybym miała odwagę zrobić użytek z tego, co zaobserwowałam przed imprezą, może Marta wciąż by żyła.

Milczałem.

– Pewnie wiesz, o czym mówię? – zapytała.

– Tak, domyślam się. Tomek mi powiedział o tajemniczej transakcji Michała z Krzyśkiem, o tym białym proszku, który sobie przekazywali.

– Radek, teraz to jasno widzę! – ożywiła się. – To na pewno Michał sprawił, że Seweryn umarł wtedy na naszych oczach! Teraz wszystko się klei. Otruli go. Za to, że wiedział o handlu narkotykami. Może szantażował Michała i ten się zemścił? A teraz zabił Martę, bo zaczęła coś podejrzewać?

– Zaraz, zaraz. – Próbowałem powstrzymać te spekulacje. – Liz. Wyhamuj trochę. Daj spokojnie działać policji. Za wcześnie na takie wyroki.

Dotarło do mnie, że Eliza nic nie wie o rzekomym homoseksualizmie Michała, ani o tym, że był zakochany w Sewerynie. Ku mojemu zaskoczeniu sformułowała kompletnie inne podejrzenie w tej sprawie, sądząc, że to było morderstwo związane z dilerką Michała.

– Ale ja to widziałam na własne oczy! Jak przygotowywali się do zabójstwa! A potem sam widziałeś, że to Michał, ten drań skończony, pierwszy wyskoczył z pomysłem, żeby ukryć ciało i wszystkimi dyrygował! Popędzał nas, jakby się paliło! To morderca! Z zimną krwią zabił już dwie osoby!

– Eliza! – Musiałem ją nieco przystopować, bo zaczęła krzyczeć do słuchawki i za mocno się nakręciła. – Nie oskarżaj nikogo bez dowodów. Nie znamy wszystkich faktów. Uspokój się trochę. Sam mam mętlik w głowie i masę wątpliwości, ale musimy dać się wykazać odpowiednim służbom.

Zacząła płakać. Dało mi to chwilę, żeby pomyśleć o tym, jak dalej pokierować rozmową i jak uspokoić Elizę, żeby niepotrzebnie nie narobiła nam kłopotów. W końcu kompletnie nic nie wiedziała o zostawionym liście Marty, o tym, że ojcem Seweryna jest naukowiec od leku na raka, wreszcie o tajemniczym mataczeniu podczas śledztwa czy śmierci trzech kluczowych osób prowadzących wtedy sprawę. Cała historia była dużo bardziej skomplikowana i na pewno stały za tym jeszcze inne osoby. Być może Michał był zaangażowany w śmierć naszych kolegów ze studiów, ale zdecydowanie nie działał sam. O tym Eliza nie wiedziała. I na tę chwilę nie mogła się dowiedzieć.

– Liz, posłuchaj mnie – zacząłem łagodnym głosem. – Co się stało, to się nie odstanie. Michał jest w areszcie, a mój kuzyn, jeden z najlepszych in-

spektorów śledczych w tym kraju, będzie prowadził tę sprawę. Musimy zaufać policji i spokojnie czekać na wynik dochodzenia.

Wreszcie uspokoiła się na tyle, że przynajmniej przestała płakać. Odetchnąłem z ulgą.

– Przepraszam cię, Radek, musiałam jakoś odreagować.

– Rozumiem. Nie masz za co przepraszać.

– Pamiętasz... – zawahała się, a jej głos zaczął drżeć. – Byliśmy tacy szczęśliwi, kochałam cię...

– Eliza – przerwałem jej. – Proszę, nie wracaj do tego! To już przeszłość. Mam już swoje życie i nie chcę rozmawiać o tym, co było kiedyś. To już historia. Zapomnij o tym. – Wiedziałem, że podziało to na nią jak kubeł zimnej wody, ale chciałem już zakończyć tę rozmowę. Nie było sensu dalej tego ciągnąć. – Masz coś do mnie jeszcze? Bo muszę wracać do pracy – powiedziałem najchłodniej, jak tylko mogłem.

– Nie, nic – odrzekła cicho. – Nie będę ci więcej zawracać głowy.

Rozłączyła się, a ja poczułem mieszaną ulgi i złości.

Wolałbym jednak, żeby do mnie nie dzwoniła. Odezwały się w niej stare emocje i nie omieszkała teraz do tego wrócić, choć byłem przekonany, że dawno już zapomniała o naszym krótkim romansie ze studenckich czasów. Nie było sensu o tym myśleć, dość miałem swoich zmartwień.

Rozdział 18

Kolejne dni miałem dość intensywnie wypełnione pracą oraz opieką nad mamą, która przeszła następną sesję radio – i chemioterapii. Po zabiegach przez kilka dni była tak wykończona i bezsilna, że nie mogła samodzielnie wstać z łóżka czy nawet zrobić sobie jedzenia. Sprawdziłem w internecie, jak wygląda status kolejki po refundację nowego leku profesora Nowogrodzkiego, ale znów ze łzami w oczach odwróciłem wzrok, bo kolejka wciąż była bardzo długa. Co najmniej kilka miesięcy oczekiwania. Zdecydowanie za długo.

Dobrze, że Ania mi pomagała i dzięki jej zaangażowaniu, miłości i wyrozumiałości jakoś dawałem radę, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. W chwilach ogromnego zmęczenia, wieczorami, po całym dniu pracy i potem opieki nad mamą, doceniałem to, jakim szczęściarzem jestem, że mam taką narzeczoną. Był z niej prawdziwy anioł.

Pod koniec tygodnia, w piątek wieczorem, Tomek wreszcie się odezwał i zmęczonym, wręcz przygnębionym głosem dał mi znać, że ma kolejną garść informacji. Ważnych informacji. Tym razem nie zabrzmiało to dobrze i od razu wyczułem, że dzieje się coś złego. Nalegał na szybkie spotkanie, a ja koniecznie musiałem się dowiedzieć, o co chodzi.

Podjechał po mnie i szybko wskoczyłem do samochodu. Od razu ruszył z kopyta, nawet nie zdążyłem zapiąć pasów. Widziałem, że był zmęczony i wkurzony. Jechał na złamanie karku, a ja, zbity z tropu, bałem się zapytać o to, co się wydarzyło. W końcu, po przejechaniu w szaleńczym tempie kilku przecznic, zebrałem się na odwagę.

– Stało się coś? Dokąd jedziemy?

Spojrzał tylko spode łba i wydusił:

– Zobaczysz. Muszę ci coś pokazać.

Zaniepokoiło mnie to. Cholera, nigdy nie widziałem go w takim stanie. Musiało stać się coś naprawdę niedobrego. Za chwilę miałem się dowiedzieć, co to takiego.

Bez słowa dotarliśmy do Wisłostrady i mknąc ponad sto na godzinę, Tomek dojechał do okolic mostu kolejowego, gdzie wciąż stały przycumowane do nabrzeża stare barki przerobione na tanie, podejrzone hoteliki. Zawsze się zastanawiałem, kto z nich korzysta i czy rzeczywiście są to miejscówki wynajmowane na godziny przez amatorów szybkiego, płatnego seksu czy wręcz odwrotnie, mieszkają w nich porządni ludzie, biznesmeni albo rodziny z dziećmi. Nigdy nie chciało mi się tego sprawdzać, a teraz przeszło mi przez myśl, że wreszcie to zrobię i poszperam w internecie. Tak tylko, żeby zaspokoić zwykłą, ludzką ciekawość.

Zjechaliśmy z głównej drogi i jadąc wzdłuż Wisły na północ, dotarliśmy pod most, gdzie Tomek zatrzymał się z piskiem opon. Wokół nie było żywej duszy. Ściemniło się, a leniwie płynąca za oknem brudnogrnatowa rzeka sprawiała mroczne wrażenie. Przeszedł mnie dreszcz i aż się wzdrygnąłem.

Spojrzałem na kuzyna, kurczowo ściskającego kierownicę, choć staliśmy już od dobrych kilkunastu sekund. Zgasił w końcu silnik i spojrzał na mnie. Wciąż był zły, ale już mniej. Widocznie szybka jazda samochodem dała mu szansę wyładowania części negatywnej energii. Nie wiedziałem tylko, skąd u tego zawsze opanowanego człowieka taki stan.

– Co się stało? – zapytałem głupio.

– W co ty nas wpakowałeś? – wycedził ze złością.

Zdębiałem i nie mogąc znaleźć właściwych słów, wzruszyłem tylko ramionami.

Tomek z wściekłością walnął pięścią w kierownicę, aż wewnątrz samochodu się zatrzęsło. Coraz bardziej wystraszony patrzyłem na kuzyna z narastającym zdziwieniem. Policjant wziął głęboki oddech i próbując się uspokoić, wypuścił powoli powietrze.

Spojrzał na mnie, przewiercając mnie wzrokiem.

– Kilka dni temu – powiedział już spokojniej, ale wciąż z wyczuwalną złością – powiedziałem wszystko naczelnikowi Wydziału Kryminalnego, a on naszemu komendantowi, do którego bezpośrednio raportuje, że do tej pory niejawnie, niejako przy okazji, zapoznawałem się ze sprawą dziwnego śledztwa sprzed ośmiu lat i tajemniczą śmiercią Marty Kwiek. Musiałem im powiedzieć, że informacje pochodzą od ciebie i że mam już wystarczający materiał nadający się do otworzenia nowego dochodzenia. Że oprócz przeczucia i domysłów jest kilka bardzo konkretnych dowodów dających przypuszczenie popełnienia przestępstwa. Zainteresowało to ich do tego stopnia, że wyrazili zgodę na dalsze postępowanie. Napisałem obszerny raport z informacjami, które do tej pory udało się pozyskać.

Patrzyłem na niego bez słowa, nie przerywając mu tych wyjaśnień.

– Potem dostałem zgodę na włączenie się do sprawy śledztwa dotyczącego śmierci Marty i odpytanie policjantów z Brodnicy. Cała machina ruszyła zgodnie z procedurami panującymi w komendzie stołecznej. Miałem wszystkie zgody i pełnomocnictwa. Wreszcie, już oficjalnie, mając na to papiery, pojechałem przesłuchać żony zmarłych policjantów, którzy prowadzili sprawę Seweryna. Na pierwszy ogień wziąłem żonę prokuratora Nowaka, ale ta nie chciała kompletnie nic powiedzieć. Zabarykadowała się w swojej willi w Magdalence i nawet nie wpuściła mnie do środka. Zapytała, czy mam nakaz, bo jeśli nie, to nie musi odpowiadać na żadne pytania, a już na pewno nie musi mnie wpuszczać do domu. W końcu, nie mając innego wyjścia, wystąpiłem o oficjalne wezwanie na komendę w celu złożenia wyjaśnień. Nie stawiała się. – Tomek zaczerpnął powietrza, by mówić dalej: – Z dwoma pozostałymi było lepiej. Żona aspiranta Banasia przyjęła mnie u siebie w domu, poczęstowała kawą i ciastkami. Chętnie odpowiadała na pytania, ale nic nowego z tego nie wyniknęło. Już zdążyła się przez te lata pogodzić ze śmiercią męża i stwierdziła tylko filozoficznie, że wypadki samochodowe zdarzają się codziennie i najwyraźniej „Bóg tak chciał”, jak się wyraziła. Mąż zawsze jeździł jak wariat i widocznie ten jeden raz przesadził z brawurą. Zapytałem, czy zauważyła coś niepokojącego

lub podejrzanego przed samą śmiercią lub zaraz po wypadku, ale nie potrafiła nic konkretnego powiedzieć. Zostawiłem do siebie namiar i wyszedłem. – Tomek zrobił przerwę i otworzył okno po swojej stronie, wpuszczając do samochodu świeże, chłodne, wieczorne powietrze.

Pachniało stęchłym zapachem rzeki, ale i tak działało orzeźwiająco.

Kuzyn odezwał się teraz spokojniej, ponownie wpadając w trans opowieści:

– Trzecia kobieta, żona sierżanta Jerzykowskiego, który został zastrzelony przez złodziei samochodów, zachowywała się zupełnie inaczej. To jeszcze całkiem młoda i atrakcyjna kobieta, od razu, gdy tylko się przedstawiłem i powiedziałem w jakiej sprawie przychodzę, zauważalnie wpadła w przestraszach. Patrzyła na mnie przerażonymi oczami, jakby miała coś na sumieniu, i dostrzegłem, że lekko trzęsą się jej ręce. Musiałem ją jakoś uspokoić, poprosiłem więc, by odesłała dorastającą córkę do swojego pokoju i najdelikatniej, jak mogłem, wyjaśniłem, że nie jestem tu po to, by ją zatrzymać. Przyszedłem tylko zapytać o kilka informacji. Jakoś udało się wyciszyć atmosferę, więc zapytałem o szczegóły śmierci jej męża. Najpierw opowiedziała same banały, nic wnoszącego do sprawy. Z tego, co zrelacjonowała, bardzo źle przeżyła to tragiczne wydarzenie i większość rzeczy pamiętała jak przez mgłę. Wspominała ze łzami w oczach, jak przyjechało dwóch mundurowych, żeby poinformować ją o strzelaninie i śmierci młodego sierżanta. Starłem się zachować ostrożność i taktownie zadawać pytania, ale nie dowiedziałem się niczego ciekawego. W końcu, gdy już podziękowałem za jej czas i chciałem wychodzić, spytała z wahaniem w oczach, czy to, co się stało nieco później, jakieś dwa tygodnie po śmierci Jerzykowskiego, może mieć jakieś znaczenie. Usiadłem ponownie na kanapie i wreszcie usłyszałem coś zaskakującego, co może być nowym tropem w śledztwie.

– Co takiego? – zapytałem chrapliwym głosem.

– Powiedziała, że dobre dwa tygodnie później, gdy wciąż rozpaczała po śmierci męża i nie ochłonęła jeszcze po pogrzebie, zjawił się u niej w domu pewien mężczyzna. Bardzo dobrze ubrany i na pierwszy rzut oka od razu

było widać, że świetnie wykształcony, z nienagannymi manierami. Przedstawił się jakimś nazwiskiem, którego nie była w stanie sobie przypomnieć, a nie zanotowała go ani nie dostała wizytówki. Mężczyzna przedstawił się bardzo ogólnie. Powiedział, że jest pracownikiem resortu spraw wewnętrznych i że w związku z tragiczną śmiercią jej męża ma coś dla żony zmarłego policjanta. Bardzo ubolewał, że doszło do tych dramatycznych wydarzeń. Tłumaczył, że praca policjanta jest związana ze stałym ryzykiem utraty zdrowia i życia. Że to zawód wysokiego ryzyka. Takie tam farmazony. Po krótkim wstępie doszedł wreszcie do konkretów, bo wyjął z teczki jakąś grubą paczkę i położył na stole. Wyjaśnił zdziwionej kobiecie, że w policji funkcjonuje nowo utworzony fundusz dla ofiar rodzin pracowników, którzy stracili życie, pełniąc obowiązki służbowe, a w tym wypadku zmarły funkcjonariusz zostawił żonę i kilkuletnią córkę, którym należy się pomoc. Zszokowana kobieta rzuciła okiem na gruby plik banknotów, który wystawał z koperty, i nie mogła wydusić nawet słowa, na co tajemniczy gość wyjaśnił dalej, że robią to w taki nietypowy sposób, przekazując gotówkę, by uniknąć bandyckiego podatku nałożonego niedawno przez Ministerstwo Finansów. W ten sposób, jak jej argumentował, będzie miała zabezpieczenie finansowe na wychowanie i wykształcenie córki.

– Brzmi zupełnie jak z filmu – wtrąciłem tylko.

– Wierz mi, to nie film – rzucił chłodno Tomek, a ja pomyślałem, że lepiej się na razie nie odzywać.

– Zachowałem oczywiście zimną krew i nie dałem po sobie poznać, że to wydarzenie nosi znamiona przestępstwa – wznowił swoją opowieść. – Żaden „przedstawiciel władzy” nie pojawiłby się z grubym plikiem gotówki, bo to nielegalne i nie powinno mieć miejsca. Wreszcie miałem coś nowego, jakiś ślad. Zapytałem więc kobietę czy jest w stanie przypomnieć sobie nazwisko, jakieś cechy charakterystyczne zachowania lub wyglądu tego mężczyzny. Z nazwiskiem nie było szans. Mówiła to od razu, a teraz potwierdziła tylko, że usłyszała je raptem raz, a przez wciąż przeżywaną traumę nie była w stanie go zarejestrować. Nazwisko wpadło jednym uchem, a wypadło drugim. Później powtórzyła, że mężczyzna był bardzo dobrze

ubrany, miał na sobie świetnie skrojony garnitur, zegarek wyglądający na bardzo drogi i ogólnie sprawiał wrażenie dystyngowanego dżentelmena. Wyglądał na prawnika lub bogatego biznesmena. Już mieliśmy kończyć rozmowę i podnosiłem się do wyjścia, kiedy zatrzymała mnie jeszcze na chwilę. Przypomniała sobie jeden szczegół, dość nietypowy, o którym chciała mi powiedzieć. Otóż człowiek ten miał oczy w różnych kolorach. Jedna tęczówka była cała zielona, a druga dwukolorowa, niebiesko-zielona. Potem wyczytałem w sieci, że wada ta jest spotykana zaledwie u jednego procenta populacji i nazywana jest heterochromią. Nie jest groźna ani uciążliwa, ot, po prostu taka uroda człowieka. Miałem więc jakiś konkret w kieszeni. Wreszcie punkt zaczepienia. Coś, co można wykorzystać. Poprosiłem kobietę o zgłoszenie się na komendę w celu wykonania portretu pamięciowego. – Tomek zrobił przerwę i postukał palcem w kierownicę. – I zgadnij, co się stało. – Jego głos przybrał grobowy ton. – Nie dotarła do biura komendy do dzisiejszego dnia. Zniknęła razem z córką. Wyjechała, ślad po nich zaginął. Nikt nic nie wie, ani w firmie, w której pracowała, ani w szkole córki. – Tomek spojrzał na mnie znacząco, a ja znów poczułem, jak robi mi się gorąco.

Bałem się tego, czego dowiem się za chwilę. Przeczynałem, że to nie koniec rewelacji.

– Spisałem pełny raport i wniosłem o rozpoczęcie poszukiwań mężczyzn z heterochromią. Włączyłem w działania swój zespół, żeby ogarnąć śledztwo nieco szerzej. Puściłem pełną parą wszystkie znane mi metody dochodzeniowe. Zaangażowałem się i wpadłem w rytm. Po kilku dniach wiedziałem, że musi to przynieść jakieś efekty... I przyniosło – zamilkł i oparł ciężko głowę na zagłówek.

– No? – ponagliłem go. – Co się dalej stało?

Popatrzył na mnie z narastającą znów złością.

– Dziś rano, kiedy dopiero co świtało, z ogromnym hukiem i wrzaskiem wpadła do naszego mieszkania, wywalając drzwi i niszcząc meble, specjalna grupa uderzeniowa. Obudzili nas i przystawili do naszych głów pistolety, świecąc latarkami prosto w oczy.

– Ja pierdolę... – wyszeptałem.

– Dzieciaki były przerażone do granic możliwości, Maks na miejscu zsiadł się w majtki, widząc uzbrojonych antyterrorystów z karabinami i pistoletami, Paulina o mało co nie dostała zawału. Scena jak z najgorszego snu. Krzyki, przerażenie i płacz dzieci. Zniszczone mieszkanie, podeptane ciężkimi buciorami zdjęcia rodzinne, które pospadały ze ściany, gdy wywalali drzwi. Czarne lufy karabinów przystawione między oczy.

Zapadła długa cisza. Nie mogłem tego zrozumieć. Nawet nie mieściło mi się to w głowie.

– Ale jak to? Dlaczego? – wydukałem w końcu.

Tomek nie odpowiedział na to pytanie, tylko odezwał się jakimś nieobecnym, głuchym głosem:

– Wpakowali nas wszystkich, tak jak staliśmy, w pidżamach, do łazienki. Paulina tuliła roztrzęsione dzieci, starając się je uspokoić, ale sama drżała ze strachu i płakała bezgłośnie. Ja, wściekły, domagałem się wyjaśnień i telefonu do komendanta komendy stołecznej. Nic sobie z tego nie robili. Jeden z uzbrojonych policjantów trzymał nas na muszce, nie pozwalając wyjść z łazienki. Wiesz, jakie to uczucie, kiedy do twojej rodziny, do żony i dzieci celuje ktoś z naładowanej, gotowej w każdej chwili wystrzelić broni? Wiesz?!

Pokręciłem tylko w przerażeniu głową. Zaschło mi w gardle i nie byłem w stanie nawet przełknąć śliny. Próbowałem sobie to wyobrazić, ale byłem zbyt przestraszony tym, co Tomek właśnie opowiadał.

– Przetrzęsneli całe mieszkanie, wywracając wszystko do góry nogami. Rozpierzolili nam dom i zostawili gruzowisko jak po tsunami. Zabrali mi telefony i komputery. Potem bez słowa wyjaśnienia wyszli, cały czas celując do nas z broni. Wszystko trwało może kilka minut. Profesjonalnie przygotowana akcja. Wiedzieli, czego szukają, byli zdeterminowani i konkretni. W sumie nie mam do nich pretensji, bo te chłopaki wykonywały tylko swoją robotę, ale gdybym dotarł do skurwysyna, który zlecił im to zadanie, to zajebałbym chuja na miejscu! – Znów uderzył z całą siłą w kierownicę samochodu. Musiało go zabołec, bo syknął ze złością. – Maks i Zosia nie po-

szli dziś do szkoły ani do przedszkola. Zawiozłem ich do mamy, muszą przez kilka dni tam pobyc, żeby dojść do siebie. Paulina też pewnie potrzebuje trochę czasu, żeby przestać się bać i zapomnieć o tym koszmarze.

– A co z mieszkaniem? – zapytałem słabo.

– Poprosiłem zaprzyjaźnioną ekipę o pomoc, mają posprzątać i ponaprawiać przez weekend, co się da – odpowiedział zrezygowany.

– Ale dlaczego tak się stało? Jak to w ogóle możliwe? Przecież jesteś inspektorem komendy stołecznej, nie jakimś przestępcą!

Popatrzył na mnie wściekły, a ja natychmiast pożałowałem ostatnich słów.

– No właśnie ty mi powiedz – syknął ze złością. – Czego mi nie wyjawiałeś z tej historii? Co za tym wszystkim stoi?

– Tomek! Przysięgam ci! Wszystko ci opowiedziałem! Nie mam nic do ukrycia! Nie mam pojęcia, o co tutaj chodzi! – Zacząłem się gorączkować, a on tylko smętnie zwiesił głowę.

– Naczelnik z komendantem odebrali mi sprawę i zakazali jakichkolwiek ruchów w tym temacie. Mam nawet o tym nie myśleć. Im też zrobili nalot, co prawda nie taki jak u mnie, ale też dali ostrzeżenie. Mam wziąć dwa tygodnie urlopu i zapomnieć o całej sprawie. Komputerów i telefonów już pewnie nie odzyskam. Mam sobie kupić nowe.

– *Fuck!* – Teraz to ja zakląłem i pokręciłem z niedowierzaniem głową. – To co dalej zrobimy? – zapytałem zrezygowany.

– Ja idę na urlop. Muszę postawić mieszkanie na nogi i uspokoić rodzinę. Radek, zapomnij o tym wszystkim, bo obaj wylądujemy tam. – Wy-mownie wskazał palcem za okno. – W tej brudnej i zimnej rzece.

I na tym skończyła się nasza rozmowa. Tomek zapalił silnik i ruszył przed siebie.

* * *

– Acha – rzucił jeszcze na odchodnym, kiedy dwadzieścia minut później dojechaliśmy już pod mój blok i zbierałem się do wyjścia. – Twój kolega ze

studiów, Michał, wyszedł z aresztu. Jest na wolności.

– Jak to? – nie kryłem zdziwienia.

– Okazało się, że ma wysoko postawionego stryja w policji. Załatwił zwolnienie z zarzutów o handel prochami i oddalenie ostatniej sprawy. Jest wolny.

Po tych słowach samochód Tomka odjechał, a ja zostałem sam na ulicy. Stałem tak jeszcze przez dobrą chwilę i patrzyłem przed siebie na oddalający się samochód mojego kuzyna, inspektora Tomasza Królikiewicza.

Rozdział 19

Stałem pod blokiem ogarnięty niedowierzaniem. To, co zrelacjonował Tomek, brzmiało tak nierealnie, że w tej chwili, gdy zostałem sam na pustej ulicy, już nie miałem pewności, czy zdarzyło się naprawdę, czy może był to wytwór mojej wyobraźni. A może zapadłem na jakąś chorobę i mam urojeń? Schizofrenię albo coś gorszego?

Wróciłem do domu i opowiedziałem wszystko Ani. Byłem już na tyle zdruzgotany, że wreszcie postanowiłem wyjawić jej prawdę. Nie pomijając najmniejszych i najbardziej wstydliwych szczegółów.

Gdy skończyłem mówić, potrzebowała mocnego drinka, żeby się trochę uspokoić. Skrzętnie skrywane przeze mnie tajemnice wywołały na niej ogromne wrażenie. Gdy pierwsze przerażenie minęło i trochę ochłonęła, kategorycznie zabroniła mi jakichkolwiek kontaktów z moimi starymi kolegami z uczelni i brania udziału w działaniach dochodzeniowych, wszystko jedno: oficjalnych czy prywatnych. Przyznałem jej rację, że nasze zdrowie i bezpieczeństwo są najważniejsze, i obiecałem, że więcej nawet nie wspomnę o tematach związanych ze sprawą Seweryna i Marty. Mieliśmy zamknąć to na dobre.

Dni mijały, a codzienne sprawy znów mnie pochłoneły, skutecznie tłumiąc pamięć o ostatnich wydarzeniach. Mama odzyskała trochę sił, ale nie byłem pewien, czy to efekt czasu i osiągnięcia przez organizm równowagi po ostatnich zabiegach, czy faktycznie nowotwór odpuszczał. Musieliśmy poczekać na następne badania i werdykt lekarzy. Niestety wizja zdobycia leku produkowanego w Brodnicy cały czas była jedynie mrzonką.

Pewnego wieczoru wszystko znów się zmieniło, wywracając po raz kolejny moje życie do góry nogami. Chciałem już definitywnie zapomnieć

o sprawie Seweryna i Marty, ale zdarzyło się coś, co znów wciągnęło mnie w wir wydarzeń.

Robiąc w salonie porządkę, wziąłem się za odkładane odkurzenie półki z książkami, które od dłuższego czasu skutecznie zbierały brud. Przyszedł na to moment i trzeba się było za to zabrać. Zdjąłem wszystkie książki na podłogę i odruchowo spojrzałem na najgrubszą pozycję w tym zestawie. W pierwszej chwili się zdziwiłem, że mamy w pokoju tak opasłą księgę, i pomyślałem, że to najnowszy zakup Ani, ale jak tylko sięgnąłem dłonią po tomiszczę, przypomniałem sobie, że to przecież książka Marty znaleziona w jej pokoju w hotelu Cykada. Zupełnie o niej zapomniałem.

Przysiadłem na fotelu i wziąłem do ręki ponad siedemsetstronicową publikację. Zadumałem się, patrząc na jej kolorową okładkę. Zastanawiałem się, czy Marta zdążyła ją w ogóle przeczytać, zanim zakończyła żywot w tym pechowym jeziorze. Jak wyglądało jej życie przez te ostatnie lata? Czy zdążyła nacieszyć się młodością i światem? Czy wręcz odwrotnie, gnana obsesją wyjaśnienia zdarzeń znad zalewu – spędziła sporą część swojego czasu na prowadzeniu prywatnego śledztwa, zakończonego bezsensowną śmiercią. Młoda dziewczyna, wpadając w sidła własnej ciekawości, nie doczekała się ujawnienia prawdy i pożegnała się z życiem.

Było to tak niesprawiedliwe, że poczułem złość, zarówno na cały świat, jak i na tych, którzy doprowadzili już do śmierci kilku osób oraz spowodowali ostatnie brutalne najście na rodzinę Tomka.

Szybko się jednak opanowałem, pamiętając o tym, co mówił mój kuzyn. Wizja wylądowania w rzece jako zimny trup dryfujący na wodzie skutecznie mnie ostudziła.

Wciąż siedziałem w fotelu, trzymając w dłoniach opasły tom *Sagi rodziny Goldberg*.

Przekartkowałem księgę. A może coś przeoczyłem? Może Marta chciała mi jednak coś przekazać?

Zacząłem czytać jakies przypadkowo wybrane strony. Klasyczna literatura piękna dla spragnionych patetycznych opisów perypetii rodzinnych kobiet. Historie dramatów, miłości, rozterek. Minimalna akcja, za to roz-

budowane opisy relacji międzyludzkich i losów wielopokoleniowych rodzin rozciągniętych na długie dekady aż po dzisiejsze czasy. Zdecydowanie nie dla mnie.

Patrzyłem na kolejne strony, a litery skakały mi przed oczami. Wpadałem powoli w senność, a przecież czekała mnie praca, którą zacząłem i którą porzuciłem, biorąc na chwilę do rąk to opasłe arcydzieło literatury.

Nagle, patrząc jakby przez mgłę na jedną ze stron, coś zauważyłem. Kiedy przyglądałem się zapisanym w książce zdaniom, widziałem tylko poszczególne wyrazy złożone z liter. Jednak gdy przymknąłem na chwilę oczy i zdania rozmazały się nieco, coś się stało. Coś niedostrzegalnego na pierwszy rzut oka i być może nieistotnego, ale na tyle nietypowego, że aż się ocknąłem.

Szczegół, który tak mnie zainteresował, to kropeczka. Mała, zrobiona jakby ołówkiem, ledwo dostrzegalna kropeczka postawiona przy jednym ze słów. Początkowo pomyślałem, że to wada w druku lub skaza papieru, ale po dokładnym przyjrzeniu się pod światło stwierdziłem, że kropeczka była tu umieszczona przez kogoś celowo.

Sięgnąłem w podnieceniu po dość silne szkło powiększające i zbliżyłem je do strony książki. Tak, na pewno ten znak został zrobiony przez końcówkę ołówka, bo miał nieregularny kształt i błyszczącą powierzchnię.

Słowo, przy którym zaobserwowałem kropkę na stronie dziewięćdziesiątej ósmej, to było nazwisko rodziny, której członkowie byli bohaterami tej książki. „Goldberg”.

W narastającej ekscytacji przekartkowałem uważnie pozostałe strony. Serce zabiło mi znacznie szybciej, gdy na stronicy z numerem sto dwanaście zobaczyłem następną, taką samą małą kropeczkę umieszczoną przy słowie „oszustwo”.

Cholera! Czyżby rzeczywiście o to chodziło? Czyżby to była ukryta przez Martę wiadomość?

Potem już świat przestał istnieć i przez kolejne trzydzieści minut rozgądkowany wertowałem sagę strona po stronie. Ze szkłem powiększają-

cym przyklejonym do oka odczytywałem każde oznaczone słowo, zapisując je szybko w wyrwanej z jakiegoś notesu kartce.

Po pół godzinie skończyło mi się miejsce na zapisywanym papierze, więc nerwowo wyrwałem kolejny. Jak w transie spisywałem następujące po sobie słowa, starając się nie pominąć żadnego nowo znalezionej wyrazu.

Kiedy skończyłem, popatrzyłem w niesamowitym zdumieniu na kilka wypełnionych słowami kartek, które leżały teraz przede mną w nieładzie. Znalazło się na nich kilkaset słów. Tysiące możliwych kombinacji z wyrazów, takich jak: „zniszczyć”, „kłamstwo”, „firma”, „fortuna”, „śmierć”...

– Ja pierdolę – rzuciłem sam do siebie i złapałem się za głowę.

Dopiero teraz kątem oka zauważyłem, że spędziłem nad tą książką ponad półtorej godziny. Zegarek wskazywał prawie dwudziestą pierwszą. Ania mogła nadejść w każdej chwili, więc zebrałem w pośpiechu leżące wciąż na podłodze książki, które zamierzałem odkurzyć, i wpakowałem je z powrotem na półkę tak, jak stały na niej wcześniej.

Nie miałem teraz ani ochoty, ani motywacji, aby skończyć sprzątanie, bo jedyną rzeczą, która mnie opętała, było odszyfrowanie setek słów wynotowanych z *Sagi rodziny Goldberg*, czekających teraz na złożenie ich w jedną całość. Aż trzęsły mi się ręce, gdy zbierałem z kanapy zapisane strony. Zaszło mi w gardle, a puls skoczył dobrze ponad sto uderzeń na minutę. Szybko poszedłem do drugiego pokoju po laptopa i już za chwilę siedziałem przy biurku, nerwowo wpisując do programu tekstowego znalezione przeze mnie wyrazy. Na szybko wymyśliłem, że tak będzie mi dużo łatwiej złapać sens i zestawić odkryte słowa w jakieś zdania.

W końcu do domu przyszła Ania, a ja nawet się z nią nie przywitałem, kompletnie pochłonięty pracą nad przepisywaniem zagadkowych zaznaczeń. Tego wieczoru, tak jak się umówiliśmy, to właśnie moja narzeczona odwiedziła moją mamę, pomagając jej w codziennych czynnościach. Robiliśmy to na zmianę, bo tak było wygodniej, a każde z nas miało w ten sposób co drugi dzień trochę czasu dla siebie.

Byłem tak pochłonięty pracą, że nawet nie usłyszałem, co przed chwilą do mnie powiedziała.

– Radek! – Stała w progu pokoju i wyraźnie zła spojrzała na mnie krzywo. – Dlaczego mi nie odpowiadasz? Zapytałam, czy jadłeś już kolację?

Zostałem przyłapany na nieuwadze i teraz spiąłem się cały, bo zdałem sobie sprawę, że nie mogę jej pokazać, nad czym tak intensywnie pracuję. Obiecaliśmy sobie, że nie będę już wracał do tematu śmierci Seweryna i Marty. Momentalnie zasłoniłem ekran komputera.

– Ach, przepraszam, kochanie. Mam pilną robotę, bo muszę na jutro zrobić prezentację dla działu sprzedaży i jeszcze nie jadłem – skłamałem.

– To chcesz coś?

– Zrób mi, jak możesz, jakieś pyszne kanapeczki – powiedziałem najbardziej naturalnie, jak tylko mogłem. – Jak tylko skończę, przyjdę do kuchni.

Zrobiłem odpowiednią minę, która chyba podziałała, bo zostałem znów sam i mogłem od razu wrócić do poprzedniego zajęcia. Po kolejnych dwudziestu minutach miałem już wpisane w edytorze tekstu tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt cztery słowa, z których teraz wystarczyło tylko złożyć wiadomość zostawioną przez Martę.

No właśnie. Szkopuł był jednak w tym, że ułożenie sensownych zdań, które miałyby z ponad tysiąca wyrazów zbudować jakiś konkretny przekaz, nie było takie proste. Musiałem najpierw ochłonać, bo czułem, że pod wpływem tego odkrycia pieką mnie policzki i na kilometr widać, że coś się stało. A nie chciałem znów denerwować mojej narzeczonej, bo obiecałem jej więcej nie wracać do tych trudnych tematów. Poszedłem więc do kuchni, by zjeść kolację i na spokojnie zastanowić się, co dalej zrobić z tym niesamowitym znaleziskiem.

* * *

Siedziałem przed ekranem komputera prawie całą noc. Uzasadniłem to koniecznością przygotowania na następny dzień prezentacji i zamiast iść spać, powiedziałem tylko: „Dobranoc, kochanie”, cmoknąłem Anię w czoło i usiadłem na długie godziny przed laptopem. Kombinowałem na wszelkie możliwe sposoby, zestawiając ze sobą słowa, próbując tworzyć jakieś trzy-

mające się logiki zdania, starając się odgadnąć ukryty sens w tym rebusie. Mijał czas, a ja, będąc w jakimś obezwładniającym transie, zapadałem się coraz głębiej w płataninie słów, szukając coraz bardziej gorączkowo jakiegokolwiek tropu, który doprowadziłby mnie do rozwiązania tej zagadki.

Tuż przed czwartą rano poddałem się, zrezygnowany, i ze złością trzasnąłem klapą laptopa. Nie dość, że byłem wyczerpany kilkugodzinnym siedzeniem przed komputerem, to jeszcze nic nie udało mi się odkryć. Zmarnowałem tyle czasu na próżno.

Byłem zły, że Marta aż tak to skomplikowała. Mogła przecież zrobić to nieco prościej, na przykład znów nagrać pendrive i go gdzieś dla mnie ukryć albo wysłać wiadomość mailem.

W końcu położyłem się do łóżka i wycieńczony zasnąłem. Gdy się obudziłem, miałem wrażenie, że spałem zaledwie kilka minut, ale szybki rzut oka na zegarek przywołał mnie do rzeczywistości. Była siódma czterdzieści pięć i musiałem wstawać, żeby nie spóźnić się do biura.

Kiedy szykowałem się do wyjścia z domu, nagle mnie olśniło. Przecież poprzednio, przy rozgryzieniu „lipcowego jeziora” pomógł mi ten Robert Bielski z komendy stołecznej! Skoro wtedy dał radę, to i teraz musi się udać. Sięgnąłem więc po smartfon i wybrałem jego numer.

– Halo! Robert? Tu Radek Rozbicki, kuzyn Tomka. Pamiętasz mnie?

– Cześć... – Rozmówca odpowiedział niepewnie. – Tak, pamiętam.

– Słuchaj, mam do ciebie strasznie ważną prośbę. Mam niezły rebus do rozwiązania, a sam nie daję rady, pomógłbyś? – zapytałem z nadzieją.

– Eee... Rebus? – Głos Roberta nie krył zdziwienia. – Na pewno dzwonisz pod dobry numer?

– Przepraszam, zabrzmiało to nieco dziwnie. – Próbowałem się wytłumaczyć. – Miałem na myśli nie jakiś tam zwykły rebus, tylko... zagadkę zostawioną przez zamordowaną Martę. Wiesz na pewno, o którą chodzi. Tomek mi pomagał w tym śledztwie, dopóki... – zawahałem się – ...dopóki mógł. Marta zostawiła mi zakodowaną wiadomość, tylko dla mnie jest za trudna do odszyfrowania.

Po drugiej stronie telefonu zapadła niepokojąca cisza.

– Radek. Kategorycznie zabroniono nam zajmować się tym tematem. Wiesz chyba, co spotkało Tomka i jego rodzinę? Nie powinienem nawet z tobą rozmawiać. Muszę...

– Daj mi tylko wyjaśnić, proszę! – przerwałem mu. – Wiem, co się stało, i że zabrali wam śledztwo. Ale ja muszę rozwiązać tę zagadkę, żeby odczytać wiadomość od Marty. Proszę, pomóż mi. Zupełnie prywatnie. Bardzo mi zależy...

Prawie mogłem usłyszeć, jak Robert drapie się po brodzie, ważąc, czy opłaca mu się ryzykować i pomagać mi w tej dziwnej sprawie, która brutalnie zatoczyła już dość szeroki krąg działań kogoś mocno ustawionego. Kogoś, kto miał na tyle duże wpływy, że mógł sterować resortem bezpieczeństwa.

– Co to za rebus? – zapytał w końcu, bo jego ciekawość zwyciężyła.

Odetchnąłem z ulgą.

– Mam ponad tysiąc słów, z których trzeba zbudować jakieś zdania układające się w sensowną całość. Ma z nich powstać list od Marty. Zaszyfrowała to jeszcze przed śmiercią i zostawiła w takiej grubej książce, którą znaleźliśmy w jej pokoju w hotelu, w którym mieszkała. Pozaznaczała te słowa na różnych stronach książki, a ja je przepisałem wczoraj wieczorem do pliku. Tylko za cholerę nie jestem w stanie ich poskładać do kupy. Ty pewnie masz jakieś programy do takich rzeczy?

– A jaka to książka?

– Co? – zapytałem głupio.

– Co to za książka? – powtórzył Robert. – Jaki ma tytuł?

– Ach... *Saga rodziny Goldberg*, gruba, ma ponad siedemset stron. Chyba pisana z myślą o kobietach. Takie romansidło.

– Nie znam – powiedział tylko.

Kompletnie mnie to wybiło z rytmu. Czuję się tak, jakby grał na zwłokę.

– Robert – powiedziałem niemal błagalnym tonem. – Pomóż mi, proszę. Ja tego nie rozszyfruję. Czuję, że to jest bardzo ważne i że dowiem się z tego czegoś przełomowego.

Bielski odchrząknął i wciągnął głęboko powietrze.

– Dobrze – odezwał się wreszcie, z ociąganiem. – Niczego nie obiecuję, ale rzucę na to okiem. Przyślij mi ten plik na mój prywatny email. Masz go chyba jeszcze?

– Tak, ogromnie ci dziękuję! – Prawie krzyknąłem z radości.

* * *

Tego samego dnia, już wieczorem, dostałem od Roberta wiadomość. To był pusty mail, ale miał załącznik z plikiem tekstowym, który natychmiast otworzyłem i z drżącym sercem zacząłem czytać.

Rozdział 20

Ktokolwiek będzie czytał tę informację, musi wiedzieć, że prawdopodobnie jestem już martwa. Chyba że jakimś cudem uda mi się wywieść w pole moich prześladowców. Być może, podobnie jak Seweryn osiem lat temu, weszłam na niebezpieczną ścieżkę odkrywania prawdy i najwyraźniej znalazłam się na tyle blisko, że zdecydowali się mnie pozbyć. Czuję, że to niestety tylko kwestia czasu, dlatego spisuję tutaj, w tej grubej powieści, wszystkie informacje, które do tej pory zdobyłam. Dzielę się też moimi domysłami i hipotezami, ale oczywiście nie mogę być na sto procent pewna, że tak jest w rzeczywistości. Do tego potrzebne jest porządne, zakrojone na szeroką skalę śledztwo.

Dlaczego zapisuję wiadomość w ten sposób? Bo ludzie, którzy chcą mnie zabić, na pewno wywrócą do góry nogami wszystkie moje rzeczy, a tego zaszyfrowanego przekazu prawdopodobnie nie wychwycą. Liczę na to, że dotrze do niej później ktoś na tyle inteligentny i spostrzegawczy, że będzie w stanie odszyfrować moją opowieść i zrobi z niej użytek.

Ale zacznę od początku.

Osiem lat temu w niewyjaśnionych okolicznościach nasz przyjaciel Seweryn umarł na naszych oczach. To tragiczne wydarzenie kompletnie zmieniło moje życie, bo przez kolejne lata żyłam w obsesyjnej świadomości, że to nie był wcale wypadek, tylko zamierzone działanie kogoś z nas wycelowane w jego życie. Po jakimś czasie stało się to stuprocentową pewnością, a gdy dręczące mnie demony wzięły górę, zaczęłam intensywnie prowadzić prywatne śledztwo. Po latach udało mi się zebrać kilka dowodów na to, że jego śmierć to tylko część większego spisku. Znalezione dokumenty ukryłam, aby przestępcy nie mogli ich zniszczyć.

Zaczynając od analizy zachowania całej naszej siódemki podczas imprezy nad zalewem, miałam bardzo dużo czasu, by przemyśleć dokładnie, co każdy z nas mówił, jak się zachowywał w momencie tego głupiego, jak teraz już wiem z perspek-

tywy czasu, żartu, co kto mówił i jak reagował, kiedy Seweryn padł martwy. Każdy może mieć coś na sumieniu i każdy może być potencjalnym mordercą. Ocenę tego zostawiam policji i śledczym, którzy wcześniej lub później dojdą do tego etapu i odkryją kłamstwo fałszujące prawdę.

Teraz skupię się na tym, co przez te wszystkie lata odkryłam.

Po pierwsze, Seweryn był biologicznym synem sławnego profesora Ryszarda Nowogrodzkiego, odkrywcy preparatu, z którego obecnie produkuje się rewolucyjny lek na raka. Czy może to mieć jakiś związek z jego śmiercią? Jestem przekonana, że tak. Nie wiem dokładnie jaki, ale na pewno te dwa fakty się łączą.

W przygotowanej i schowanej przeze mnie dokumentacji znajduje się kserokopia dokumentów z Urzędu Stanu Cywilnego, dowodzących, że naukowiec naprawdę jest ojcem Seweryna.

Po drugie, dotarcie do profesora Nowogrodzkiego, który kieruje pracami w laboratorium w siedzibie fabryki produkującej lek, jest po prostu niemożliwe. Pilnie strzeżony obiekt, brak dostępu do środka budynku i niemożność skontaktowania się z naukowcem jest mocno podejrzana. Czyżby był on więźniem właściciela fabryki? Lub może firma skrywa jakieś wyjątkowo strzeżone tajemnice? Tak jak już pisałam w poprzedniej wiadomości zapisanej na pendrivie, który ukryłam nad jeziorem (mam nadzieję, że ktoś dotarł do tych informacji, i mam nadzieję, że to byłeś Ty, Radek), moje próby dotarcia do profesora spęły na niczym. Co więcej, ktoś zaczął za mną chodzić i mnie śledzić. Myślę, że skończy się to dla mnie tragicznie.

Po trzecie i najciekawsze, niedawno odkryłam coś jeszcze. Coś, co jest najtrudniejsze do wytłumaczenia i najbardziej nieprawdopodobne. Otóż, zupełnie przypadkiem przeglądając zasoby internetu, natknęłam się na zdjęcie. Zrobione trochę przypadkiem kilka lat temu na jednej z imprez po otwarciu fabryki leków. Na fotografii, jeden z udziałowców (bogaty biznesmen) oraz dyrektor fabryki podnoszą kieliszki szampana w geście toastu, świętując uruchomienie produkcji tak potrzebnego leku. Ale nie to jest najważniejsze. To, co przykuło moją uwagę, to dwie osoby stojące na dalszym planie, kobieta i mężczyzna. Zapewne nieświadomi, że fotograf w tym czasie robił zdjęcie, zostali uchwyceni i uwiecznieni, jak stoją obok siebie, z kieliszkami w dłoniach, także świętując uruchomienie tej ważnej dla wszystkich inwestycji.

Znałam te osoby. Byłam z nimi kiedyś blisko. Też znali Seweryna i widzieli, jak umiera.

Te osoby to Aneta Kochańska i Krzysiek Nieczuj.

Ich obecność na raucie, na który zaproszono samą śmietankę polskiego biznesu i polityki, od razu wydała mi się podejrzana. I dlatego z ciekawości zaczęłam szukać w sieci informacji o tej dwójce. Co robili na tej imprezie? Czym się teraz zajmują? Facebook, Instagram, biznesowe portale społecznościowe, przejrzałam wszystko. Po nazwiskach, po nazwie uczelni, po innych hasłach i kompletnie nic nie znalazłam. Ani jednego zdjęcia czy zdania. Czyżby aż tak dbali o swoją prywatność, czy po prostu nie byli zainteresowani uczestnictwem w życiu w cyberprzestrzeni? Cóż, być może. Odpuściłam temat i zapomniałam o dwójce starych znajomych z uczelni.

Wróciłam do tematu fabryki leku i firmy, która była jej właścicielem, bo owiana tajemnicą postać profesora Nowogrodzkiego i tajemnica ojcostwa zamordowanego Seweryna nie dawały mi spokoju. Zaczęłam kopać w zasobach sieci, szukając informacji o genialnym profesorze i jego dotychczasowej karierze i pracy jako szefa działu rozwoju w spółce produkującej lek. Informacji było nawet sporo, ale wszystkie z okresu ogłoszenia wynalazku i poszukiwania inwestorów, natomiast brak było jakichkolwiek nowinek z ostatnich lat. Temat obecnej kariery naukowca skutecznie zniknął z sieci, tak jakby człowiek ten przestał w ogóle istnieć. Na próżno przerzucałam, szukałam, aż w końcu coś zupełnie innego przykuło moją uwagę. Coś mnie tknęło, gdy na jakiejś stronie biznesowej, w artykule poświęconym działaniu spółki, zobaczyłam nazwiska członków Rady Nadzorczej.

Aneta Goldberg i Krzysztof Goldberg.

Jakiś szósty zmysł podpowiedział mi, że Aneta i Krzysztof dziwnym zbiegiem okoliczności byli przecież na tym ukradkowym zdjęciu z przyjęcia inauguracyjnego zorganizowanego po uruchomieniu fabryki. No, ale oni nigdy nie nazywali się Goldberg, a tym bardziej jakim to magicznym sposobem mieliby zostać w tak młodym wieku członkami Rady Nadzorczej takiej poważnej spółki dysponującej miliardowym kapitałem? Odrzuciłam więc początkowo ten chory pomysł, jako kompletnie nierealny, ale z biegiem czasu zaczęłam się coraz bardziej nakręcać i myślałam o tym coraz więcej i więcej.

W końcu nie wytrzymałam i rzuciłam się znów w otchłań sieci, szukając jakichkolwiek informacji na temat Anety i Krzyśka. Ku mojemu zdziwieniu, zdjęcie z imprezy, które poprzednio znalazłam, zniknęło ze strony, na której wcześniej było dostępne. Przerzuciłam grube setki stron internetowych, ale ślad po nim zaginął. Zakląłam pod nosem, bo nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zapisać je gdzieś w komputerze. Spędziłam setki godzin, odwiedziłam tysiące stron internetowych i nic nie udało mi się nic znaleźć. Miałam w garści tylko suchą informację o Anecie i Krzysztofie Goldbergach, zasiadających w Radzie Nadzorczej spółki produkującej lek.

Kiedy w końcu doszłam do ściany, postanowiłam zadziałać inaczej i wynajęłam specjalistę. Zleciłam mu znalezienie jakichkolwiek informacji. Nie liczyłam na duży sukces, ale w końcu się udało.

Po dwóch dniach ten spec od włamywania się do systemów i wygrzebywania informacji spod ziemi za niemałe pieniądze przekazał mi całkiem interesujący materiał.

A oto, czego się dowiedziałam:

Krzysztof Nieczuj i Aneta Kochańska pobrali się rok później po tragicznych wydarzeniach nad Zegrzem.

Niemalże od razu urzędowo zmienili nazwisko na Goldberg.

Dwa lata później zostali członkami Rady Nadzorczej spółki ubiegającej się o prawa do leku, wcześniej pracowali dla jakiejś innej firmy inwestycyjnej w charakterze analityków biznesowych.

Oboje zostali udziałowcami firmy i otrzymali w sumie dziesięć procent udziałów.

Obecne miejsce zamieszkania Anety i Krzysztofa Goldbergów to pilnie strzeżona okazała willa położona w środku lasu kilka kilometrów od siedziby fabryki.

Kompletnie nie wiedziałam, skąd ten haker wziął takie sensacyjne wiadomości, ale byłam tak zaskoczona, że zapłaciłam umówioną, dużą kwotę i pogrążyłam się w rozmyślaniach oraz snuciu hipotez. Miałam więcej pytań niż odpowiedzi.

Dlaczego zmienili nazwisko? Jakim cudem dwójka młodych ludzi tak szybko wbiła się w środowisko najbogatszych osób w Polsce? Co robili w tej Radzie Nadzorczej, nie mając ani odpowiedniego doświadczenia, ani stażu pracy, ani odpowied-

nich znajomości? Czy to nie dziwne, że tak szybko i tak młodo zostali udziałowcami i zbili ogromną fortunę?

Do tej pory nie udało mi się połączyć wszystkich faktów ani zbliżyć się do Ryszarda Nowogrodzkiego, a tym bardziej do Anety i Krzyśka. Pozostawiam tę wiadomość, aby ktoś kontynuował po mnie to śledztwo, jeśli coś mi się przydarzy.

Marta

Rozdział 21

Ten list od Marty, ta odszyfrowana przez Roberta wiadomość, ten przekaz z zaświatów... To wszystko wstrząsnęło mną tak mocno, że przez kilka ładnych godzin praktycznie straciłem kontakt ze światem zewnętrznym. Czytałem list raz za razem i wciąż nie mogłem uwierzyć w te rewelacje, które do mnie dotarły. Co gorsza, zadane przez Martę pytania uruchomiły we mnie lawinę spekulacji i domysłów, a dziesiątki potencjalnych scenariuszy kłębiło się w moim umyśle, nie pozwalając przestać o tym myśleć. Rozbolała mnie głowa i czułem się tak rozpalony, jak przy ciężkiej grypie. Musiałem ochłoniąć i zebrać myśli. Długi wieczorny spacer pomógł mi tylko trochę, bo nie mogłem się uspokoić.

Zadzwońiłem do Tomka, potem drugi i kolejny raz. W końcu odebrał.

Gdy tylko powiedziałem mu o znalezionej wiadomości od Marty, opieprzył mnie od góry do dołu i po raz kolejny zakazał zajmować się tym tematem. Nie przebierając w słowach, przypomniał mi o brutalnym najściu oddziału specjalnego i o przeżywanej w jego rodzinie traumie. Zapytał wprost, czy swoją dociekliwością chcę doprowadzić do tego, że poczuję to samo co jego rodzina, i czy chcę, by pewnego ranka obudziło mnie kilku uzbrojonych i zdecydowanych na wszystko antyterrorystów. Odrzekłem, że oczywiście nie chciałbym takiego obrotu spraw. I na tym skończył rozmowę. Rozłączył się, pozbawiając mnie tym samym złudzeń, że jeszcze mi pomoże.

Zostałem sam z ogromnym ciężarem nabytej niedawno wiedzy, śmiertelnie okupionej przez Martę, która wplątała mnie w tą bardzo niebezpieczną grę. Zacząłem intensywnie się zastanawiać, czy ci, którzy pilnują tajemnic i którzy najpewniej są bardzo wpływowymi ludźmi, są już na moim tropie, i czy jest tylko kwestią czasu, kiedy mnie dopadną i stanę się

kolejną ofiarą w tej grze. Doszedłem jednak do wniosku, że nigdy nie byłem wystawiony na świecznik, tak jak zrobiła to Marta, i że tak naprawdę to właśnie Tomek zaczął głęboko grzebać w temacie zamkniętego śledztwa, i to on dostał po łapach. Otrzymał skuteczne ostrzeżenie, a oprawcy musieli wiedzieć, że w ten sposób dotarło to także do mnie.

Po raz kolejny przeanalizowałem zdobyte do tej pory informacje, próbując coś z tego wywnioskować, aby złożyć w całość i odwzorować potencjalną historię wydarzeń. Ale im dłużej o tym myślałem, tym mniej wiedziałem. Ogarnęła mnie niezdrowa obsesja wyjaśnienia tej zagadki.

Nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, gdzie Marta ukryła dokumentację, o której wspominała w odszyfrowanym liście. Przecież nie dała mi żadnej wskazówki, a nie byłem w stanie nawet sobie wyobrazić, jakie miejsce wybrała do przechowania tak wrażliwych informacji.

Zostawiła mi kolejną zagadkę.

I gdzie w tej całej układance znajdował się Michał z domniemanym udziałem w zabójstwie Seweryna?

Po kilku dniach już przestawałem być sobą. Wiecznie zamyślony zrobiłem kilka poważnych błędów w pracy, które skończyły się dla mnie bardzo nieprzyjemnie. Ania z kolei zaczęła mnie podejrzewać, że mam jakiś romans i że w kimś się zadurzyłem, bo stałem się nieobecny i tajemniczy. Zaczynałem staczać się coraz bardziej w otchłań bez dna. Powoli traciłem kontakt z rzeczywistością.

To wszystko stało się dla mnie tak nieznośne i tak nie do wytrzymania, że w końcu musiałem coś z tym zrobić. Nie dało się dalej żyć ze świadomością, że posiadając w swoich rękach tyle informacji i wiedząc, że doszło do tylu tragicznych, bo zakończonych śmiercią niewinnych osób, zdarzeń, nie jestem w stanie nic zrobić.

W końcu widząc, że dalej tak nie pociągnę, postanowiłem zrobić coś bardzo nierozsądnego i niebezpiecznego. Podjąłem decyzję, że dokończę śledztwo Marty i dowiem się prawdy.

Wziąłem urlop, spakowałem małą torbę z najpotrzebniejszymi rzeczami i wyjechałem do Brodnicy. Zostawiłem Ani wiadomość, że muszę pilnie

wyjechać w sprawach służbowych. Czułem się potwornie ze świadomością, że ją oszukuję i potencjalnie pakuję się w niebezpieczną sytuację, ale nie byłem już w stanie się zatrzymać i tak po prostu o tym wszystkim zapomnieć.

Rozdział 22

Jadąc kompletnie bez żadnego planu do Brodnicy, wiedziałem tylko, że klucz do zagadki musi znajdować się w fabryce leku oraz w willi Krzyśka i Anety, teraz noszących nazwisko Goldberg. Rzuciłem się na ten pomysł wyjazdu spontanicznie i bez większego przygotowania, ale teraz musiałem zastanowić się nad tym, co tak w ogóle chcę osiągnąć i jak pokierować swoim dochodzeniem, aby nie wpaść w sidła przestępców, tak jak stało się to z moją koleżanką. Nie mogłem tak po prostu beczelnie zacząć węszyć, bo od razu zostałbym zauważony i wszystko mogłoby się skończyć tragicznie.

Nie miałem przygotowania ani umiejętności do prowadzenia tajnego śledztwa i nie czułem się na siłach, by działać jak MacGyver albo inny superbohater. Musiałem podjąć przynajmniej minimalne środki ostrożności, żeby zamaskować swój pobyt w Brodnicy i nie wywoływać alarmu wśród ludzi, którzy mieli coś do ukrycia i za wszelką cenę eliminowali niebezpieczeństwo.

Wynająłem domek nad jeziorem w jednym z bardziej wyludnionych ośrodków wczasowych, bo tutaj czułem się anonimowy i nie rzucałem się tak bardzo w oczy. Udawałem turystę, choć w tej sytuacji było to dla mnie znaczne wyzwanie. Siedząc na pomoście nad jeziorem, długo się zastanawiałem, co robić dalej, aż doszedłem do wniosku, że na początek przynajmniej zobaczę miejsce, w którym zamieszkali Krzysiek i Aneta. Wymyśliłem, że poobserwuję z ukrycia tę ich willę, aby naocznie się przekonać, czy faktycznie mieszkają tam moi starzy znajomi z uczelni.

Żeby w ogóle dowiedzieć się czegokolwiek o tym, gdzie szukać tego domu, musiałem w tajemnicy przed Tomkiem raz jeszcze poprosić o pomoc Roberta. Tak długo go męczyłem, aż obiecał pogrzebać w policyjnych

bazach danych. W końcu udało mi się zdobyć adres posesji, a właściwie koordynaty GPS, bo jak stwierdził Robert, willa została tak głęboko ukryta w lesie, że tylko z lotu ptaka można było ją zauważyć. Ogólny adres: „Zarosłe 1”, który podobno widniał w bazie danych, nic i tak by mi nie powiedział.

Teraz tylko wystarczyło odpowiednio się przygotować do dyskretnej obserwacji.

W sklepie myśliwskim w Brodnicy kupiłem dobrą lornetkę, a w małym sklepiku dla wędkarzy maskujące ciemnozielone ubranie i czapkę z daszkiem. Domyśliłem się, że jeśli dom Goldbergów jest pilnie strzeżony, to z pewnością nad jego bezpieczeństwem czuwa instalacja zewnętrznych kamer, która wychwytuje intruzów. Postanowiłem udawać typowego grzybiarza. Wziąłem plastikowe wiaderko i pojechałem wypożyczonym z ośrodka rowerem, żeby pooglądać okolicę interesującego mnie domu.

Okazała, otoczona wysokim kamiennym murem willę namierzyłem w końcu po wnikliwym przestudiowaniu mapy satelitarnej i danych, które przesłał mi Robert. Faktycznie, gdyby nie GPS, to pewnie błąkałbym się po tym lesie dość długo, bo posiadłość schowana była praktycznie w jego środku, z dala od uczęszczanych dróg. Aż dziwne było, że dostali pozwolenie na budowę takiej okazałej posesji w samym środku parku krajobrazowego, ale jeśli faktycznie byli to ludzie z Rady Nadzorczej jednej z najbogatszych spółek w Polsce produkującej lek na nowotwory, to zapewne stać ich było na przekupienie wielu osób decydujących o takich rzeczach, jak pozwolenie na budowę domu w chronionym przyrodniczo miejscu.

Zatrzymałem się dobre kilkanaście metrów od kamiennego muru i popatrzyłem na budowlę. Z tego punktu praktycznie nie było widać, co się znajduje za tym na pewno zbyt wysokim, nieprzepisowym ogrodzeniem.

„Nieźle się zabarykadowali” – pomyślałem. „Widocznie mają coś do ukrycia albo zależy im na wyjątkowej prywatności”.

Byłem szalenie ciekawy, czy zgodnie z odkryciem Marty rzeczywiście mieszkali tam Krzysiek i Aneta z naszego wydziału z uniwerku.

Sięgnąłem po lornetkę, ale na niewiele mi się teraz zdała. Musiałbym wejść na jedno z okolicznych i raczej wysokich drzew, bym w ogóle miał szansę coś dostrzec. Zostawiłem więc rower oparty o drzewo i udając, że zbieram grzyby, obszedłem dookoła tę twierdzę. To był potężny kawał terenu otoczony przez kamienny mur, który, jak szybko oceniłem, był bardzo trudny do sforsowania. Jedynie od strony dzikiej, piaszczystej leśnej drogi, która tutaj prowadziła, monotonię ogrodzenia urozmaicała fantazyjna, ręcznie kuta brama. Przed wjazdem dojrzałem zamontowane kamery, które mrugały do mnie czerwonymi światelkami. Zaciągnąłem czapkę z daszkiem nieco głębiej na czoło i ostrożnie podszedłem do bramy, zaglądając w głąb posiadłości. W tle majaczył wybudowany z rozmachem pałac otoczony iglakami. Już na pierwszy rzut oka powalał przepychem, ale nie zdążyłem mu się dobrze przyjrzeć, bo do bramy podbiegły dwa dorosłe dobermany, wściekle ujadając. Rzuciły się z furią na ogrodzenie. Odskoczyłem jak oparzony, dziękując losowi, że te dwa potwory nie są w stanie przeskoczyć przeszkody. Ale to nie był koniec niespodzianek, bo po drugiej stronie bramy pojawił się groźnie wyglądający ochroniarz, który, nie czekając na moje wyjaśnienia, rzucił nie znoszącym sprzeciwu głosem:

– Proszę stąd odejść! To teren prywatny!

Nie chciałem tak po prostu się poddać i zawrócić, więc spróbowałem go zagadać w najbardziej beztroski sposób, na jaki było mnie w tej chwili stać:

– Ale mnie pan wystraszył – strzeliłem głupio. – Spaceruję sobie trochę, grzybów szukam.

Ochroniarz spojrział na mnie czujnie, na mój ubiór i na zielone wiaderko, które kurczowo trzymałem, a potem na jego twarzy pojawiła się groźna mina.

– Nie ma tu czego szukać! – szczerknął. – Proszę stąd odejść!

Mimo jawnej wrogości tego człowieka i miotających się u jego nóg groźnych, bojowych psów gotowych wyszarpać życie z gardła potencjalnej ofiary, zaryzykowałem dalszą rozmowę.

– Już idę – rzuciłem beztrosko. – A któż to tutaj mieszka w takiej twierdzy? Przecież to prawdziwa forteca! – Jedno spojrzenie na tego faceta i po-

żałowałem ostatniego pytania.

Ochroniarz zrobił ruch ręką, jakby chciał otworzyć bramę, i już wiedziałem, że nie tylko niczego się nie dowiem, ale mogą mi grozić nieprzyjemne konsekwencje.

– Albo odejdziesz stąd w tej chwili, albo napuszczę na ciebie psy! – wrzasnął, a ja wiedziałem, że nie żartuje.

– Po co te nerwy? Już idę... – mruknąłem. – Aleś pan nerwowo...

Odszedłem w stronę pozostawionego roweru, wsiadłem na niego i odjechałem na tyle daleko, żeby zniknąć z oczu strażnika i kamer śledzących otoczenie domu.

I co teraz? Zasepiłem się, bo nie dość, że niczego nie odkryłem, to zupełnie niepotrzebnie wzbudziłem zainteresowanie ochrony, a to zupełnie nie było mi potrzebne i narażało mnie na zdemaskowanie. Miałem tylko nadzieję, że mój kamuflaż i historia o zbieraniu grzybów skutecznie przekonały strażnika i że szybko zapomni o naszym spotkaniu.

Nagle zdałem sobie sprawę, jaką bzdurę zrobiłem. Przecież dopiero był maj. A grzyby zbiera się późnym latem i jesienią. Co za kretyn ze mnie! Cała nadzieja w tym, że strażnik wziął mnie za półgłówka i nie zamierzał wzniecać alarmu.

Spojrzałem na zegarek. Były wczesne godziny popołudniowe, a ja bardzo chciałem zobaczyć twarze ludzi, którzy tutaj mieszkali. Na tę chwilę nie byłem w stanie stwierdzić, czy ktoś jest w domu, bo szybki rzut oka przez bramę nie wystarczył.

Usiadłem przy polnej drodze i wpadłem w zadumę. Zastanawiałem się, co dalej zrobić. Mógłbym rozłożyć się wygodnie wśród drzew, zaopatrzyć w kanapki i coś do picia i z pomocą lornetki obserwować do skutku tę willę, aż ktoś będzie wchodził lub z niej wyjeżdżał. Może wtedy udałoby mi się dowiedzieć, kto tutaj mieszka i czy są to moi dawni przyjaciele. Choć coraz rzadziej używałem tego słowa, bo przez te wszystkie wydarzenia i brak kontaktu zaczynałem o nich myśleć raczej jak o dalekich znajomych.

Już podejmowałem decyzję, aby wrócić tu za jakiś czas i dopiero wtedy zacząć obserwację terenu, gdy stało się coś nieoczekiwanego. Właśnie podnosiłem się na nogi, otrzepując spodnie z mchu i piachu, gdy usłyszałem nadjeżdżający samochód. W pierwszej chwili do głowy przysłała mi myśl, że jedzie ciężarówka, bo głęboki pomruk mocnego silnika przywodził na myśl duży, ciężki pojazd zmagający się z piaszczystą leśną drogą. Ale już za chwilę miałem się przekonać, że to nie do końca ciężarówka, choć typowym samochodem osobowym też nie był ten czarny, wielki SUV, który wyłonił się zza drzew i najwyraźniej zmierzał w stronę domu Goldbergów.

Poznałem to auto od razu, bo nie sposób było je pomylić z jakimkolwiek innym. Wzorowany na ciężarówkach wojskowych amerykański potwór, na którego mało kogo było stać, nie tylko ze względu na cenę zakupu, ale także na koszty utrzymania i przede wszystkim zasadność poruszania się takim kłocem po ulicach miasta. To był hummer, najnowszy model jednego z bodaj największych SUV-ów dostępnych na rynku.

Rzut oka na zbliżający się pojazd uzmysłowił mi, że ze względu na to miejsce zamieszkania, wśród lasów i szutrowych dróg, dla bardzo bogatych ludzi to w zasadzie rozsądny wybór. Jeśli ktoś musiał za wszelką cenę mieć największe i najdroższe auto, to nie było lepszej opcji. Zapewne człowiek za kierownicą miał jakieś kompleksy albo po prostu nie liczył się z pieniędzmi.

Samochód był coraz bliżej, więc odsunąłem się głębiej w stronę lasu, żeby zrobić miejsce dla tego szerokiego na dobre dwa metry olbrzyma, i wbiłem wzrok w stronę kierowcy, pochylając nieco głowę, by ukryć swoją twarz pod daszkiem czapki. Dziękowałem opatrności za to, że według europejskich norm nie wolno było przyciemniać przednich szyb samochodów, i teraz mogłem co prawda przez bardzo krótką chwilę, ale jednak na tyle długo, aby mieć pewność, przypatrzyć się twarzy osoby za kierownicą.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości.

Nawet po tylu latach go rozpoznałem. To był on. Ubrany w garnitur i białą koszulę Krzysiek Nieczuj. Noszący teraz nazwisko Goldberg.

Rozdział 23

A więc Marta miała rację!

Z jakiegoś niewytłumaczalnego dla mnie powodu Krzysiek, zapewne razem z niegdysiejszą dziewczyną, a teraz żoną, stał się niewiarygodnie bogatym człowiekiem i według rewelacji odkrytych przez Martę miał coś wspólnego z firmą produkującą najbardziej pożądaną na świecie lek.

Uczucie, jakie mnie teraz dopadło, było obezwładniające. Czym innym były teoretyczne sensacje przekazane w zaszyfrowanej wiadomości, a czym innym ujrzeć na własne oczy, jak dawny przyjaciel opływa w dostatki i w pełni korzysta ze zdobytego bogactwa. To, jakim cudem wszedł w posiadanie takiej fortuny, było zagadką, na którą musiałem znaleźć odpowiedź. Z tym że na razie zupełnie nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Na pomoc Tomka nie mogłem liczyć, a Robert dał mi jasny sygnał, że mam do niego w tych tematach więcej się nie odzywać.

Nie mogłem nawiązać z Krzyśkiem bezpośredniego kontaktu, bo czułem, że to byłoby najgorsze z możliwych rozwiązań. Nie dość, że mógłbym znów zostać pogoniony przez strażnika, to jeszcze zostałbym zdemaskowany, i wydałoby się, że węższą wokół tych tajemnic, których przecież tak pilnie strzegą. Nic bym zapewne nie ugrał, a nawet może zakończyłbym życie tak jak Marta.

Na razie nie miałem żadnego pomysłu na to, jak rozwikłać zagadkę Goldbergów. Postanowiłem zostawić to na później. Wpadłem natomiast na myśl, w jaki sposób dostać się do fabryki leków. I to w legalny, prosty i w miarę bezpieczny sposób.

* * *

Zadzwonił mój telefon. Spojrzałem na ekran i zakląłem głośno. To była Ania.

– Halo, kochanie – odezwałem się najbardziej beztróskim głosem, jaki udało mi się wydobyć ze ściśniętego gardła.

– Radek... – Moja narzeczona zaczęła w taki sposób, że nie miałem najmniejszych wątpliwości co do tego, że nie jest dobrze. – Co to za pilny wyjazd? Tak nagle, bez zapowiedzi?

– No wiesz... Ten nowy system sprzedaży i szkolenia. Dali mi pilne zlecenie. Musiałem wyjechać na kilka dni.

– Kilka dni?!

– No tak, nie mogłem się z tego wykręcić – kłamałem coraz mniej pewnie i czułem, jak pieką mnie policzki.

Cisza, jaka zapadła na kilkanaście kolejnych sekund, zmartwiła mnie jeszcze bardziej, bo nie wróżyła niczego dobrego.

– Aniu, jesteś?

– Tak – wycedziła przez zęby, a potem głęboko westchnęła. – Radek, jeśli kogoś masz, to lepiej powiedz to teraz. Oszczędzimy sobie dalszych kłamstw i niepotrzebnego cierpienia. W każdym razie ty mi ich oszczędź.

Tego się nie spodziewałem. Nie brałem pod uwagę przypuszczenia, że dla kobiety takie tajemnicze zachowanie, jakiego się ostatnio dopuściłem, może oznaczać tylko jedno. Zdradę.

– Ale, skarbie! Co ty wygadujesz! – Moje oburzenie było szczere. Wreszcie szczere. – W życiu bym czegoś takiego nie zrobił! Nikogo nie mam! Tylko ciebie! Jak mogłaś w ogóle tak przypuszczać?! – Chyba zabrzmiałem dosyć przekonująco.

– No dobrze... wierzę ci. Ale jakoś dziwnie ostatnio się zachowujesz. Jesteś taki nieobecny. Ciągłe zajęty. Zaczęłam w końcu podejrzewać, że masz kogoś...

– Kochanie. Aniu... Mam ciężki moment w pracy. Ale obiecuję, że niedługo się to skończy.

– Obiecuj mi coś...

– Tak?

– Jeśli kiedyś spotkasz kogoś innego, nie baw się ze mną w podwójne życie. Lepiej zerwać od razu, niż oszukiwać mnie i siebie.

– Aniu... – zacząłem, ale przerwała mi.

– Obiecuj!

– Obiecuję ci, że nie będzie takiej sytuacji, Aniu. Dobrze już?

– Mam nadzieję, że się nie mylisz...

– Oczywiście, że nie. Jestem pewien mojego uczucia do ciebie jak nigdy wcześniej w moim życiu – zapewniłem gorąco.

– Uspokoileś mnie trochę. Zadzwoń do mamy, zobacz, czy czegoś nie potrzebuje.

– Tak zrobię, kochanie, dziękuję za to, że się tak o nią troszczysz. Wiem, że czuje się lepiej, ale zadzwonię.

– No to... Załatw szybko te sprawy i wracaj do domu.

– Obiecuję, kocham cię.

– Pa!

Zakląłem głośno.

Cholera, jeszcze nigdy w życiu tak się nie wilem w kłamstwach i oszukiwaniu nie tylko kogoś, ale i samego siebie. Miałem tylko nadzieję, że przez te moje zabawy w detektywa nikt nie ucierpi, w tym także nasz związek.

Rozdział 24

Pomysł, który przyszedł mi do głowy, a który miał mi pozwolić dostać się do fabryki i porozmawiać z ojcem Seweryna, był z założenia prosty w realizacji. Ale początkowa euforia, która mnie ogarnęła, dość szybko uleciała, kiedy zacząłem głębiej analizować możliwości, jakie miałem. Jak pokazał przykład Marty dostanie się do środka ot tak, po prostu, nie było łatwe, wręcz wydawało się niemożliwe. Wszystkie próby, które podejmowała, kończyły się fiaskiem. Podejrzywałem ponadto, że cała ochrona zakładu jest już uczulona na takie metody przedostania się do środka i w razie najmniejszych podejrzeń mogą obejść się ze mną bezceremonialnie, albo wręcz brutalnie. To, co wymyśliłem, miało być złotym środkiem i dać mi szansę wejścia do paszczy lwa.

Chciałem oficjalnie się tam zatrudnić.

Oczywiście nie na stanowisku wymagającym kwalifikacji, bo na to ani nie było czasu, ani nie chciałem tego robić. Rekrutacje na pozycję analityka biznesowego, którym byłem, trwały zapewne tygodniami, więc taka opcja odpadała. Miałem swoje życie i nie mogłem tutaj tkwić zbyt długo. Musiałem to załatwić w ciągu najbliższych dni. Pozostawały stanowiska dla pracowników niewykwalifikowanych, wykonujących proste prace magazynowe lub porządkowe. Decyzje o zatrudnieniu na takie stanowiska zapadały zapewne szybko i bez zbędnych formalności. Chciałem znaleźć coś, co dałoby mi szansę poruszania się po obiekcie i porozglądania się w środku firmy.

Korzystając z internetu, znalazłem idealne ogłoszenie, które dosłownie spadło mi jak z nieba. Szukali akurat pracowników na kilkudniowe zlecenie do prac porządkowych po remoncie hali produkcyjnej i do przeprowadzki kilku pomieszczeń biurowych. Idealna fucha na moje potrzeby.

Musiałem się tylko pospieszyć, żeby załapać się na tę robotę, więc pojechałem tam następnego dnia z samego rana.

Po krótkiej wizycie w fabryce, podczas której musiałem się niezłe napocić, udając zdeterminowanego człowieka, któremu zależy nawet na najprostszej, tymczasowej pracy, dostałem angaż na tydzień i mogłem stawić się następnego dnia do ciężkich prac fizycznych.

Miałem więc świetną okazję do wejścia na teren i podjęcia próby zobaczenia, jak to wygląda od środka, a przede wszystkim, co stanowiło przecież mój główny cel, złapania kontaktu z Nowogrodzkiem. Kompletnie nie wiedziałem, co potem, kiedy już uda mi się znaleźć w pobliżu profesora, ale liczyłem na moją spontaniczną inwencję i taki sposób zagadania do naukowca, aby dowiedzieć się czegokolwiek na temat Seweryna. To wciąż był najważniejszy wątek, który należało wyjaśnić w pierwszej kolejności. Byłem przekonany, że rozwiązanie zagadki śmierci naszego kolegi stanowi klucz do wyjaśnienia wszystkich pozostałych tajemnic.

Musiałem się tylko pospieszyć, bo minęły już trzy dni, od kiedy tu przyjechałem, a musiałem kiedyś wrócić do domu i do pracy. Kończyły mi się powoli pomysły na uzasadnienie przedłużania się mojej rzekomej delegacji. Mimo iż starałem się być jak najbardziej przekonujący, gdy tłumaczyłem zawłości i komplikacje związane z wdrażaniem nowego systemu sprzedaży ofert bankowych mojej firmy, to zaczynałem się obawiać, że Ania w końcu skontaktuje się z kimś z mojego miejsca pracy i dowie się, że ją okłamuję. A tego bym nie chciał. Nie wiem, jak miałbym później odzyskać zaufanie narzeczonej.

Mówienie jej prawdy na tym etapie mojego śledztwa też nie wchodziło w grę, bo zapewne Ania poruszyłaby niebo i ziemię, bym wrócił, włącznie ze zmuszeniem Tomka, żeby osobiście tu po mnie przyjechał i siłą zabrał mnie do domu. A to zniweczyłoby moje plany i znów dusiłbym się z potrzeby wyjaśnienia wszystkich tych śmiertelnych zagadek.

Tak więc przygotowywałem się psychicznie i fizycznie do rozpoczęcia mojego prywatnego dochodzenia w tej słynnej na cały świat fabryce.

Rozdział 25

Stawiłem się na miejscu punktualnie o siódmej trzydzieści rano i zgodnie z poleceniem starszej pani z działu HR, ja i trzy inne osoby, które chciały się tutaj zatrudnić, udaliśmy się na pierwsze piętro biurowca. Krótki wywiad i spisanie danych zajęły zaledwie kilka minut i po orzeczeniu, że cała nasza czwórka nadaje się do pracy, przeszliśmy do części magazynowej, gdzie wręczono nam robocze szare drelichy, buty i „pakiet czystości” złożony z ręcznika, mydła i jakiegoś ochronnego kremu do rąk.

Potem odbyliśmy krótkie szkolenie BHP, na którym smutny pan z wąsem poinformował nas, jakie zasady bezpieczeństwa należy zachować, co wolno robić, a czego zdecydowanie nie, kiedy będzie przerwa na obiad oraz przekazał pozostałe informacje organizacyjne.

Wszystko razem zajęło nie więcej niż godzinę i już około ósmej trzydzieści byliśmy gotowi, by zacząć pracę.

Przez ten czas miałem okazję przyjrzeć się bliżej moim tymczasowym współpracownikom, z którymi mogłem w najgorszym wypadku spędzić nawet kilka kolejnych dni.

Pierwszy z nich, jakiś młody koleś z Brodnicy, który po skończeniu lokalnego liceum nie mógł znaleźć w tym mieście żadnej sensownej i stałej pracy – a z powodu niewystarczających chęci lub braku finansów nie zdecydował się pójść na studia – musiał dorabiać w taki właśnie okazjonalny sposób. Miał na imię Tymek i był dość sympatyczny. Wymieniliśmy kilka zdawkowych zdań i od razu pomyślałem, że wykorzystam go do moich celów. To, co chciałem zrobić, to przy najbliższej okazji pociągnąć go za język i dowiedzieć się czegoś więcej o kulisach działania tej fabryki, bo chłopak był przecież stąd i mógł znać jakieś cenne plotki.

Dwóch pozostałych uczestników tej skromnej grupy to byli przyjezdni z jakichś odległych wiosek, którym także musiała wystarczyć taka dorywcza praca, aby zarobić parę groszy na życie i rodziny utrzymujące się z pracy rąk na roli. Nawet nie zapamiętałem ich imion, bo brzmiały jakoś tak podobnie, Zenek i Remek, czy jakoś tak. W każdym razie postanowiłem nie koncentrować swojej uwagi na tych dwóch, bo widać było, że są to ludzie prości i raczej nie będzie z nich większego pożytku.

Po szybkim szkoleniu z zasad bezpieczeństwa pracy poprowadzono nas przez rozległy dziedziniec do jednej z wielu hal, z których składała się ta nowoczesna fabryka. Przechodząc przez ładnie utrzymany teren, rozglądałem się uważnie i starałem się dostrzec miejsce, w którym mogło się znajdować główne laboratorium firmy i jednocześnie ten słynny dział R&D zarządzany przez profesora Ryszarda Nowogrodzkiego. Jednak z zewnątrz nie byłem w stanie niczego dostrzec. Pomyślałem, że dział badań znajduje się najpewniej w dość dobrze strzeżonym rejonie fabryki, do którego nie jest tak łatwo się dostać.

Doszliśmy w końcu do miejsca, w którym mieliśmy spędzić kolejne dni. „Blok E”, wyczytałem na tabliczce przy wejściu do budynku. Mogła to być bardzo przydatna informacja, bo chciałem jeszcze dziś dokładnie poznać topografię fabryki, układ budynków i możliwości poruszania się po niej. Musiałem jak najszybciej namierzyć laboratorium.

Środek hali, w której mieliśmy pracować, wyglądał jak po wojnie. Setki rur, jakichś elementów montażowych, drewnianych płyt, szmaty, śmieci. Domyśliłem się, że to pozostałości po rusztowaniach, które służyły do remontu pomieszczenia, zdziwiło mnie tylko, że poprzednia ekipa nie posprzątała po sobie tego bałaganu. Ale to nie był już mój problem. A nawet powinienem być wdzięczny, że tak się stało, bo dzięki temu dostałem się do środka fabryki.

Staliśmy niepewnie na środku hali. Chwilę patrzyliśmy przestraszeni na ogrom walających się przedmiotów, gdy nagle obok nas zabrzmiał donośny, niski męski głos. Nawet nie zauważyliśmy, że zbliżył się do nas kolejny człowiek ubrany podobnie jak my.

– Nazywam się Marek Karwat i jestem kierownikiem administracyjnym tego obiektu – zagrzemiał nowo przybyły. – Mamy tu do posprzątania mały bałagan i stąd wasza obecność. – Zlustrował nas od stóp do głów i skrzywił się z niesmakiem.

Widać było gołym okiem, że stanowimy zbieraninę przypadkowych ludzi, którzy zgodzili się za minimalną stawkę odwalić kawał ciężkiej roboty. Nie wyglądaliśmy na profesjonalistów.

– Jak widzicie, roboty jest dużo, a to tylko część waszych zadań na najbliższe dni – kontynuował wyjaśnienia. – Najważniejsza rzecz na dzisiaj, to wyniesienie stąd tych stalowych konstrukcji i załadowanie ich na przyczepę stojącą przy rampie. Mam nadzieję, że pracowaliście kiedyś fizycznie, bo to męczące zajęcie. Macie rękawice robocze?

Spojrzeliliśmy na siebie zdziwieni.

– Powinniście je dostać razem z kombinezonami. – Karwat nie krył rozczarowania. – Zaraz ktoś je tutaj doniesie. Mój kolega pokaże wam, gdzie jest toaleta. Za chwilę zaczynamy, przerwa około dwunastej trzydzieści. Firma stawia obiad w stołówce firmowej. Pracujemy do siedemnastej. – Spojrzał na nas krytycznie. – Są jakieś pytania? – Otaksował nas znów dokładnie. – Jeśli nie, to zaczynamy.

No i zaczęło się.

Byłem kompletnie nieprzywykły do ciężkiej, fizycznej pracy, a te nieszczęsne stalowe profile wcale nie były lekkie. Dość szybko cały się spociłem i poczułem, że od schylania się i podnoszenia stalowych rur bołą mnie plecy. Chciałem choć trochę rozbić monotonię wykonywanych czynności, zagadując co chwilę Tymka i próbując dowiedzieć się czegoś na temat klimatu oraz pogłosek krążących wokół fabryki. Jednak opornie to szło, bo chłopak z każdą minutą był coraz bardziej zasapany i w zasadzie nie miał jak ze mną porozmawiać. Poza tym musieliśmy się skoncentrować na pracy, żeby któremuś z nas nie spadł na nogę ciężki kawał żelastwa, zatem rozmowa zupełnie się nie kleiła.

Zostawiłem to więc na przerwę obiadową, starając się maksymalnie wykorzystać każde wyjście na zewnątrz hali, żeby trochę porozglądać się do-

okoła. Niestety, niewiele mi to dało. Zaczynałem mieć pewność, że laboratorium i siedziba Nowogrodzkiego są raczej w tym rozległym, nowoczesnym budynku głównym zbudowanym ze stali i szkła, a nie na terenie hal produkcyjnych. Obiecałem sobie, że w najbliższej wolnej chwili przestudiuję dokładnie zdjęcie satelitarne tego zakładu i być może coś z niego wyczytam. Musiałem też otrzymać możliwość, lub samemu sobie ją wypracować, aby przespacerować się po głównym budynku, bo tkwiąc w tym miejscu, niewiele mogłem zdziałać.

Dotrwaliśmy jakoś do przerwy obiadowej i z wdzięcznością przyjęliśmy komunikat o czekającym nas posiłku. Dano nam szansę, by się umyć i przebrać w prywatne ciuchy, by – jak się wyraził pilnujący porządku szef administracyjny – „zachować na stołówce standardy higieny osobistej”.

Poprowadzono nas znów przez ładnie przystrzyżone alejki na dziedzińcu fabryki aż do budynku głównego, gdzie na parterze znajdowała się sporych rozmiarów stołówka firmowa. Zauważyłem szybko, że parter, na którym znajdowała się jadalnia, jest w zasadzie dostępny dla wszystkich, wystarczyło tylko dostać się na teren firmy. Wejście na schody i windy prowadzące na górę umieszczone były za bramkami, do których należało mieć elektroniczną kartę dostępu. Lustrując wnętrze budynku, wiedziałem już, że muszę się tam dostać, choć kompletnie jeszcze nie miałem pomysłu na to, jak to zrobić.

Wziąłem swoją tacę z zestawem obiadowym numer dwa i klapnąłem ciężko na czerwone krzesło obok Tymka, który zdążył się już usadowić i zabierał się właśnie za zupę.

Stołówka była bardzo nowoczesna: z designerskimi różnokolorowymi krzesłami, ciężko wyglądającymi drewnianymi stołami, wielkimi donicami z kwiatami i sztuką nowoczesną powieszoną gęsto na ścianach. Aż przyjemnie było tutaj siedzieć. Projektant dostał zapewne zadanie wykonania takiego wnętrza, aby ludzie przez krótką przerwę obiadową byli w stanie szybko się zrelaksować i zregenerować. Co, musiałem przyznać, udało mu się dość dobrze.

Tymek z oczami wlepionymi w talerz pałaszował zawzięcie gęstą zupełną kalafiorową, więc skorzystałem z okazji i zagadałem do niego:

– To jak ci się tutaj mieszka? Ładna okolica, lasy, jeziora...

Spojrzał na mnie niepewnie i wzruszył ramionami.

– No tak... okolica ładna. A miasto jak miasto, nie ma za bardzo pracy dla mnie, stąd ta fucha...

– No ale jest ta duża fabryka, poza tym widziałem w okolicy kilka innych firm. Coś tu się jednak dzieje.

– Ale jakoś nic do tej pory nie znalazłem. Wiesz, nie mam zawodu, a jak kogoś szukają na fajniejsze stanowisko, to albo chcą już jakiegoś doświadczenia, albo konkretnego wykształcenia. A najlepiej jest, jak się ma znajomości. – Smutno pokiwał głową i zamyślił się na chwilę. – Jednak trzeba będzie stąd wyjechać albo pójść na studia. Tylko skąd wziąć kasę na naukę?

– Ale naprawdę nie ma żadnej opcji zaczepienia się tutaj, w tej fabryce? – starałem się skierować jego uwagę na firmę, w której właśnie przebywaliśmy.

Tymek spojrzał na mnie jak na naiwniaka i prychnął tylko.

– Tutaj? Nie ma najmniejszych szans. Albo trzeba mieć kosmiczne znajomości, albo nieźle posmarować, komu trzeba. A ja nikogo wysoko postawionego tutaj nie znam i kasy też nie mam. – I jakby kończąc temat szans na rozpoczęcie pracy, zatopił zęby w kotlecie mielonym.

– Aż tak źle? – udałem, że się zmartwiłem. – No ale jak w ogóle sobie ta fabryka radzi? Chyba właściciele zarabiają duże pieniądze? Cały świat chce kupować ten lek, Cytozynox, no a tylko brodnicka fabryka go produkuje.

Tymek przeżuł do końca kęs i wzruszył ramionami.

– Ale i tak nic z tego dla miasta nie wynika. Przynajmniej ja nie zauważyłem jakichś inwestycji. Co prawda parę osób z okolicy ma robotę, ale tak jak już ci powiedziałem, to praca dla wybrańców.

– Ej, niemożliwe! – odpowiedziałem zaczepnie. – Przecież to jedna z najbogatszych firm w Polsce. Na pewno wystarcza im na wszystko.

– Nie wiem, czy pamiętasz – Tymek zagadkowo rozejrzał się na boki, jakby się obawiał, że ktoś może nas podsłuchiwać, i obniżył nieco głos – ale to zamieszanie wokół tej inwestycji kilka lat temu, te walki między inwestorami, interwencja rządu, jakieś dziwne sytuacje z tym naukowcem od leku, to wszystko było na tyle dziwne, że myślę... – zniżył głos jeszcze bardziej – ...że to wszystko jest w rękach jakiejś mafii, i że w dodatku mają ciche przyzwolenie polityków. – Chłopak zauważył moją konsternację na twarzy, bo spojrzał na mnie uważnie. – Tak, tak. Ktoś za to bierze grube pieniądze i niekoniecznie chce mu się inwestować w okolicę. Podejrzewam Niemców – mówił już prawie szeptem. – Jak pokazuje historia, ci to zawsze mieli chęć przejąć nasz kraj.

– Oj, chyba fantazja cię ponosi. Taka duża inwestycja, taki światowy temat i podejrzewasz przekręt?

– Oczywiście nigdy się tego nie dowiemy, ale myślę, że tak właśnie jest – podsumował.

Spojrzałem za zegarek. Kończył się nam czas na przerwę, więc dojedliśmy to, co jeszcze było na talerzach, i wyszliśmy ze stołówki. Jeden z pilnujących nas administratorów budynku odeskortował nas ponownie do hali i zaczęliśmy drugą część harówki.

Do końca tego pierwszego dnia pracy już ani nie miałem jak zagadać do kogoś pracującego w fabryce, ani rozejrzeć się dookoła, bo nie dość, że pilnował nas ten administrator, to jeszcze popędzał nas, żeby jak najszybciej skończyć wynoszenie elementów rusztowania, które miało jeszcze tego wieczoru odjechać w inne miejsce.

W końcu, trochę po godzinie siedemnastej, skończyliśmy wynosić stalowe ciężkie części i potwornie zmęczeni, odprowadzeni do wyjścia, pożegnaliśmy się ze sobą, by spotkać się ponownie następnego dnia.

Dojechałem do mojego ośrodka nad jeziorem, padłem w ubraniu jak długi na łóżko i od razu głęboko zasnąłem.

Rozdział 26

Byłem tak zmęczony poprzednim długim dniem fizycznej pracy, do której przecież nie przywykłem, że przespałem prawie całą noc, śniąc o jakichś surrealistycznych, dziwnych i męczących rzeczach, których nawet nie potrafiłem zdefiniować.

Przebudziłem się nad ranem po prawie dwunastu godzinach snu. Zrobiło się już jasno, a ptaki ogłaszające wiosenny poranek urządziły sobie głośny koncert, typowy dla tej pory roku. Był przecież maj. Całkowicie mnie to rozbudziło, a nawet wprowadziło w pogodny nastrój. Wyspałem się i wypocząłem. Usiadłem na tarasie domku i patrząc na budzące się do życia jezioro, jadłem kupioną wczoraj drożdżówkę, która mimo że nie najświeższa, to jednak stanowiła załóżek śniadania. Tyle musiało na razie wystarczyć. Na prawdziwy posiłek z kawą i jajecznicą zamierzałem przejść się do restauracji ośrodka, jak tylko ją otworzą. Na zegarku była dopiero szósta rano, miałem zatem dobrą godzinę, żeby się zastanowić nad tym, jakie kroki powinienem teraz podjąć.

Przede wszystkim, jeśli miałem coś odkryć i czegoś się dowiedzieć w sprawie profesora, to musiałem uwolnić się z tego pomieszczenia, gdzie pracowaliśmy w pocie czoła przy noszeniu ciężkich jak diabli przedmiotów.

Celem ostatecznym było oczywiście spotkanie się twarzą w twarz z Nowogrodzkim i rozmowa na temat jego syna, ale na tym etapie wydawało się to ogromnie trudnym zadaniem.

Misją na dziś było zrobienie sobie małej wycieczki po obiekcie. Jeszcze nie wiedziałem, jak to zrobić, ale liczyłem na to, że w ciągu dnia znajdę jakiś sposób.

* * *

Po kolejnej, krótkiej odprawie czworo tymczasowych pracowników fizycznych zabrało się znów do pracy. Po twarzach moich kolegów widziałem, że raczej nie wypoczęli po wczorajszej harówce. Podejrzewałem wręcz, że tych trzymających się na uboczu dwóch wieśniaków musiało przed snem wychylić jedną albo nawet i dwie flaszki czegoś mocniejszego. Szare twarze i przekrwiony wzrok mówiły same za siebie. Na wszelki wypadek postanowiłem trzymać się od nich z daleka podczas dzisiejszego dnia.

Nowym celem postawionym przez kierującego nami mężczyznę stało się uprzątnięcie desek, płyt gipsowo-kartonowych, gruzu i innych śmieci zalegających w jednym z narożników hali. Znowu wyglądało to na kilka godzin niezłego zasuwania, więc podziękowałem sobie w duchu za to, że rano w ośrodku zjadłem porządne śniadanie. Przeczuwałem, że tego dnia wieczorem znów padnę jak trup.

Czas do przerwy obiadowej zleciał dość szybko i teraz razem z Tymkiem, tak jak poprzedniego dnia, siedzieliśmy w stołówce, mając przed nosami pełne zestawy obiadowe. Kucharz nawet nieźle gotował, musiałem to przyznać.

– Myślisz, że ile jeszcze dni nam to zajmie? – zagadnął mnie chłopak, spoglądając sponad talerza.

– To zależy, co tam jeszcze dla nas mają. Dziś uwiniemy się z tymi śmieciami, a potem mamy jeszcze jakąś przeprowadzkę zrobić.

– Płacą nam dniówkę, to dobrze byłoby jeszcze kilka dni to pociągnąć.

– To fakt. Ale nie możemy się za bardzo opieprzać, bo widziałeś, jak nas pilnuje ten z administracji – stwierdziłem. – Poza tym zauważyłem... – Nie dokończyłem zdania, bo nagle mnie odcięło. I to w dosłownym znaczeniu. Zabrakło mi słów i na moment przestałem oddychać.

Tym, co wywołało u mnie taki stan, była jedna z osób, która właśnie weszła do sali i podeszła do bufetu, oglądając dzisiejsze dania. Postać ta, ubrana w biały fartuch laboratoryjny, odwrócona była do mnie plecami, a z miejsca, przy którym siedzieliśmy, dostrzegłem tylko tył głowy z lekko

siwiejącymi, rozwianymi, długimi jak u jakiegoś dyrygenta czy artysty włosami. I nawet jeśli nie widziałem twarzy tego gościa, to od razu zrozumiałem, kto to jest.

Profesor Ryszard Nowogrodzki pojawił się osobiście na obiedzie i dał mi tym samym ogromną szansę, której nie mogłem zmarnować, tym bardziej że właśnie mogła to być tylko ta jedna jedyna okazja.

Wpatrywałem się jak zahipnotyzowany w sylwetkę tego człowieka trzymającego szarą, plastikową tacę, na którą stawiał właśnie talerz z posiłkiem. Nie chciałem stracić go z oczu nawet na ułamek sekundy. Tymek coś do mnie mówił, ale nawet nie byłbym w stanie powtórzyć ani jednego słowa.

– Radek – powiedział do mnie któryś raz z kolei. – Coś mówiłeś i przerywałeś. Co zauważyłeś?

Popatrzyłem na niego nieprzytomny. Kątem oka obserwowałem, jak Nowogrodzki odchodzi od kasy i idzie w głąb, sali szukając wolnego stolika.

– Przepraszam – bąknąłem tylko do zdziwionego chłopaka. – Pogadamy później – rzuciłem krótko.

Wstałem od stołu i biorąc swoją tacę, poszedłem w kierunku stolika, przy którym właśnie siadał profesor. Miałem tylko kilka metrów do pokonania, ale nogi zrobiły mi się ciężkie jak z ołowiu. Intensywnie myślałem.

Jak zagadać do tego człowieka, żeby chciał w ogóle ze mną rozmawiać? O co spytać, żebym mógł czegokolwiek się dowiedzieć? Gorączkowo zastanawiałem się na tym, jak to poprowadzić, bo zdawałem sobie sprawę, że być może mam tylko tę szansę. Musiałem zaryzykować. W końcu wybrałem najbardziej radykalny sposób.

– Dzień dobry, panie profesorze. – Stałem niepewnie obok stołu. – Mogę się przysiąść?

– A o co chodzi? – Zmęczony głos naukowca nie zachęcał do dalszej rozmowy i zbił mnie nieco z tropu. Wyczułem, że nie będzie łatwo. Nowogrodzki spojrzał na mnie pustymi i podkrążonymi oczami.

– Znałem pana syna – walnąłem prosto z mostu. – Studiowałem razem z Sewerynem na uniwersytecie.

Po twarzy tego człowieka przebiegł skurcz i przez ułamek sekundy dojrzałem wyraz zdziwienia i czegoś trudnego do zdefiniowania. Mężczyzna przez mgnienie oka wyglądał tak, jakby miał się rozplakać. Jednak po chwili wahania Nowogrodzki przybrał z powrotem kamienną minę i wzruszył tylko ramionami. Nie odezwał się jednak ani słowem.

Mimo braku zaproszenia i wyraźnej obojętności ze strony tego człowieka usiadłem naprzeciwko i wlepiłem wzrok w oczy naukowca.

– Seweryn umarł na moich oczach – powiedziałem wolno i dobitnie. – Do tej pory nikt nie rozwiązał zagadki jego śmierci. Myślę, że tylko pan może pomóc wyjaśnić to, co tak naprawdę się stało.

Mężczyzna na dźwięk tych słów zamarł w bezruchu, a jego kamienna twarz stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Mógłbym przysiąc, że dostrzegłem w jego oczach mieszanek strachu, złości i jakiejś niemej bezsilności. Spiał się cały, jakby szykował się do skoku na mnie. Wstrzymałem oddech, czekając na jakąkolwiek reakcję naukowca. Zupełnie nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale miałem ogromną nadzieję, że powie zaraz cokolwiek, co rzuci nowe światło na sprawę.

Po pełnej napięcia chwili z Nowogrodzkiego nagle jakby uszło powietrze, jakby ktoś przekłuł igłą napompowany balon. Naukowiec spokojnie spuścił wzrok na talerz i wrócił do jedzenia.

– Nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie. To był wypadek.

Cholera! Moja taktyka się nie powiodła. Nie miałem za dużo czasu, więc postanowiłem zaatakować nieco mocniej. Rozejrzałem się na boki, sprawdzając, czy mogę swobodnie mówić.

– Czy zdaje pan sobie sprawę – podjąłem, obniżając trochę głos – że już kilka osób, które kręciło się koło tego tematu, straciło życie?

Nowogrodzki przestał jeść i spojrzał na mnie spode łba.

– Policjanci, którzy prowadzili śledztwo osiem lat temu. Wszyscy umarli w dziwny sposób zaraz po umorzeniu sprawy – mówiłem dalej, nerwowo

rozglądając się na boki. – Wiem z dobrego źródła, że wokół narosło dużo niewyjaśnionych tematów. Wszyscy, którzy zetknęli się ze śmiercią pana syna, odczuli jej negatywne skutki na własnej skórze. Wierzę, że to jednak nie był wypadek. – Mój niedokończony obiad na pewno był już zimny, ale w tej chwili nie byłem w stanie przełknąć kęsa. Profesor jadł powoli i, jakby nie zwracając na mnie w ogóle uwagi, zamknął się w sobie. Nagle zrozumiałem, że nie mam już nic do stracenia i że trzeba użyć najcięższych argumentów. – Kilka tygodni temu nasza koleżanka z uczelni, Marta, uczestniczka tamtej pechowej imprezy, przyjechała tutaj i próbowała się do pana dostać – ciągnąłem. – Miała sporo zebranych dowodów, sporo przypuszczeń i podejrzeń, że Seweryna ktoś zamordował. I że miało to jakiś związek z panem. Była tutaj, w Brodnicy, chciała się z panem spotkać. Próbowwała długo, ale, niestety, bezskutecznie. I wie pan co? Już się to jej nie uda. Nigdy.

Profesor rzucił badacze i zaciekawione spojrzenie. Już wiedziałem, że połknął haczyk.

– Zabili ją – powiedziałem wolno – bo znalazła się za blisko tajemnicy. Utopili ją niedaleko, w pobliskim jeziorze.

Nowogrodzki przestał jeść. Gołym okiem widziałem, że walczy sam ze sobą, aby coś mi powiedzieć, aby zdradzić jakąś tajemnicę i wreszcie ulżyć swoim długo tłamszonym emocjom. Czekałem w napięciu.

– Marta zostawiła mi bardzo konkretne informacje. – Musiałem sprowokować tego mężczyznę do zwierzeń. – Szokujące informacje. Od razu widać, że to jest jakiś większy spisek. Jestem przekonany, że może pan pomóc. Proszę. – I tu zrobiłem fatalny błąd. Mój niemalże błagalny ton miał w założeniu sprawić, że mężczyzna w końcu pęknie i zacznie mówić. Że zrzuci z siebie cały ten ogromny ciężar, jaki musiał mu towarzyszyć. Ale zamiast tego, z powrotem przybrał maskę obojętności i usztywnił się.

– Nie mam nic do powiedzenia – powiedział chłodno. Odłożył widelec na tacę i zaczął wstawać od stołu.

W panicznym odruchu złapałem go za rękę.

– Wiem, że pan czegoś się obawia – powiedziałem prawie szeptem. – Spotkajmy się gdzieś poza fabryką. Porozmawiajmy. Musi mi pan coś powiedzieć, błagam!

Delikatnie wyszarpnął rękaw z mojej dłoni, wziął tacę ze stołu i ze stoickim spokojem odszedł w stronę stojaków na brudne naczynia. Skoczyłem na równe nogi, aż zaczepiłem stopą o nogę stołu. Talerze i sztuce z mojego niedokończonego obiadu zadzwoniły przeraźliwie. Kilka osób ze zgorznięciem spojrzało w moim kierunku, ale nie zwracałem na to uwagi. Dobiegłem do oddalającego się profesora i zrównałem z nim swój krok.

– Nie może pan tak po prostu odejść – syknąłem ze złością. – Pan coś wie, tylko nie chce mi tego powiedzieć! Dlaczego?

Nowogrodzki odłożył tacę na wózek i popatrzył na mnie smutnym, zrezygnowanym wzrokiem.

– Młody człowieku – szepnął. – Nawet gdybym mógł pomóc w tym temacie, to i tak nic już nie wróci życia mojemu synowi ani tej pana koleżance. Nic. Proszę zapomnieć o tym wszystkim. Niech pan pomyśli o sobie.

Stanąłem jak wryty. Miałem dosłownie ostatnią szansę, żeby coś z niego wyciągnąć.

– Panie Ryszardzie, proszę, spotkajmy się wieczorem. Lub kiedy panu pasuje. Gdzieś na zewnątrz. Gdzieś, gdzie będzie pan mógł mówić.

Profesor lekko się uśmiechnął, ale był to smutny uśmiech rezygnacji. Uśmiech człowieka, który już dawno się poddał i który już nie ma o co walczyć.

– Ja stąd nigdy nie wychodzę. Nigdy – powiedział z naciskiem, a za chwilę jego twarz znów przybrała kamienny wyraz. – Proszę za mną nie chodzić, bo wezwę ochronę. To nie żarty! – Potem wyszedł zdecydowanym krokiem ze stołówki, a ja zostałem, zdębiały i zrezygnowany. Stałem tak przez dobrą chwilę, sam nawet nie wiem, jak długo, aż usłyszałem głos, który coś do mnie mówił. W końcu ktoś szturchnął mnie lekko łokciem w bok i wreszcie się ocknąłem.

– Co? – zapytałem jakby wyrwany ze snu.

– Musimy iść, wzywają nas do pracy. Przerwa się skończyła. Wołają nas już. – To był Tymek. Stał naprzeciw mnie i rozłożył szeroko ręce w geście zapraszającym do wyjścia. – No chodź już! Bo nam obetną dniówkę.

– Sekundę – wydusiłem z trudem. – Muszę tylko do toalety.

Wskoczyłem do pomieszczenia dla mężczyzn i dopadłem do umywalki. Puściłem zimną wodę i kilkakrotnie przemyłem twarz. Pod wpływem lodowatej wody ocuciłem się trochę i powoli wróciłem do rzeczywistości.

Spojrzałem w lustro i zakląłem. Byłem tak blisko, aby zrobić kolejny krok, i nic z tego nie wyszło. Nie dość, że Nowogrodzki niczego mi nie powiedział, to jeszcze skutecznie zamknąłem sobie drzwi na ewentualne podejście numer dwa. Czułem, że zawałem całą sprawę.

Zwiesiłem zawiedziony głowę i przymknąłem oczy.

I co dalej? Czy to, co tutaj robiłem, miało w ogóle jakikolwiek sens? A może powinienem natychmiast się stąd zwinąć, wrócić do domu i zapomnieć o tym wszystkim? Co mnie to wszystko w końcu obchodzi? Ważne było moje życie. I życie moich bliskich.

Po chwili zadumy postanowiłem wreszcie, że jeszcze dziś pojedę do domu.

Uderzyłem z furią pięścią w kamienny blat umywalki, aż zabolął mnie cały nadgarstek.

Właśnie odwracałem się od lustra, sięgając już po klamkę u drzwi, gdy kątem oka zauważyłem, że coś leży na podłodze pod blatem umywalki. Kiedy pod wpływem targających mną emocji wchodziłem do toalety, nie zauważyłem tego przedmiotu, bo nawet nie spojrzałem na podłogę. Ale teraz, mocno zaciekawiony, kucnąłem i sięgnąłem po małą kartę magnetyczną leżącą na posadzce. Podniosłem ostrożnie ten kawałek plastiku i popatrzyłem uważnie na nadrukowane oznaczenie.

„Karta dostępu, poziom 2”.

Rozejrzałem się na boki, ale nikogo oprócz mnie tutaj nie było. Od razu pomyślałem, że ktoś musiał ją zgubić. Pewnie wysliznęła się komuś z kieszeni podczas pochylania się nad umywalką. Takie rzeczy się zdarzają i to

nie tak rzadko. Tylko że z reguły tego rodzaju przedmioty nosi się w specjalnych plastikowych holderach przyczepionych do ubrania. Żeby były widoczne i łatwo dostępne.

„W mordę!” – pomyślałem. „Jeśli to jest dostęp do wnętrza budynku, to muszę spróbować. Najwyżej mnie stąd wyrzucą, jeżeli wypatrzy mnie ochrona. I tak chciałem już wracać do domu”.

Podeksytowany, schowałem kartę do kieszeni spodni i wyszedłem z pomieszczenia, zupełnie jakbym uciekał ze skradzioną własnością.

Wróciłem do pracy fizycznej. Do końca tego dnia mój umysł był w całości zajęty opracowywaniem planu wykorzystania magnetycznej karty, która miała mi dać wstęp na teren ściśle strzeżonego obszaru firmy. Przy najmniej taką miałem nadzieję.

Przez kolejne cztery godziny wynieśliśmy praktycznie wszystkie pozostałości po remoncie hali, a ja sam nawet nie wiedziałem, kiedy zleciał ten czas, bo praktycznie byłem nieobecny. Nie odzywałem się do nikogo, tylko intensywnie myślałem. W rezultacie pod koniec dnia miałem już w głowie kilka scenariuszy dostania się do pomieszczeń firmy, które zarezerwowane były tylko dla stałych pracowników.

Miałem tylko jedną wątpliwość. Czy ten pechowiec, który zgubił tego dnia swoją kartę dostępu, nie zgłosił już przypadkiem tego faktu do działu IT i ze względów bezpieczeństwa nie zablokowali jej od razu? Bo jeśli tak, to moja jutrzejsza próba wejścia do firmy może być bardzo krótka i prawdopodobnie może zakończyć się w bolesny sposób.

Pomimo tych obaw i tak musiałem spróbować. To była już ostatnia szansa i mój ostatni pomysł. Jeśli się nie uda, to po prostu wyjadę i spróbuję o wszystkim zapomnieć. Tak czy inaczej, musiałem się przygotować i poczekać na następny dzień.

Rozdział 27

Nastął trzeci dzień mojej pracy w fabryce leków. Przez cały poprzedni wieczór gorączkowo przygotowywałem plan wtargnięcia na ściśle strzeżony teren zakładu. Tak właściwie to wstępny pomysł miałem już w głowie pod koniec poprzedniego dnia, ale musiałem jeszcze dopracować szczegóły i przygotować się na różne nieprzewidziane ewentualności.

Aby plan miał jakiegokolwiek szanse powodzenia, musiałem odpowiedzieć sobie na kilka pytań i zadbać o kilka szczegółów.

Po pierwsze, kiedy byłoby najlepiej urwać się z hali, w której pracowaliśmy przez cały dzień? Zastanawiałem się, czy nie zacząć udawać, że mam rozstrój żołądka i muszę pilnie wyjść do toalety, czy może raczej bezpieczniej byłoby wykorzystać przerwę obiadową jako naturalną lukę w czasie pracy.

Po drugie, nie mogłem tak po prostu przejść przez bramkę jako pracownik fizyczny ubrany w brudny kombinezon, bo to natychmiast zostałoby wychwycone przez ochronę i moja misja skończyłaby się bardzo niemiło. Musiałem wtopić się w tłum.

Po trzecie, trzeba było się przygotować na ewentualność wylegitymowania mnie przez strażnika lub któregoś z pracowników firmy. W niektórych biurach wymagane było noszenie w widocznym miejscu identyfikatorów, ale nie bardzo pamiętałem, czy wśród osób spotkanych na stołówce widziałem takie plakietki. Raczej nie, co dawało mi pewną szansę, bo nie byłbym w stanie chałupniczo w ciągu jednego wieczoru podrobić takiego identyfikatora. Uznałem, że najlepiej będzie udawać pewnego siebie człowieka, który po prostu zapomniał go ze sobą zabrać. W przypadku zainteresowania ze strony ochrony musiałem bez oznak wahania po prostu rzucać kon-

kretnymi nazwiskami, najlepiej profesora Nowogrodzkiego. Zaplanowałem, że w wypadku kontroli będę udawał bliskiego współpracownika naukowca.

Po czwarte, kompletnie nie wiedziałem, co miałem zrobić po przejściu przez bramkę przy windach. Nie miałem pojęcia, czego właściwie szukać ani dokąd się skierować. Ewentualna ponowna próba rozmowy z profesorem raczej nie wchodziła w grę, bo jakoś nie wierzyłem, że uda mi się nakłonić go do zwierzeń. Najwidoczniej albo czegoś się bał, albo coś skutecznie zniechęciło go do rozmów na temat Seweryna. Wyglądał na zrezygnowanego życiem i pogodzonego z losem, choć nie miałem zielonego pojęcia z jakiego powodu.

Działalem mocno spontanicznie, więc musiałem być przygotowany na różne okoliczności.

Poprzedniego dnia z niemałym trudem kupiłem kilka gadżetów, które miałem dzisiaj zamiar użyć, i teraz z niewielkim plecakiem wchodziłem już na teren firmy. Wiedziałem, że ochroniarze będą mnie przeszukiwać przy wejściu, więc pokazałem im, że w środku mam ubranie na zmianę, co raczej nie powinno być dziwne, bo przy tak ciężkiej pracy fizycznej przebranie się w coś świeżego było całkiem naturalne.

– Coś dużo pan masz tych ciuchów – zaśmiał się ochroniarz, grzebiąc mi w plecaku.

– Wie pan, zaraz po pracy mam randkę z dziewczyną. – Puściłem oko do strażnika. – Nie mogę pójść w zapoconej koszuli, nie?

Zarechotał rubasznie i wpuścił mnie do środka.

Odetchnąłem z ulgą, zadowolony, że tak dobrze udało mi się okręcić w normalną białą koszulę fartuch, który miał mi pomóc przebrać się w strój farmaceuty. Miałem też niewielką perukę, żeby trochę się zamaskować. Ochroniarz dał się nabrać i teraz pierwszy etap miałem za sobą.

Tego dnia dostaliśmy zadanie przewiezienia i rozstawienia w dopiero co uprzątniętej hali specjalnych regałów magazynowych i najróżniejszych mebli. Wyglądało to na robotę na cały dzień, a dodatkowo gość z administracji praktycznie nie odstępował nas na krok, nadzorując przeprowadzkę

na każdym etapie. Postanowiłem więc urwać się podczas przerwy na obiad, bo wtedy, będąc już oficjalnie w głównym budynku, nie musiałem się przekradać i ryzykownie kombinować.

Punktualnie o godzinie dwunastej trzydzieści, wzorem poprzednich dni, przeszliśmy do budynku, w którym umieszczono stołówkę. Kiedy tylko nasz anioł stróż z administracji się oddalił, natychmiast się urwałem. Wpadłem do toalety i zamknąłem się w kabinie. Musiałem szybko przebrać się w fartuch laboranta, upychając z wielkim trudem w plecaku moje prywatne ubranie. Stojąc przed lustrem, dopasowałem kupioną wczoraj perukę i z ulgą stwierdziłem, że wyglądam całkiem normalnie. Na szczęście zawsze nosiłem krótkie włosy i teraz bardzo przydała mi się taka właśnie fryzura. Do ręki wziąłem szarą teczkę wypchaną papierami, którą nabyłem w sklepie papierniczym, abym wyglądał bardziej wiarygodnie. Jeszcze tylko kupione na stacji benzynowej okulary zerówki w grubej czarnej oprawie i już byłem gotowy. Plecak upchnąłem pod umywalką, mocując go do rur w taki sposób, by nie było go widać. Potem z duszą na ramieniu wyszedłem na korytarz i od razu, bez najmniejszego wahania, skręciłem w stronę bramek wejściowych prowadzących do strzeżonej części firmy.

W chwili gdy przykładałem znalezioną wczoraj kartę do czytnika na bramce, moje tętno sięgnęło szczytu, a serce waliło jak oszałałe. W momencie gdy usłyszałem łagodny sygnał „bip” i zobaczyłem zapalone na zielono światelko otwarcia bramki, wcale nie odczułem ulgi, wręcz odwrotnie, poczułem jeszcze większy stres. Oto wkraczałem nielegalnie na teren firmy, która miała coś do ukrycia, a co chciałem koniecznie dzisiaj odkryć.

Przez chwilę widziałem tylko ciemne plamy przed oczami, więc zatrzymałem się przy windach i aż musiałem oprzeć się plecami o ścianę, żeby dojść do siebie. Wziąłem kilka głębszych oddechów i powtórzyłem sobie w myślach „dasz radę”. Jakaś ładna brunetka ubrana w typowo biurową, granatową garsonkę spojrzała na mnie uważnie.

– Nic panu nie jest? – zapytała z troską w głosie.

– A dziękuję, już w porządku. Siedziałem wczoraj do późna nad wynikami badań – skłamałem, pokazując jej teczkę z papierami. – Zaraz wypiję

mocną kawę, to postawi mnie na nogi.

Staralem się mówić swobodnie i się do niej uśmiechać. Na szczęście musiało to wypaść w miarę naturalnie, bo odwzajemniła uśmiech i bez zbędnych pytań weszła do windy. Ja natychmiast zdecydowałem, że jednak użyję schodów, bo w tej chwili w ogóle nie wiedziałem, dokąd mam iść i na które piętro wjechać.

Klatka schodowa, jak w większości tego typu budynkach biurowych: szara i bezbarwna, zaprowadziła mnie na pierwsze piętro. Wyszedłem ostrożnie na korytarz i rozglądając się uważnie na boki, przeszedłem powoli wzdłuż rzędu takich samych białych drzwi. Opatrzone były napisami działów i nazwisk osób tutaj pracujących. Księgowość, HR, administracja, dział marketingu. Nie odważyłem się otworzyć żadnych z nich ani wejść do środka, bo nie miałem żadnego pomysłu, o co mógłbym pytać, a wręcz bałem się, że ktoś mógłby wprost mnie zapytać o to, co tutaj robię. Wpadłbym wtedy jak nic. Ruszyłem więc dalej w głąb korytarza, aż doszedłem do interesującego mnie miejsca.

Na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że to specjalnie oddzielona, osobna sekcja budynku, bo lustrzane szyby, którymi była pokryta cała ściana, nie pozwalały nawet zajrzeć do środka. Nad drzwiami widniał duży czarny napis: „Dział badań i rozwoju”, a pod spodem, mniejszym fontem, napisano: „Laboratorium”.

Cholera, to była najciekawsza część fabryki i zapewne najpilniej strzeżona. Popatrzyłem ukradkiem na kamery zainstalowane nad wejściem i zdecydowałem, że nie mogę się zawahać, bo ochroniarze na pewno wychwycą dziwnie niepewne zachowanie faceta ubranego w biały fartuch. Sięgnąłem więc zdecydowanym ruchem po kartę i przytknąłem ją do czytnika.

Czerwone światelko braku wstępu i zgrzytliwy sygnał odmowy zmroził mnie i dopiero teraz zobaczyłem, że to, co brałem za kamerę interkomu umieszczonego na poziomie głowy, jest pewnie czytnikiem źrenicy albo siatkówki oka, a dodatkowy panel z klawiaturą wymaga wprowadzenia kodu. Tymczasem ja próbowałem wejść za pomocą zwykłej karty, przezna-

czonej najpewniej dla zwykłego pracownika biurowego, a nie naukowca czy laboranta.

„W mordę!” – pomyślałem. „Zaraz ktoś mnie zgarnie za próbę wtargnięcia do laboratorium i jeszcze mnie oskarżą o szpiegostwo”.

Wycofałem się natychmiast i wróciłem szybko na klatkę schodową. Z bijącym sercem zatrzasnąłem za sobą drzwi i znowu musiałem oprzeć się o ścianę, żeby uspokoić coraz bardziej rozedrgane nerwy. Dopiero teraz przypomniałem sobie, że przecież nie jadłem obiadu, i poczułem nieprzyjemny skurcz w żołądku.

Przez myśl przeszło mi, że gdybym teraz zszedł na dół, zrzucił te łachy i przebrał się w swoje ubranie, to jeszcze zdążyłbym coś zjeść. Już prawie to chciałem zrobić, ale powstrzymałem się resztką sił. Skoro zaszedłem tak daleko i skoro zadałem sobie tyle trudu, to musiałem wykonać jeszcze ten ostatni wysiłek i obejść cały budynek. Na wyjście stąd i powrót do domu zawsze miałem jeszcze czas. I tak nie zamierzałem już dzisiaj wracać do pracy.

Poszedłem więc na drugie, ostatnie już piętro budynku biurowego. Podobny korytarz jak na pierwszym, z tym że tutaj było więcej oszklonej przestrzeni i większe pomieszczenia typu „open space”. Patrząc na tabliczki informacyjne umieszczone przy drzwiach pokoi, stwierdziłem, że całe piętro było przeznaczone dla działu sprzedaży i telemarketingu połączonego pewnie z infolinią. Połowę piętra stanowiły ogromne pomieszczenia z dziesiątkami odgrodzonych stanowisk zajętych przez ludzi ze słuchawkami na uszach, którzy rozmawiali przez telefony, odpowiadając na pytania o sprzedawanym leku.

Przechodząc w głąb korytarza, dotarłem w końcu do otwartego na oścież pokoju, w którym, jak się wydawało, nikogo nie było. „Dział Finansów i Rozliczeń”. Zainteresowało mnie to na tyle, że zajrzałem ostrożnie do środka. W pokoju nie zobaczyłem żywej duszy, co nie zdziwiło mnie zbyt, bo przecież była przerwa obiadowa. Dziwne było jednak to, że nie zamknięto drzwi. Momentalnie doszedłem do wniosku, że widocznie ktoś

zaniedbał obowiązki i zostawił je otwarte. Takie rzeczy czasami zdarzały się też w banku, w którym pracowałem.

Wszedłem powoli dalej i rzuciłem okiem na pierwsze z brzegu biurko, na którym dostrzegłem komputer z włączonym wygaszaczem ekranu i stos papierów. Wzięłem delikatnie do ręki, jakby się obawiając, że wzbudzę tym gestem alarm, plik papierów, i spojrzałem na zawartość tych dokumentów.

Nic szczególnego tam nie dojrzałem, bo były to jakieś zamówienia, faktury i rozliczenia. Na wszystkich dokumentach widniała tylko jedna pozycja: Cytozynox. Mityczny, magiczny lek stosowany w terapii onkologicznej. Ceny transferowe, które widniały na fakturach, były wprost kosmiczne. Zainteresowany, spojrzałem dokładniej. Fiolki o pojemnościach dwudziestu mililitrów, których firma sprzedawała najwięcej, kosztowały około tysiąca złotych za sztukę, co przy długim i wymagającym leczeniu stanowiło dla chorych ubiegających się o taką terapię niemałą fortunę. A to były tylko czyste ceny sprzedaży preparatu dla szpitali, które musiały dodatkowo pokryć koszty hospitalizacji i dorzucić swoją marżę. Finalnie nieszczęśnik, który zapadł na nowotwór i nie dostał refundacji z Narodowego Funduszu Zdrowia, musiał mieć zapewnione finansowanie w postaci grubych dziesiątek albo i setek tysięcy złotych.

Pomyślałem o mojej mamie, która przecież także czekała w długiej kolejce na przyznanie refundacji i na swoją kolej w leczeniu tym na pewno rewolucyjnym, ale jakże drogim specyfikiem. Miałem tylko nadzieję, że ostatnie ciężkie radio – i chemioterapie przyniosły zakładany rezultat i nie będziemy musieli korzystać z tego specyfiku. Bo uda się pokonać chorobę.

Popatrzyłem jeszcze na kilka papierów, z których absolutnie nic więcej nie wyczytałem, gdy mój wzrok przykuł jeden szczegół. Na jednym z dokumentów z jakimś wstecznym rozliczeniem finansowym z dziwnie brzmiącą nazwą firmy, która mi nic nie poza kilkoma zaledwie fiolkami pożądanego przez wszystkich leku widniała jeszcze tajemnicza pozycja opisana jako Cytozynox-Bis. Przy nazwie specyfiku znajdowała się informacja o masie paczki, w jakiej sprzedawany był ten lek. Pięćset gramów – to była sporej wagi paczka. Momentalnie oniemiałem, bo o ile wiedziałem,

Cytozynox był sprzedawany tylko jako płyn i to w małych pojemnikach o pojemności dwudziestu lub trzydziestu mililitrów. A tutaj nie dość, że widniała nazwa z końcówką „Bis”, to jeszcze wielkość opakowania sugerowała postać inną niż płyn. I to w półkilogramowej paczce!

Co to mogło być? Spojrzałem jeszcze szybko na papiery. Poza szpitalami znalazłem kilka dziwnych rozliczeń z egzotycznie brzmiącymi nazwami firm. W grę wchodziły naprawdę duże opakowania, wręcz hurtowe ilości leku. Kwoty przy tych pozycjach były wręcz ogromne! Jedna paczka kosztowała według tych papierów aż dwadzieścia tysięcy złotych, co przy stu paczkach widniejących na rozliczeniu dawało sumę aż dwóch milionów złotych.

Gorączkowo przeglądałem dalej i takich dokumentów znalazłem więcej. Najczęściej pojawiała się jedna nazwa firmy, która odbierała przytłaczające wręcz ilości towaru, a kwoty transakcji szły w setki milionów złotych miesięcznie.

Wziąłem do ręki smartfon i zrobiłem w pośpiechu kilka zdjęć tych papierów. Sam nie wiedziałem, do czego mi się to przyda, ale intuicyjnie wiedziałem, że to, co przed chwilą odkryłem, może mieć ogromne znaczenie.

Rozejrzałem się po pokoju i pomyślałem, że spędziłem tu zdecydowanie za dużo czasu. Ryzyko wpadki i nakrycia mnie niebezpiecznie rosło. Odwróciłem się więc w stronę drzwi, zrobiłem krok ku wyjściu i nagle się zatrzymałem, zamierając ze strachu. Przede mną wyrósł jak spod ziemi ubrany w garnitur człowiek, który ze zdziwieniem w oczach i uniesionymi brwiami zlustrował mnie od stóp do głów.

– Co pan tu robi? – zapytał nieprzyjemnym tonem.

– Szukam działu marketingu – skłamałem przytomnie na poczekaniu. – Mam najnowsze wyniki badań i miałem je przynieść. Czekałem tu na kogoś, komu mogę je przekazać.

Facet spojrzał na mnie uważnie.

– Jak pan tu w ogóle wszedł? – zapytał ostro.

– Było otwarte, pomyślałem, że chwilę zaczekam.

Mężczyzna spojrzał zdziwiony na otwarte drzwi i zmarszczył brwi.

– Nie umie pan czytać? – szczerknął w końcu. – Tu jest dział finansów i rozliczeń. Marketing jest piętro niżej.

Klepnąłem się otwartą dłonią w czoło.

– Ależ ze mnie oferma! – wykrzyknąłem trochę zbyt teatralnie. – Musiałem się zamyślić i wjechałem za wysoko windą. Przepraszam i dziękuję za informację. – Wyszedłem z pokoju tak szybko, jak tylko mogłem, kierując się znów w stronę schodów.

Długo czułem na plecach wzrok mężczyzny, ale nie miałem już odwagi odwrócić się do niego, żeby to sprawdzić. Chciałem jak najszybciej zejść mu z widoku.

Wreszcie odetchnąłem z ulgą, kiedy znalazłem się na klatce schodowej. Zatrzymałem się i wziąłem do ręki smartfon. Teraz, patrząc na zrobione zdjęcia rozliczeń handlowych, już na spokojnie zacząłem analizować moje dziwne odkrycie. Być może byłem zbyt podejrzliwy, a ten preparat z dopiskiem „Bis” był po prostu koncentratem leku, który sprzedawano w wygodniejszej postaci, na przykład w proszku do późniejszego rozpuszczenia i podzielenia na porcje. Być może firmy kupujące za ciężkie pieniądze ten specyfik dalej legalnie rozprowadzały lek za granicą i nie było w tym nic podejrzanego.

Czułem, że zrobiłem z siebie głupka i wpadłem w kolejną paranoję, która prowadziła mnie na manowce. Atmosfera ciągłych podejrzeń, domysłów i hipotez spowodowała, że zrobiłem sensację z nie do końca wiadomo czego. W końcu co ja tam wiedziałem o funkcjonowaniu firmy produkującej farmaceutyki?

Uspokoilem się i ruszyłem na dół. Postanowiłem, że obejrzę sobie jeszcze parter, i jeśli nic ciekawego nie zobaczę, to ostatecznie wyjdę z tego budynku i wrócę do domu. I tak za dużo czasu tutaj zmarnowałem w pogoni za czymś nieokreślonym.

Po wyjściu z klatki schodowej poszedłem w głąb budynku, przechodząc bez najmniejszego problemu przez matowe, nieprzezroczyste drzwi, za którymi zobaczyłem zgoła inny widok niż na pierwszym i drugim piętrze.

O ile na wyższych poziomach znajdowały się zwykle biurowe wnętrza, o tyle tutaj, na parterze, dominowały przestrzenie robocze, jakieś magazyny i pomieszczenia wysyłkowe. Wywnioskowałem, że ta część budynku przyklejona jest do rampy załadunkowej, z której firma wysyła towar w świat. Nie wiedziałem tylko, jaką drogą wyprodukowane w jednej z hal leki są tutaj przewożone, ale to już nie miało tej chwili znaczenia.

Poczułem się dziwnie, bo kręciło się tutaj sporo ludzi, a część z nich ubrana była w stroje robocze. Przewozili wózkami mniejsze lub większe paczki. Kilku z nich spojrzało ze zdziwieniem na mnie i mój biały fartuch, ale zajęci swoimi zadaniami nawet nie próbowali pytać, co tutaj robię. Jako stojący niżej w hierarchii zatrudnienia widocznie dochodzili do wniosku, że nie mają prawa ani powodu, by pytać ubranego w strój laboratoryjny wykształconego „pana doktora” o to, co robi w tym miejscu.

Przez nikogo nie niepokojony doszedłem więc do zakrętu korytarza i używając mojej karty magnetycznej, przeszedłem przez kolejne drzwi. System nie zaprotestował, dlatego wyszedłem na krótki, ciemny korytarzyk, na końcu którego dostrzegłem kolejne, tym razem bardziej masywne drzwi. Znowu spróbowałem użyć karty i znowu odetchnąłem z ulgą, bo ten zamek magnetyczny także ustąpił, a moim oczom ukazał się klaustrofobiczny ślepy korytarz, którego koniec wieńczyły dwie pary drzwi, po każdej ze stron. Było tu zupełnie pusto. Doszedłem do końca i spojrzałem zdziwiony na imponujący zestaw naklejek ostrzegających przed niebezpieczeństwami kryjącymi się w jednym z pomieszczeń. Na drzwiach naliczyłem cztery znaki ostrzegawcze.

Dominował obrazek z charakterystyczną trupią czaszką i opisem: „Uwaga, materiały trujące”. Pod spodem widniało ostrzeżenie o materiałach żrących oraz chemicznych. Na samym dole umieszczono dziwny znak, którego nie znałem, ale napis: „Produkty drażniące” dopełniał informacji. Drugie drzwi były nieoznaczone. Wniosek, jaki mi się nasunął, podpowiadał, że ta część budynku dostępna jest tylko dla nielicznych pracowników firmy, a szczęśliwym zbiegiem okoliczności znaleziona wczoraj karta dawała mi dostęp do tego miejsca. Żadna z ubranych roboczo spotkanych

wcześniej osób nie docierała do tego miejsca. Na pewno nie mieli tutaj dostępu.

Chwilę popatrzyłem jeszcze na oznakowanie pomieszczenia i pchany ciekawością oraz zdecydowany na ewentualne ryzyko ostrożnie wszedłem do środka.

Rozdział 28

Panowała tu ciemność, bo pomieszczenie nie miało okien. Namacałem więc przycisk oświetlenia. Energooszczędne żarówki powoli rozświetliły wnętrze, ujawniając metalowe regały załadowane solidnie wyglądającymi szarymi kartonowymi pudłami. Moja ciekawość wzięła górę, więc podszedłem do pierwszego z brzegu regału i spojrzałem na spoczywające na nim opakowanie. Było oklejone specjalną taśmą z plombą, która po zerwaniu foliowego zabezpieczenia pozostawiała wyraźny ślad. Duży, czerwony napis „SECURITY” powtarzał się na całej długości pudełka. Spróbowałem je podnieść, ale się okazało, że było dość ciężkie. Szybko oszacowałem, że ważyło dobrych kilkanaście kilogramów. Pozostałe pudła stojące na regałach wyglądały tak samo, ale nigdzie nie dojrzałem otwartego. Wszystkie były starannie zaklejone i zaopatrzone w taki sam zestaw znaków ostrzegających przed chemikaliami i trucizną jak naklejki na prowadzących tutaj drzwiach.

Podrapałem się w brodę. Zzerała mnie ciekawość, żeby zajrzeć do środka i przekonać się, co zawierały te tajemnicze pakunki. Podszedłem do pierwszego z brzegu pudła i zacząłem z niego zdzierać zabezpieczającą je folię.

Nagle zdałem sobie sprawę, że po wejściu tutaj nawet nie zlustrowałem pomieszczenia pod kątem obecności kamer czy innych zabezpieczeń. Rozejrzałem się, przestraszony, ale na szczęście nie zamontowano tu podglądu. Powinno dać mi to do myślenia, zanim zrobiłem następny nierozważny ruch, ale nie chciałem marnować czasu, zatem wróciłem do otwierania paczki.

Ostatecznie rozerwałem mocną taśmę okalającą kartonowe opakowanie i otworzyłem je, zaglądając ciekawie do środka. Zawartość mnie nie rozczarowała, bo w końcu tego właśnie w głębi duszy się spodziewałem.

Wnętrze pudła stanowiły idealnie ułożone plastikowe, półprzezroczyste torebki z jakimś białym proszkiem w środku.

Po chwili wahania postanowiłem, żeby sprawdzić, co to za specyfik. Przebiłem więc palcem folię i zaczerpnąłem na czubek palca odrobinę białej jak śnieg zawartości woreczka. Miała konsystencję proszku do pieczenia lub cukru pudru. Była drobna, miętka i nie miała zapachu. Popatrzyłem zdumiony na tą śnieżnobiałą substancję, zastanawiając się, co dalej.

Intensywnie myślałem nad tym, czy to na pewno jest ów półprodukt do przygotowania płynnej postaci leku i sprzedawany jest hurtowo w takich właśnie paczkach. Ale dlaczego wtedy na pudłach byłyby te ostrzegawcze naklejki o zagrożeniu chemicznym? I dlaczego ani na kartonach, ani na torebkach nie było chociażby nawet najmniejszego śladu nazwy leku Cytozynox?

A jeśli rzeczywiście był to produkt żrący, drażniący i stanowiący duże zagrożenie dla zdrowia i życia ludzkiego, to po kiego diabła trzymano to wszystko tutaj tak szczelnie opakowane?

Może jednak to było zupełnie coś innego?

Balansując na krawędzi ryzyka, zbliżyłem palec z odrobiną tej śnieżnobiałej substancji do języka i bardzo delikatnie, jakbym miał do czynienia z silnie działającą trucizną, spróbowałem tego proszku. Nie wiedziałem, czego dokładnie mam się spodziewać, więc przymknąłem oczy i skoncentrowałem się na zmysłach.

Gorzki smak rozszedł się powoli po całym języku i poczułem, jak delikatnie drętwieje mi podniebienie. Przestraszyłem się, że właśnie połknąłem śmiertelnie groźną substancję, ale uczucie odrętwienia szybko ustąpiło.

To, co nastąpiło później, dosłownie zważyło mnie z nóg.

Nagle poczułem falę ogromnej jasności umysłu, a moje zmysły wyostrzyły się do takich granic, że poczułem każdym najmniejszym elementem mojej świadomości, każdą cząstką mojego ciała, że istnieję. Skala doznań była wręcz nieprawdopodobna. Mój wzrok, węch, słuch, koncentracja czy nawet zmysł dotyku wskoczyły na wyższy, nieznan mi do tej pory poziom. W jednej sekundzie zdałem sobie sprawę, że dopiero teraz prawi-

dłowo odbieram rzeczywistość, a mój poprzedni, normalny stan, można porównać do obrazu niemego, niewidomego człowieka poruszającego się w gęstej, krępującej ruchy galarecie. Nagle zrozumiałem, że dopiero teraz mam świadomość istnienia i dopiero teraz jestem w stanie zrozumieć rzeczywistość. Wszystko wydawało mi się jasne, proste i możliwe. Zniknęły bariery i ograniczenia. Czułem, że jestem superistotą, która poznała najważniejsze tajemnice życia i jest w stanie osiągnąć absolutnie wszystko.

Nie wiem, ile czasu mnie to trzymało, ale odpuściło równie szybko, jak zadziało. Nagle spadłem z cudownego nieboskłonu wprost w cuchnącą i ciemną otchłań niemocy. Wrażenie było tak dojmujące, że aż fizycznie poczułem ból krępującego mnie ograniczenia. Oto nagle stałem się znów zwykłym śmiertelnikiem, niezdolnym ani trzeźwo myśleć, ani prawidłowo odczuwać otaczającego świata.

Naraz odczułem niepohamowaną potrzebę ponownego zażycia specyfiku. Było to tak silne i obezwładniające uczucie, że tylko resztkami zdrowego rozsądku się od tego powstrzymałem.

Wziąłem kilka głębokich oddechów i starałem się maksymalnie skoncentrować na przywróceniu silnej woli i kontroli nad ciałem i duchem.

– Co do to, do cholery, było? – zapytałem głośno sam siebie mocno zdumiony.

Teraz dopiero dochodziła do mnie świadomość tego, co się właściwie wydarzyło. Przeraziłem się faktem, że nawet taka minimalna porcja proszku wywołała u mnie aż tak nieprawdopodobne reakcje. Wystarczyła szczypta substancji, a odleciałem w tak niesamowity sposób. To było niezemskie doświadczenie i gdybym tylko mógł, to ponownie chciałbym to przeżyć.

Resztkami sił odsunąłem się od rozciętego woreczka z proszkiem. Musiałem wziąć się w garść.

Już wiedziałem, że to nie jest żaden lek, tylko silnie działający narkotyk.

Sięgnąłem po smartfon i zrobiłem kilka zdjęć pokoju, regałów z pudłami i otwartego kartonu z woreczkami. Wysłałem je i te wcześniej zrobione fotografie z dokumentacją znaną pokojowi, gdzie urzędowali finansiści.

Dodałem kilka zdań opisu tego, co tutaj odkryłem i w jaki sposób przetestowałem tajemniczą substancję. Miałem nadzieję, że Tomek i Robert, mimo zakazów grzebania w sprawie, zainteresują się tematem, i że moje odkrycie w czymś pomoże. Tym bardziej że już zaczęło się mi powoli układać to w głowie i widziałem związek pomiędzy wszystkimi tematami z przeszłości i teraźniejszości.

Spojrzałem na zegarek. Było już mocno po przerwie obiadowej i z pewnością wkurzeni pracownicy administracji szukali mnie po całym obiekcie, stawiając na nogi ochronę. Lada chwila mogli dotrzeć do tego miejsca i mnie nakryć. Nawet nie chciałem myśleć, co mogliby ze mną zrobić, gdyby mnie tutaj spotkali.

„W mordę! Przecież to pewnie jest najściślej strzeżona tajemnica tej fabryki. Nie będą się ze mną patyczkować” – pomyślałem przestraszony. „Jak nic, podzielę los Marty”.

Poczułem lekką panikę, więc wsadziłem uszkodzone opakowanie na sam spód paczki i odstawiłem pudło na najniższą półkę regału, przygniatając je innym, nienaruszonym. W ten sposób tak szybko nie odkryją, że ktoś tu grzebał.

Rzuciłem jeszcze raz okiem na magazyn, po czym, zdecydowany wyjść z tego miejsca, chwyciłem za klamkę... i zamarłem ze śmiertelnym przerażeniem.

Po drugiej stronie, dokładnie w tym samym momencie co ja, ktoś stojący za drzwiami także sięgnął do klamki i na nią nacisnął. Odskoczyłem jak oparzony i z przestachem popatrzyłem na powoli otwierające się drzwi. Gorączkowo zastanawiałem się na tym, kto za chwilę wejdzie do magazynu i jak mam się wytłumaczyć z mojej obecności w tym miejscu.

Gdy moim oczom ukazał się mocno zbudowany, ubrany niemalże jak komandos ochroniarz, dosłownie zapomniałem języka w gębie. Człowiek ten stał teraz nieruchomo w drzwiach i wpatrywał się we mnie nieprzyjaznym spojrzeniem. Natychmiast zrozumiałem, że już wie, co tutaj robiłem. Poczułem, że nie będzie taryfy ulgowej. Czyżbym przeoczył jakieś kamery po drodze?

Mimo wszystko musiałem spróbować jakoś się z tego wykaraskać.

– O! Dobrze, że w końcu mogę kogoś zapytać. – Zrobiłem rezolutnie krok do przodu. – Chyba się zgubiłem... Może pan mi podpowie, gdzie są wysyłki paczek? Bo mam pilną dokumentację do wysłania. – Podskórnie czułem, że na nic się to tłumaczenie nie zda, ale w tej chwili nie miałem innego pomysłu, jak tylko udać głupiego i próbować się z tego jakoś wymigać.

Strażnik jednak nie odezwał się ani słowem. Jego sylwetka zagradzała całym ciałem wyjście z pomieszczenia, więc zatrzymałem się w pół kroku.

– Przepraszam, proszę mnie przepuścić, mam pilne obowiązki w laboratorium – tłumaczyłem się nieporadnie.

Wpatrując się we mnie obojętnym spojrzeniem, powoli sięgnął do przytroczonej do paska spodni krótkofalówki.

– Mam go – powiedział krótko, a na dźwięk jego głosu oblał mnie zimny pot. Zrozumiałem, że wpadłem i że będzie źle.

– Niech mi pan pozwoli wyjaśnić – zacząłem nerwowo. – Szukałem działu wysyłek i jakoś tu wlałem, zupełnie nie wiem, jak to się stało. Jeśli... – Nie dokończyłem, bo mężczyzna sięgnął po pistolet. Mały, połyskujący na czarno, śmiertcionośny przedmiot, który powoli wycelował w moją stronę.

Oniemiałem i odruchowo wyciągnąłem ręce do góry. Pierwszy raz w życiu ktoś mierzył do mnie z broni, a ja, zeszywniała z przerażenia, nie byłem nawet w stanie się zastanowić, czy ten pistolet jest na gaz, ostre naboje, czy może to po prostu to zwykły straszak. W tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia. Bałem się jak nigdy, a strach skutecznie mnie sparaliżował. Nie byłem w stanie odezwać się ani słowem.

Trwaliśmy tak bez ruchu przez jakiś czas, aż w końcu do pomieszczenia weszły dwie kolejne osoby, dwóch „normalnych” ochroniarzy, których widziałem już przy wejściu do budynku. Jeden z nich podszedł do mnie szybko i bez najmniejszego ostrzeżenia zdzielił mnie pięścią w brzuch. Szok wywołany niespodziewanym uderzeniem oraz palący ból splotu słonecznego od razu mnie obezwładnił. Momentalnie zgąłem się wpół, a przed oczami zobaczyłem ciemne plamy. Na kilka sekund straciłem kon-

takt z rzeczywistością i pewnie bym się przewrócił, ale obaj nowo przybyli podtrzymali mnie mocno za ramiona, nie pozwalając mi upaść. Strażnik celujący do mnie poprzecznie z broni powoli zaszedł mnie od tyłu.

– Nie macie prawa... – wyjęczałem tylko, ale nie dokończyłem zdania.

Dostałem celny cios w kark i straciłem przytomność.

Rozdział 29

Obudziłem się z ciężką głową ze świadomością, że w końcu się doigrałem. Otumaniony omdleniem jeszcze nie bardzo zdawałem sobie sprawę, gdzie dokładnie jestem, ani w jakiej pozycji się znajduję, ale wiedziałem na pewno, że wdepnąłem po uszy. W końcu z byle błahego powodu nie dostaje się ciosu w brzuch ani nie zostaje obezwładnionym.

Otworzyłem oczy.

Wzrok z trudem wracał do ostrości. Po krótkiej chwili zobaczyłem sufit. Zwyczajny, biurowy, podwieszany sufit z zamontowanymi oprawami lamp. Byłem w jakimś małym, zwykłym pokoju pomalowanym na biało. Leżałem na wznak na czymś w rodzaju łóżka.

Spróbowałem się poruszyć, ale nic to nie dało. Podniosłem głowę i spojrzałem na swoje ciało. Byłem przywiązany dwoma szerokimi pasami transportowymi używanymi zwykle przy przeprowadzkach do mocowania dużych przedmiotów, aby nie przesuwwały się podczas przewożenia. Miałem unieruchomione ręce i nogi. Pomyślałem idiotycznie, że przynajmniej dobrze, że mogę ruszać głową.

Spróbowałem się oswobodzić, szarpiąc całym ciałem. Walczyłem przez chwilę z pasami, ale nic to nie zmieniło, bo były mocno zaciśnięte. W końcu dałem spokój, bo przecież mogłem potrzebować sił później.

Kiedy zdałem sobie sprawę z mojego położenia, zaczął ogarniać mnie strach. Pierwotny, paraliżujący strach przed tym, czego mogą chcieć ode mnie ludzie, którzy pewnie zamordowali Martę, gdy zbliżyła się zbyt blisko do ich tajemnic. Nie miałem jednak czasu, by dłużej się nad tym zastanowić, bo nagle do pokoju weszło dwóch ludzi. Ponownie uniosłem głowę i poczu-

łem mieszankę strachu i nadziei, że jednak jest szansa na szczęśliwe zakończenie tej przygody.

Jedną z osób był profesor Ryszard Nowogrodzki, ubrany tak jak wczoraj w biały, laboratoryjny fartuch. Zmierzwił włosy i roztargniony wzrok sugerowały, że dopiero co został oderwany od pracy. Drugą okazał się człowiek, na widok którego poczułem trudny do zdefiniowania niepokój. Po chwili dopadła mnie panika. Z całych sił próbowałem zerwać z siebie trzymające mnie pasy i wyswobodzić się. Obawa przed tym mężczyzną była irracjonalna i trudna do wytłumaczenia, bo przecież kompletnie go nie znałem. Widziałem go pierwszy raz w życiu. Skąd więc taka dramatyczna reakcja? Skąd panika i przerażenie, które mnie ogarnęły?

Człowiek, który stanął przy mnie i przyjrzał mi się ciekawie, był dobrze ubrany. Nawet bardzo dobrze. Nie miałem wątpliwości, że garnitur jest szyty na miarę, był świetnie dopasowany do sylwetki. Śnieżnobiała koszula pochodziła prawdopodobnie od najlepszego krawca, a drogie oprawki okularów były z najwyższej półki. Ale to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia. Bo szczegółem, który wprowadził mnie w stan paniki, były oczy tego człowieka.

Jedno oko miał w kolorze zielonym, a drugie, dwubarwne, było niebiesko-piwnie.

Patrzył na mnie bez słowa, a jego wzrok przyprawiał o gęsią skórę. Znów bezsilnie się szarpnąłem, a on tylko uśmiechnął się ironicznie.

– No i co, panie Rozbicki? Czego pan tu u nas szuka?

– Nie macie prawa tak ze mną postępować – wycharczałem.

Mężczyzna westchnął ciężko i poprawił okulary na nosie.

– Oj, panie Rozbicki! A pan ma prawo zakradać się potajemnie na teren najważniejszego zakładu farmaceutycznego w tej części Europy i szpiegować?

– Po prostu się zgubiłem – palnąłem. – Szukałem toalety.

– To coś nowego! – Człowiek w garniturze uśmieł się z mojego nieporadnego tłumaczenia. – Nasz człowiek z ochrony twierdzy, że koniecznie

chciał pan nadać jakąś przesyłkę. A może ja coś pokręciłem, co?

Nie odpowiedziałem, tylko milcząco wlepiłem wzrok w sufit.

– No sam pan widzi, panie Radku. – Pokiwał smutno głową. – Nielegalnie wszedł pan na teren firmy i szpiegował pan na rzecz konkurencyjnej organizacji, próbując wykraść tajemnicę receptury leku. Myślę, że grozi panu co najmniej dziesięć lat więzienia. A taki pan młody...

– Ale ja wcale nie... – Próbowałem zerwać się z łóżka. Bez skutku. – Ja wcale nie szpiegowałem!

Człowiek o dwubarwnych oczach prychnął tylko niedbale i wzruszył ramionami.

– Nagrania z kamer i zeznania świadków mówią o czym innym. – Popatrzył na mnie smutno. – Nic tutaj nie poradzimy. Będzie pan musiał odpowiedzieć za swoje czyny. Chyba że... – zawiesił głos i pochylił się lekko w moją stronę. – Chyba że... – powtórzył cicho, mrużąc jednocześnie oczy. – Chyba że powiesz nam wszystko, od początku do końca. – Mężczyzna dostawił sobie krzesło i przysiadł obok, wpatrując się we mnie uważnie. – Po co tu przyjechałeś, Radku? Kto cię tu przysłał? Czego tu szukałeś?

Poczułem suchość w ustach. Przejście na „ty” oraz miękki, podchwytliwy, niemal ojcowski ton spowodowały, że mój strach się wzmógł. Miałem do czynienia z przestępcami gotowymi na wszystko, którzy teraz chcieli ode mnie wyciągnąć maksymalnie dużo informacji, żeby dowiedzieć się tego, jak daleko zaszła sprawa śledztwa oraz kto bierze w tym udział. Wiedziałem, że moje milczenie na nic się nie zda, bo oni i tak działali poza prawem i mogli ze mną zrobić absolutnie wszystko. Rozsądnie było coś im powiedzieć. Coś, co ich zadowoli. Ale z drugiej strony odezwała się we mnie przekora i przekonanie, że lepiej będzie milczeć. Byłem w końcu tutaj oficjalnie zatrudniony, a moje nazwisko figurowało w papierach administracji firmy. Chyba jednak byłem na tyle bezpieczny, że nie mogli mi nic złego zrobić.

– Czekam. – Człowiek w garniturze ponowił przesłuchanie. – Lepiej zacznij mówić, bo moja cierpliwość, chociaż duża, też może się wyczerpać.

– Rozwiążcie mnie – zażądałem.

– Zaczynij gadać, to cię uwolnimy. Pokaż gest dobrej woli – podpuszczał mnie dalej.

Spojrzałem na profesora Nowogrodzkiego, który od chwili przyjścia tutaj milcząco stał oparty o ścianę. Cały czas miał dziwnie obojętną minę.

– Panie profesorze, niech mi pan pomoże. Oni nie mają prawa tak ze mną postępować!

Mężczyzna z heterochromią spojrzał na mnie z politowaniem, a potem zerknął na naukowca. Ten ostatni nawet nie drgnął ani nie odezwał się słowem.

– Oj, Radku, Radku... – Przesłuchujący mnie mężczyzna westchnął ciężko, odsuwając się od łóżka. – A myślałem, że rozsądny z ciebie gość. No cóż. Trzeba będzie inaczej. – Potem zachęcająco wyciągnął rękę w stronę Nowogrodzkiego, zapraszając go do działania. – Panie profesorze. Może pan wkraczać. Pacjent jest teraz pana.

Na te słowa z narastającym strachem spojrzałem na naukowca, który powoli zbliżył się do mojego łóżka, wyjmując jednocześnie z kieszeni fartucha małą, zapakowaną jeszcze strzykawkę. W drugiej dłoni pojawiła się niewielkich rozmiarów szklana fiolka z przezroczystym płynem w środku.

Oczy wyszły mi z orbit. Serce zaczęło walić jak po ciężkim treningu.

– Nie, nie, nie! – krzychałem dramatycznie. – Powiem wszystko! Tylko nie róbcie mi krzywdy! Błagam! Panie profesorze!

Naukowiec, nie zwracając najmniejszej uwagi na moje krzyki, przygotowywał strzykawkę. Wyciągnął ją z opakowania, zdjął zabezpieczenie z końcówki cienkiej igły, potem wbił ją w fiolkę i nabrał płynu. Sprawdził jeszcze, czy nie zostały w środku pęcherzyki powietrza, i skierował wzrok na moją przywiązaną rękę. Ja szarpałem się jak w ukropie i wrzeszczałem wniebogłosy, odwołując się do wszystkich świętości tego świata.

– Niech mi pan pomoże. – Nowogrodzki matowym głosem zwrócił się do człowieka w garniturze. – Niech pan przytrzyma jego rękę. Strasznie się szarpie. Muszę trafić w żyłę.

Potem poczułem ukłucie igły i ból wstrzykiwania płynu. Jeszcze przez chwilę darłem się i szarpałem, ale po kilkunastu sekundach zaczęła na mnie spadać zasłona spokoju i otępienia. Dosłownie poczułem całym sobą, jak moje ciało oplata gęsta i przygniatająca niemoc. Mój oddech stał się spokojny i miarowy, a bicie serca wróciło do normy. Co dziwne, mój umysł dalej pracował i wciąż byłem przytomny, choć czułem się tak, jakbym znajdował się w kompletnie innym wymiarze. Kontury pomieszczenia zamały się i zniekształciły, a dźwięki i zapachy nabrały zupełnie innego formatu. Po chwili czułem się już tak, jakbym lewitował w nieważkości. Myśli leniwie przelewały się przez mój umysł. Byłem nieobecny, ale było mi dobrze.

* * *

Jeden z mężczyzn zaczął zadawać mi jakieś pytania. Głuche dźwięki dochodziły do moich uszu, a ja czułem się tak, jakbym był w głębokiej studni. Bezwiednie odpowiadałem, nie zastanawiając się nawet nad treścią. Robiłem to jakoś odruchowo, a to, co mówiłem, nie zostawało zupełnie w mojej pamięci. Z każdą kolejną minutą zapadałem się coraz głębiej w miękką poduchę otulającą moje ciało i umysł. Straciłem poczucie czasu i przestało mi na czymkolwiek zależeć.

W pewnej chwili resztkami pracującego jeszcze z mozołem umysłu wychwyciłem nowe głosy. Ktoś wszedł do pomieszczenia i mówił coś szybko podnieconym tonem. Mężczyźni zaczęli się kłócić. Nie byłem w stanie zapamiętać słów ani rozpoznać osób, ale z pewnością wychwytywałem co najmniej trzy głosy.

Nagle ktoś pochylił się nade mną. Nie byłem pewny, czy to narkotyczne majaki, czy rzeczywista sytuacja, ale znałem tę twarz. Wolno przesuwające się obrazy i zasnute mgłą oczy mogły płatać mi figle, ale w pewnym momencie rozpoznałem twarz... Michała, który wisiał nade mną i przypatrywał mi się z uwagą. Tego Michała, który wiele lat temu zakończył imprezę nad jeziorem oraz namówił wszystkich do pozbycia się zwłok i ucieczki

z miejsca wypadku. Tego Michała, który być może przyczynił się do śmierci Seweryna. Tego Michała, który handlował narkotykami.

Po chwili już nie byłem tego pewien, bo przed moimi zamglonymi oczami zamajaczyła sylwetka drugiej osoby, która uczestniczyła w tej samej imprezie. Tym razem to Krzysztof Nieczuj, teraz noszący nazwisko Goldberg, pochylał się nade mną. Wszystko było tak nierealne, że sam już nie wiedziałem, czy to prawda. Ogarnęła mnie fala kolejnego odurzenia i gdy zza mgły dojrzałem Seweryna, ten smutno na mnie spojrział i powiedział coś zniekształconym, jakby dochodził spod wody, głosem:

– Radek, słyszysz mnie? Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Dojrzałem łzy w jego oczach i zaciśnięte ze złości usta. Otworzył je, jakby chciał coś więcej do mnie powiedzieć, ale ostatecznie nie dobył się żaden dźwięk. Chwycił się za gardło, tak jak wtedy nad jeziorem, oczy wyszły mu z orbit, a twarz mu nabrzmiała. Nie mógł złapać powietrza, zaczął się dusić. Patrzyłem na całą scenę obojętnie, czułem się tak, jakbym oglądał film. W końcu sylwetka Seweryna rozviała się we mgle.

Po chwili, jakby z oddali, doszło do mnie czyjeś wściekłe warknięcie.

– Wypuście go! I to już!

A potem zapadłem się w słodką nieświadomość i mój umysł ogarnęła ciemność.

Rozdział 30

Żeglowałem z rozwianymi włosami po wzburzonym oceanie. Fale ciemnogrnatowej wody zawijały się z sykiem, tocząc wściekle białą pianę rozlewającą się po powierzchni morza. Choć niebo nad moją głową było czyste, niezastłonięte nawet pojedynczą chmurą, a słońce paliło odkrytą skórę mojego ciała, to mocny słony wiatr przenikał moje ubranie i czułem zimno aż do kości. Wypatrywałem przed sobą lądu, ale na horyzoncie nie było widać śladu ziemi. Jedyne, co dostrzegałem w zasięgu wzroku, to ogromne fale kołyszące coraz mocniej statkiem. Było mi bardzo zimno. Statek kołysał się coraz bardziej, aż w końcu poczułem nadchodzące mdłości. „Jeszcze chwila, a zwymiotuję” – pomyślałem z obawą. Nie wiedzieć czemu, ale musiałem się od tego powstrzymać. Bardzo mi na tym zależało, by zachować klasę i jakoś zapanować nad odruchami. Chwilę walczyłem z organizmem, jednak rozchwiany błędnik w końcu wywalczył swoje i smagnięty spazmem zgiąłem się wpół i zwymiotowałem.

Otworzyłem powoli oczy i obraz rzeczywistości z mozołem dotarł do mojego umysłu. Siedziałem krzywo na jakiejś twardej ławce, zgięty w nie-naturalnej pozycji. Zwymiotowałem prosto na spodnie i buty. Kręciło mi się w głowie i ciągle odczuwałem powracające mdłości. Czułem straszliwe zimno, mimo tego że słońce świeciło prosto na moją twarz. Musiał być środek dnia, ale nie byłem w stanie oszacować, która to godzina.

Spróbowałem się wyprostować, choć kosztowało mnie to dużo wysiłku. Aż jęknąłem, bo poczułem każdy mięsień i każde ścięgno. Żałowałem, że nie mam pod ręką butelki z wodą, bo nieprzyjemna suchość w gardle dopełniała mojego kiepskiego stanu.

Powoli rozejrzałem się dookoła i spostrzegłem, że siedzę na ławce w jakimś parku. Obmacałem kieszenie i zauważyłem, że mam na sobie moje

oryginalne ciuchy, a fartuch i peruka zniknęły. Na szczęście pod palcami wyczułem smartfon, a w drugiej kieszeni portfel. Sięgnąłem z nadzieją po telefon, ale po chwili opuściłem bezwładnie rękę na ławkę. Urządzenie z rozładowaną baterią było kompletnie bezużyteczne. Nie miałem jak sprawdzić, gdzie jestem ani która jest godzina. I co najważniejsze, nie wiedziałem, jaki dzień dziś jest. Z ulgą natomiast stwierdziłem, że w portfelu ciągle mam wszystkie dokumenty, karty płatnicze i jakieś drobne pieniądze. Miałem dużo szczęścia, że przynajmniej nikt mnie nie okradł.

Powoli przypominałem sobie ostatnie wydarzenia, które pamiętałem, zanim na dobre straciłem przytomność. Moja mała zabawa w detektywa zakończyła się wpadką i tym koszmarnym przesłuchaniem, a potem nastąpiła utrata świadomości. Jak przez mgłę przypominałem sobie strzępy dziwnej rozmowy z człowiekiem o dwubarwnych oczach i asystę Nowogrodzkiego, który później wstrzyknął mi jakiś środek odurzający. Sam nie byłem pewien, co z późniejszych wydarzeń było realne, a co stało się wytworem mojej zatrutej narkotykiem wyobraźni. Ważne było to, że wydostałem się z tej fabryki i nadal żyłem.

Musiałem zadzwonić do Ani, bo pewnie umierała ze strachu. Od wczoraj się nie odezwałem. Pewnie już zadzwoniła do mojego biura i dowiedziała się o kłamstwie. O tym, że wcale nie wyjechałem w delegację, tylko wziąłem urlop. Mogła już wyobrazać sobie najgorsze rzeczy. A ja wiedziałem, że będzie mi cholernie trudno się z tego wytłumaczyć.

Z głębi parku nadchodziła grupka hałaśliwej młodzieży, ale ja nie miałem wcale siły ani ochoty wstać z tej nieszczęsnej ławki. Ciągle łomotało mi w głowie, ale przynajmniej zrobiło mi się trochę cieplej. Najwyraźniej wracałem powoli do życia.

– Ej! Koleś! – Usłyszałem głos jednego z nastolatków. – Chyba mocno wczoraj zabalowałeś? Pomóc ci jakoś?

Spojrzałem na uśmiechniętego chłopaka, który pytająco na mnie patrzył. Gdy zobaczył świeże ślady wymiocin na moich spodniach, odsunął się odruchowo i z wyrazem obrzydzenia odwrócił głowę w stronę grupki znajomych.

– Facet! Idź się przebrać czy co! Nie strasz ludzi.

Podniosłem głowę, żeby zapytać, gdzie dokładnie jestem, ale tamci już odeszli, żartując ze mnie i śmiejąc się głośno.

Postanowiłem wstać. Musiałem czegoś się napić, coś zjeść i dostać się do hotelu. Potem wziąć prysznic, przebrać się, dojść nieco do siebie i jak najszybciej jechać do domu. Miałem już tego dość. Musiałem wrócić do swojego życia i zapomnieć o tym wszystkim. Za dużo ryzykowałem i nie miałem absolutnie chęci na dalsze narażanie się na niebezpieczeństwo. I tak miałem szczęście, że nie podzieliłem losu Marty.

Z trudem podniosłem się z ławki i powoli, krok za krokiem, poszedłem w stronę, z której, jak mi się wydawało, dochodziły dźwięki ulicy. Po kilkunastu metrach doczłapałem się parkową alejką do asfaltowej drogi i zobaczyłem po drugiej stronie sklepik spożywczy. Nie namyślając się więcej, szybko poszedłem w tamtym kierunku. Kupiłem butelkę wody, bułkę i paczkę parówek. Wróciłem na ławkę w parku i urządziłem sobie śniadanie, łapczywie pożerając wszystko, co kupiłem.

Miałem niezły zjazd po tym świństwie, które mi zaaplikowali, ale teraz wreszcie przynajmniej napełniłem żołądek. Jeśli faktycznie godzina na zegarze w sklepie mówiła prawdę, to od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłem. Minęła doba od mojej przygody w fabryce. Musieli mnie tam trzymać przez całą noc, naszprycowanego tym mocnym narkotykiem Nowogrodzkiego.

Kiedy organizm zaczął się powoli regenerować, postanowiłem przeanalizować wczorajsze wydarzenia. Pierwszy szok narkotykowego zjazdu minął i dopiero teraz zrozumiałem, jakie miałem szczęście, że uszedłem z życiem z tej opresji. Po raz kolejny w zdumienie wprowadziło mnie zachowanie profesora Nowogrodzkiego, który najwyraźniej współpracował z przestępcami, mając sobie za nic wyrządzone przez nich krzywdy. Co prawda nadal nie wiedziałem, jak moje odkrycia z wczoraj mają się do historii sprzed ośmiu lat i śmierci Seweryna, ale to, co zobaczyłem na własne oczy, świadczyło przeciwko temu człowiekowi.

Nie miało to jednak już żadnego znaczenia, bo tak podjąłem decyzję, że wycofuję się z tej historii i wracam do Warszawy. Dostałem nauczkę.

Wzięłem kilka głębszych oddechów. Przeciągnąłem się lekko, rozprostowałem dłonie. Popatrzyłem dookoła i zauważyłem jakiegoś dużego, dobrze zbudowanego gościa siedzącego na ławce kilkanaście metrów ode mnie. Spoglądał na mnie ukradkiem, udając, że czyta coś w smartfonie. Poczuliem niepokój, bo patrzył na mnie w dość dziwny sposób, jakby wnikliwie mnie obserwował.

„W mordę! Znowu na mnie polują!” – pomyślałem w popłochu i zacząłem wstawać.

Odszedłem kilka metrów i spojrzałem za siebie. Facet też wstał i ruszył za mną. Strach mnie obleciał, więc znacznie przyspieszyłem kroku. Znów szybki rzut oka za siebie i zacząłem panikować. Gość szedł za mną energicznym krokiem. Skręciłem więc gwałtownie w krzaki i dałem nura w gęstwinę zieleni. W tym miejscu było sporo krzewów i liściastych drzew. Podejrzywałem, że park przechodzi dalej w mały las. Miałem nadzieję, że zgubię pościg, bo mężczyzna wyglądał bardzo groźnie, a ja przeszedłem już wystarczająco dużo i miałem tego dość. Szybko mi przeszło przez myśl, że ta zorganizowana grupa przestępcza celowo wysłała jednego ze swoich goryli, żeby mnie ostatecznie nastraszyć i zniechęcić do dalszych działań, ale wolałem nie ryzykować spotkania twarzą w twarz z tym gangsterem.

Przedzierałem się przez gęste krzaki, a gałęzie smagały mnie po twarzy i dłoniach. Po chwili byłem już cały podrapany, ale nie odważyłem się zatrzymać. Musiałem uciec jak najdalej od tego zbira o twarzy goryla i posturze kulturysty. Spojrzałem za siebie i dostrzegłem ciężki cień tego człowieka szybko przedzierającego się za mną przez zarośla. Panika wzięła górę, więc zacząłem biec. Po chwili spostrzegłem, że faktycznie park przeszedł w dziki las. Przeskakiwałem przez konary i gałęzie powalonych drzew, unikałem dołów i kolczastych krzaków. Dyszałem ciężko, ale nie zwalniałem kroku. Zrobiło się luźniej, więc biegłem coraz szybciej, zapominając o zmęczeniu i dramatycznych przejściach ostatniego dnia.

Paniczne myśli kotłowały mi się pod czaszką. Dlaczego ściga mnie ten typ? Czego oni znowu ode mnie chcą? Doszedłem szybko do wniosku, że nie chcieli zwiększać ryzyka i zabijać mnie w środku siedziby firmy, więc wypuścili mnie na wolność i wynajęli tego mordercę, żeby się mnie pozbył poza fabryką. Umywali od tego ręce. Pewnie tak samo postąpili z Martą.

Nagle musiałem ostro wyhamować, bo za niewielkim wzniesieniem czekała na mnie rzeka. Zakląłem pod nosem. To była Drwęca. Niby niewielka rzeczka, idealna do pływania kajakiem, ale wcale nie miałem ochoty ryzykować utonięcia w zdradliwym nurcie tej szaroburej wody. Nigdy nie lubiłem pływać i nie robiłem tego zbyt dobrze. Rozejrzałem się rozpaczliwie na boki, ale nie znalazłem żadnego sensownego wyjścia z tej pułapki. Musiałem zawrócić i ruszyć dalej przez las.

Odwróciłem się i pobiegłem w stronę, gdzie, jak mi się wydawało, było najgęściej i najbezpieczniej. Nie przemieściłem się jednak więcej jak kilkanaście metrów, bo moja ucieczka nagle się zakończyła. Za kolejnym drzewem wpadłem prosto w łapy tego gangstera. W starciu z nim nie miałem najmniejszych szans. Chwycił mnie mocno za ramiona, ale pęd mojego ciała zachwiał jego równowagę i obaj ciężko runęliśmy na ziemię spleceni w jedną masę. Suche patyki pękały z trzaskiem, a zeschnięte zeszłoroczne liście chrzęściły pod nami z wyrzutem. Przeturlaliśmy się kawałek. W końcu ścigający mnie człowiek przygniótł mnie swoim ciałem, czym skutecznie mnie unieruchomił.

– Ratunku! – wrzasnąłem mu prosto do ucha, licząc rozpaczliwie na jakichś przypadkowych spacerowiczów.

Drab zacisnął mocno swoje silne łapy na moich ustach, sprawnie mnie kneblując. Szarpałem się rozpaczliwie, choć wiedziałem, że niewiele to da, bo był dużo silniejszy. Poza tym byłem wykończony przejściami ostatniej doby i dopiero co zakończoną, nieudaną zresztą, ucieczką. Szybko traciłem resztki sił i już zaczynałem godzić się z kolejną porażką. Ironicznie stwierdziłem, że tylko ułatwiłem temu typowi wykonanie zadania, bo nie mógł sobie chyba wyobrazić lepszego miejsca, żeby mi skrócić kark i wrzucić ciało do rzeki. Gdybym był w lepszej sytuacji, to nawet roześmiałbym się

z tego, że za kilkanaście godzin będę już trzecią ofiarą dryfującą po powierzchni wody.

Że podzielę los Seweryna i Marty.

* * *

– Zamknij się, do diabła! – wyszczał mój napastnik i pokręcił z dezaprobatą głową. Rozejrzał się nerwowo na boki. – Nic ci nie zrobię, durniu! – wyszeptał niemalże ze złością, a ja, zaskoczony, przestałem się szarpać. – I nie wrzeszcz już.

Spojrzałem na niego uważniej. Chyba rzeczywiście nie chciał mi zrobić krzywdy. W każdym razie z bliska wyglądał jakoś bardziej znośnie i nie tak groźnie, jak mi się wydawało, kiedy uciekałem.

– Nie wrzeszcz, to cię puszczę – powtórzył. – Rozumiesz? Nic ci nie zrobię. Wręcz odwrotnie, chcę ci pomóc.

Zbiło mnie to kompletnie z tropu, bo nie spodziewałem się takich słów.

– Przecież mógłbym już dawno cię zabić, gdybym miał taki zamiar, nie? Pokiwaj głową, że będziesz cicho, to odsłonię ci usta.

Pokiwalem głową na „tak”. Mężczyzna rozluźnił uchwyt i pomógł mi wstać na nogi. Otrzepał swoje ubranie i spojrzał na mnie z uwagą, spodziewając się mojej kolejnej próby ucieczki. Ja jednak stałem bez ruchu, zastanawiając się nad tym, kim jest ten koleś i czego ode mnie chce.

Nieznajomy sięgnął powoli do kieszeni, a ja zamarłem z przerażenia. Cofnąłem się o krok i odruchowo podniosłem rękę do góry. Byłem przekonany, że gość za chwilę wyjmie pistolet i zastrzeli mnie jak psa. Ten zobaczył mój strach i tylko znów pokiwał z rozczarowaniem głową. W jego dłoni błysnęła policyjna blacha.

– Komisarz Piotr Wrona z Warszawy – oznajmił beznamiętnie. – Przyjeżdżam od Tomka, który jest skutecznie wyeliminowany z tego śledztwa.

Nagle całe napięcie zeszło ze mnie jak z nadmuchiwanej, gumowej piłki. Myślałem, że osunę się na ziemię, ale jakoś utrzymałem się w pionie. Spojrzałem z wdzięcznością na tego policjanta, który naraz wydał mi się najja-

godniejszą osobą na świecie, a poprzednie wrażenie zbira i przestępcy ulotniło się bezpowrotnie. Nawet teraz dziwiłem się temu, że mogłem go tak źle ocenić.

– Ale mnie pan nastraszył – powiedziałem tylko. – Nawet pan nie wie, przez co przeszedłem.

– No właśnie widzę, że chyba nie miałeś lekkiej nocy – stwierdził, patrząc na moje zabrudzone spodnie i buty, które wciąż nosiły ślady wymiocin. – Mów mi Piotrek.

– Nawet nie wiesz, nawet się nie domyślasz, co się zdarzyło.

– Opowiesz mi wszystko ze szczegółami, tylko jedźmy gdzieś doprowadzić cię do porządku. Wynająłem pokój w hotelu, tutaj w Brodnicy.

Podrapałem się z zakłopotaniem w głowę.

– A ja zostawiłem swój samochód przed fabryką.

– Później go odbierzesz. Im szybciej mi wszystko powiesz, tym prędzej zaczniemy działać. Coś tam już wiem od Tomka i Roberta. No i widziałem te zdjęcia, które wczoraj wysłałeś. To dlatego tak szybko tutaj przyjechałem. Nieoficjalnie oczywiście.

Spojrzałem na moje spodnie i westchnąłem.

– Muszę się przebrać, moje rzeczy są w ośrodku nad jeziorem.

– No tak – przyznał mi rację, patrząc krytycznie na stan mojego ubrania.
– To najpierw cię tam podwiozę. A potem pojedziemy jednak do mojego hotelu. Muszę cię mieć na oku. Dla twojego bezpieczeństwa. Tam przegadamy wszystkie tematy.

Rozdział 31

Kiedy kilkadziesiąt minut później, już wykąpany i przebrany siedziałem z Piotrkim w jego pokoju, mogłem spokojnie i z najdrobniejszymi szczegółami opowiedzieć mu nie tylko wydarzenia od mojego przyjazdu do Brodnicy z ostatnich dni, ale też po raz kolejny w ciągu ostatnich tygodni powtórzyć całą długą historię, poczynając od imprezy nad Zalewem Ze-grzyńskim.

Piotrek sporo wiedział, bo Tomek i Robert dość dobrze go przygotowali, ale gdy usłyszał rewelacje z ostatniej doby, pokręcił w zdumieniu głową.

– Naszprycowali cię jakimś gównem, żeby wyciągnąć z ciebie, ile wiesz o sprawie. To brzmi bardzo poważnie. Masz szczęście, że żyjesz.

– Miałem cholernego farta. Uratowało mnie to, że oficjalnie figurowałem w ich papierach, bo przecież byłem zatrudniony w ich firmie.

– Albo wiedzieli, że jesteś kuzynem oficera z komendy stołecznej – dodał, kręcąc głową. – Wyciągnęli z ciebie informacje i skutecznie cię nastraszyli.

– To fakt – skwitowałem cierpko. – Zrobili to naprawdę dobrze, bo gdyby nie ty, to już bym wracał do domu. Przysięgłem sobie zapomnieć o całym temacie.

– Ciekawe, co im powiedziałaś podczas przesłuchania.

Wzruszyłem bezradnie ramionami.

– Niestety, nie mam zielonego pojęcia. Pamiętam to jak przez mgłę, a im więcej czasu upływa, tym bardziej rozmazane są te urywki, które jeszcze mam w głowie. Obawiam się, że za kilkanaście godzin nie będę w stanie nic sobie przypomnieć z tego odjazdu po zastrzyku. Tak naprawdę to

w ogóle nie jestem pewien, czy to nie jest wytwór mojego naćpanego umysłu.

– Ale coś tam pamiętasz? – zapytał z nadzieją w głosie Piotr.

– Tak, ale nie jestem, pewien czy to w ogóle było realne. Widziałem pochylających się nade mną Michała i Krzyśka. Albo obu naraz. Sam nie jestem pewien.

– Jak to?

– Bo potem widziałem też twarz Seweryna, a to już na sto procent był miraż. Więc nie mogę być też pewien twarzy dwóch pozostałych osób. Pewnie to przez ten narkotyk miałem takie dziwne wizje.

Piotrek zasępił się i przygryzł dolną wargę.

– Ale że ten profesor Nowogrodzki działa w ich szajce? Przecież to naukowiec, który wynalazł lek na raka! I zaplątał się w taki przestępczy proceder?

– Wiesz... może go do tego jakoś zmuszają? Miałem z nim do czynienia dwa razy. Pierwszy kontakt miałem w stołówce na przerwie obiadowej. Czekał, to było dwa dni temu... – Musiałem się zastanowić, ile czasu minęło od tej rozmowy. – Tak, dwa dni temu. Nie jestem psychologiem, ale wyraźnie widziałem, że on kompletnie nie ma własnej woli. Jedyne, co dostrzegłem, to zmęczone i puste spojrzenie, apatię, rezygnację. Ten człowiek jest zupełnie bez życia.

– Może po prostu jest przemęczony pracą? – zasugerował Piotr.

– Nie, to coś zupełnie innego – zaprzeczyłem. – Gdy wspomniałem o Sewerynie, to nawet dojrzałem coś w jego oczach, jakiś błysk. Jakby rzeczywiście wiedział, co się wtedy stało i jaki to ma wpływ na terażniejszość. Myślę, że wie też coś na temat śmierci Marty. Niestety, po chwili momentalnie znów się usztywnił. Na pewno jest jakoś zastraszone. Musieli dość dobrze go sterroryzować i dlatego bez szemrania wykonuje ich polecenia. Zwłaszcza polecenia tego gościa z heterochromią.

Piotr wstał i niespokojnie przeszedł się po pokoju. Przypomniałem sobie o telefonie, który przecież kompletnie się rozładował, a w którym miałem

oryginały zdjęć z fabryki. Wczoraj wysłałem ich tylko kilka, ale w aparacie miałem zrobionych dużo więcej. Podskoczyłem szybko do ładowarki i podpiąłem smartfon pod zasilanie. Po kilku długich sekundach na wyświetlaczu pojawił się komunikat: „Device malfunction. Contact Service”.

– W mordę! – zakląłem ze złością.

– Co się stało? – zainteresował się Piotr i podszedł do mnie.

– Miałem dużo więcej zdjęć w telefonie – wyjaśniłem z rezygnacją. – Wam wysłałem tylko kilka. Chciałem, żebyś zobaczył te dokumenty i te paczki z proszkiem. Ale chyba celowo zepsuli mi telefon, żebym nie odzyskał danych. A nie miałem ustawionej synchronizacji z chmurą. To już szrot. – Ze złością odłożyłem bezużyteczny, uszkodzony kawałek elektroniki. – Trudno, nie ma tych zdjęć – westchnąłem. – Ale ważne, że widziałem to wszystko na własne oczy. To, czego spróbowałem, to na pewno jakieś nielegalne środki. Narkotyki na sprzedaż. Trzeba tam wkroczyć i ich zatrzymać.

– Widziałem ten materiał, który wysłałeś. – Machnął mi przed oczami swoim smartfonem. – Ale na razie nie mamy żadnych innych dowodów. Gdybyś miał próbkę tego proszku albo jeden z tych dokumentów, na pewno byłoby łatwiej. Te zdjęcia to trochę za mało. Być może to legalny produkt do produkcji leku.

– Ale ja tam byłem i to widziałem! Myślę, że w takich warunkach nie trzyma się leków! – krzyknąłem. – Przecież spróbowałem tego proszku i na pewno to nie był lek! Takiego odjazdu nie wywoła się przypadkowo. A potem mnie naćpali i przetrzymywali wbrew mojej woli! Nie wierzysz mi?

– Radek. – Uspokajająco położył rękę na moim ramieniu. – Wierzę. I wiem, że dużo przeszedłeś. Wygląda mi to na zorganizowaną szajkę i przekręt dużego kalibru. Ale musimy mieć podstawę do radykalniejszych działań.

Okląpłem i usiadłem na fotelu.

– Pamiętaj, że cały czas jestem tutaj nieoficjalnie. Chyba nie zapomniawsz, jak postąpili z Tomkiem i że zakazali nam zajmować się tą sprawą?

Pokiwałem potakująco głową.

– Nie dostaniemy na razie wsparcia z wewnątrz, bo policja jest zaryglowana, a przed sobą mamy potencjalnie bardzo niebezpieczną organizację przestępczą, która nie zawahała się już zabić kilku osób, włączając tych policjantów i prokuratora sprzed ośmiu lat. Jeśli to faktycznie jakiś narkotyk, który w tajemnicy produkuje w tym miejscu, to wierz mi, że ta firma musi mieć bardzo silne wsparcie w strukturach biznesu i polityki. Takie rzeczy w tym kraju są naprawdę możliwe. Przypomnij sobie to co się działo w Stanach Zjednoczonych w sprawie leku OxyContin. – Piotrek znów przeszedł się po pokoju, wciągając ze świstem powietrze do płuc. Intensywnie się nad czymś zastanawiał. – Podsumujmy. Mamy kilka trupów i niewyjaśnione okoliczności śmierci wszystkich zabitych osób, a śledztwa skutecznie ukręcono od razu w zarodku. Czyli wniosek numer jeden: ktoś ma niesamowicie mocne wpływy w policji. I to nie tylko w Warszawie, ale też w terenie. Albo ten ktoś jest tak silnie umocowany w centrali, że może mieć kontrolę nad działaniami mundurowych niezależnie od lokalizacji. – Pokiwał głową jakby do siebie i zamyślił się na chwilę. – Idąc dalej... – usiadł ciężko na biurku, które zaskrzypiało pod jego ciężarem – mamy światowej sławy fabrykę najbardziej odkrywczego medykamentu ostatnich lat, która tłucze w tajemnicy podejrzany proszek, który może być silnie działającym narkotykiem. W dodatku z tego, co mi powiedziałaś, ma takie działanie jak żaden inny specyfik dostępny na rynku. Z twojej relacji wynika, że to połączenie kokainy, amfetaminy i kilku innych środków w jednym. Supernarkotyk, który może zrewolucjonizować rynek używek.

– To prawda – potwierdziłem. – Miałem taki objazd, że czułem się, jakbym był bogiem!

– No właśnie – skomentował Piotr. – Ale jest jedno ale. Nie możesz być pewny, że to, w jaki sposób ten proszek na ciebie zadziałał, nie jest na przykład skutkiem ubocznym, a przeznaczenie tego preparatu jest zgoła inne. Prawda?

Już miałem ostro zaprotestować, ale Piotrek nie pozwolił mi zacząć.

– Musimy rozważyć każdą ewentualność. Dopóki nie mamy twardych dowodów w garści, trzeba się liczyć z różnymi rozwiązaniami. No, ale założmy, że faktycznie to są dragi, na których spółka produkująca leki chce zbić fortunę. Powstają zasadnicze pytania: dlaczego nie wystarcza im ogromny przecież zysk ze sprzedaży Cytozynoxu i w jakim celu zdecydowali się brnąć w nielegalny biznes środków odurzających? Dlaczego ktoś podejmuje tak ogromne ryzyko i rozwija produkcję narkotyku w tej samej fabryce, gdzie wytwarzają oficjalny lek, który sam kosztuje fortunę?

Wzruszyłem tylko ramionami, bo nie miałem na to odpowiedzi.

– Kolejnym trudnym tematem jest kompletnie niezrozumiałe, dziwne zachowanie naukowca, odkrywcy leku na nowotwory – ciągnął swój wywód Piotrek. – Co prawda nie wiemy za wiele o tym człowieku, o jego marzeniach, dążeniach, skłonnościach czy demonach, które nim rządzą, ale na podstawie jego osiągnięć naukowych można by sądzić, że kierują nim raczej pozytywne pobudki. Poświęcając całe swoje życie na badania naukowe i pracę w laboratorium, zapewne dążył do tego, by opracować lek, który pomaga ludziom, a nie im szkodzi. Z tego, co wyczytałem w sieci, to od wielu lat działał pod wpływem obsesyjnego marzenia o wynalezieniu leku na raka i ciężko mi sobie wyobrazić, że taki człowiek teraz z własnej nieprzymuszonej woli poszedł w produkcję narkotyków. Nawet jeśli wynalazł go przez przypadek.

– Dlatego moja teoria o tym, że go zmuszają, idealnie tutaj pasuje – wtrąciłem.

– Owszem, pasuje. I to bardzo. Tylko jakiego muszą mieć na niego haka, że dał się tak ubezwłasnowolnić i uwięzić? Z tego, co mówiłeś, wygląda jak zombie i nie ma w sobie ani grama życia.

Przytaknąłem tylko ruchem głowy.

– To musi mieć jakiś związek z Sewerynem i jego śmiercią, jak nic – zawyrokowałem. – Tylko kompletnie nie wiem, co do tego mają Michał i Krzysiek z Anetą. To mi zupełnie nie pasuje do tej układanki. Bo o ile Michał z jego handlem prochami wpasowuje się w całą tę przestępczą organi-

zację, to Goldbergowie stanowią taką zagadkę, że nie mam żadnej teorii na ten temat. Kompletnie nie potrafię nic tutaj wymyślić.

– Może to czysty przypadek? – Piotrek uniósł brwi.

– Ale co?

– Może przypadkiem jest to, że Krzysztof i Aneta Goldberg są w Radzie Nadzorczej spółki i że dochrapali się takiej fortuny? Może po prostu okazali się na tyle zdolnymi i zaradnymi ludźmi, że zrobili taką zawrotną karierę? Może wystarczyło tylko poznać kilka lat temu odpowiednie osoby i wpleść się w towarzystwo biznesmenów inwestujących w ten start-up? Może po prostu mieli szczęście?

– Sam w to chyba nie wierzysz? – Spojrzałem na niego z powątpiewaniem.

Piotr podrapał się po głowie i westchnął.

– Masz rację. Nie wierzę. Za dużo tutaj związków i relacji między ludźmi. Coś rzeczywiście musi być na rzeczy.

– I to ich obsesyjne ukrywanie się – dodałem. – Nigdzie w sieci, absolutnie nigdzie, nie ma o nich żadnych informacji. Ani na portalach społecznościowych, ani wywiadów, ani żadnego śladu z przeszłości. Gdyby nie to przypadkowe zdjęcie, które odkryła Marta, to w ogóle nie wiedzielibyśmy, że Goldbergowie to nasi starzy znajomi ze studiów. I ta ich forteca w środku lasu! Nie do sforsowania. Prawdziwe zamczysko.

– No wiesz... Ludzie z naprawdę dużą kasą są w stanie zapłacić każde pieniądze, żeby ich nigdzie nie było. Są specjalne firmy, które na bieżąco usuwają jakiegokolwiek informacje pojawiające się w necie. Zacierają ślady i pomagają chronić prywatność. To akurat jest norma w świecie wielkiego biznesu. A co do ich domu... to sam byś sobie taki wybudował, jakbyś miał taką fortunę co oni. Na pewnym etapie po prostu nie wiesz już, co robić z kasą. Jeśli na wszystko cię stać, to realizujesz marzenia. Budujesz większe domy, kupujesz większe samochody. Taka jest psychologia człowieka. I z reguły tacy ludzie są tak mocno chronieni, że ciężko się do nich dostać i coś im udowodnić, nawet jeśli mają coś nefajnego na sumieniu... – zakończył pesymistycznie.

– Chyba nigdy nie przekonam się na własnej skórze o tym, jak to jest być obrzydliwie bogatym... A zresztą. Wolę żyć skromnie, ale uczciwie.

Zapadła cisza. Każdy z nas po raz setny analizował wszystkie zdobyte informacje i próbował poskładać do kupy tę nieprawdopodobną historię.

– Czyli jesteśmy w ciemnej dupie i nic nie możemy zrobić? – zapytałem z pesymizmem w głosie.

Piotrek podszedł do hotelowej minilodówki i wyjął małą buteleczkę whisky. Ruchem dłoni zaproponował także mi, ale przecząco pokręciłem głową. Nalał więc złocistego płynu do szklanki tylko sobie i uzupełnił wodą.

– Niezupełnie. – Pociągnął spory łyk trunku i usiadł wygodnie w fotelu naprzeciw mnie. – Ale może zamówimy sobie coś do zjedzenia, bo prawdę mówiąc, już od kilku minut kiszki mi marsza grają – roześmiał się beztrosko.

Spojrzałem za okno. Zaczęło się ściemniać, musiało minąć sporo czasu od mojego byle jakiego szybkiego posiłku na ławce w parku. Dopiero teraz poczułem, że zjadam własny żołądek.

– Chętnie! – powiedziałem z ulgą. – Umieram z głodu.

* * *

Zamówione do pokoju dania przyjechały pół godziny później. Dla mnie była to nieziemską rozkosz! Zjeść wreszcie ciepły i smaczny posiłek po tych dramatycznych przeżyciach i nieoczekiwanym, ale jakże szczęśliwym spotkaniu z Piotrkim. Skończyliśmy ten późny obiad i wtedy nabrałem jednak ochoty na drinka, opróżniliśmy zatem kolejne buteleczki z barku i teraz, zrelaksowani, mogliśmy kontynuować rozmowę.

– No, ale powiedz mi, jak się trzyma Tomek? – zapytałem. – Nie chciałem do niego ostatnio dzwonić, żeby nie narażać jego ani siebie na dalsze podejrzenia. Zresztą i tak nie chciał odbierać po tym nalocie na jego mieszkanie.

Piotr zrobił zmartwioną minę.

– Jest wkurzony i zawiedziony. Nie dość, że zastraszyli jego i rodzinę, to jeszcze potraktowali go jak psa. Przecież on nie jest jakimś tam zwykłym policjantem, tylko zaprawionym w boju inspektorem z komendy stołecznej, który ma na koncie wiele rozwiązanych skomplikowanych spraw. Jest gwiazdą resortu i zasłużonym pracownikiem biura. A dostał takie lanie, że i tak mu się dziwię, że nie uniósł się honorem i nie odszedł ze służby. Widocznie komendant przekonał go, żeby tego nie robił, tylko zacisnął zęby i dalej pracował.

Napiliśmy się alkoholu, który leniwie rozlewał się po wnętrzu, rozgrzewając i relaksując jednocześnie.

– Tomek jest na razie spalony – wznowił po chwili Piotrek. – Ci z góry wiedzieli, jak skutecznie ostudzić jego dalsze zapędy i spowodować, żeby przestał grzebać w tej sprawie. Nawet komendant musiał się poddać presji.

– Ale kto to jest? W sensie powiedziałaś: „ci z góry”. Kto ma na tyle władzy, żeby robić takie rzeczy i wpływać na śledztwo?

– Prawdopodobnie ludzie z najwyższych poziomów władzy w tym kraju. Na przykład ktoś z MSWiA. Ten obecny minister nigdy mi się nie podobał. Wiesz, ten, co jest od dwóch lat na tym stołku.

– Nie śledzę za bardzo sceny politycznej – przyznałem. – Ale jak on może być w tym umoczony?

– Dużo o tym myślałem i mam dwie teorie. Myślę, że albo świadomie jest zamieszany w aferę i bierze z tego dużą kasę, albo grube ryby biznesu mają na niego jakieś mocne kwity i po prostu go szantażują. A on posłusznie wykonuje ich polecenia.

– Fatalnie to brzmi – zmartwiłem się. – Skoro tacy ludzie są zaangażowani w aferę, to jak nasz kraj ma prawidłowo działać?

– Ano taka jest rzeczywistość, i to nie tylko u nas. Popatrz na inne kraje. Afery, łapówki, przekręty na grube miliardy. Wszędzie to samo. – Piotrek machnął z rezygnacją ręką. Wstał i rozprostował kości aż strzeliło mu w stawach. – No dobra, ale wróćmy do tematu! – podjął ponownie po chwili. – Więc Tomek jest udupiony i na razie musi się pilnować. Dla niego ta praca to całe życie. Sam nie zrezygnuje tak łatwo, najwyżej przetrwa naj-

trudniejszy moment i poczeka na okazję, żeby się odegrać. Ale jak na razie nie możemy na niego liczyć. Poprosił mnie, żebym po cichu włączył się w tę sprawę. Mogę też liczyć na pomoc Roberta, bo on także jest wkurzony tym, co zrobili z twoim kuzynem, i chce jakoś dokopać tym skurwysynom z góry.

– No dobrze, ale co możecie zrobić? Masz jakiś pomysł? – zapytałem z nadzieją.

Piotrek popatrzył na mnie z satysfakcją.

– Oczywiście, że mam. Inaczej bym tu nie przyjeżdżał i nie zawracał sobie głowy – wyjaśnił rozbijając. – Po pierwsze nasz komendant nie jest aż tak bezsilny, jak się to może na pozór wydawać. Owszem, musi spełniać polecenia otrzymywane z ministerstwa i jest mocno kontrolowany, ale to go nie powstrzyma przed zemstą za to, co zrobili Tomkowi. Bury jest bardzo wkurwiony, że tak ich potraktowali. Wziął to sobie mocno do serca i nie popuści draniom. Oczywiście musi być ostrożny i dobrze się maskować, ale już zaczął pewne działania.

– Jakie? – zapytałem z nadzieją w głosie.

– Wiem, że razem z naczelnikiem Wydziału Kryminalnego mają dużo różnych znajomości w branży. Policja nie jest jedyną organizacją śledczą w tym kraju, są jeszcze inne służby, a komendant ma naprawdę sporo przyjaciół. Nieoficjalnie poprosił o pomoc szefostwo CBS, ABW i CBA, żeby pomogli znaleźć haki na tych z góry i dobrać im się do skóry. Znajac determinację Burego, to tylko kwestia czasu, aż rozpieprzą ten układ. Może nawet już coś mają, kto wie?

– To brzmi obiecująco – pokiwałem głową z uznaniem.

– Wierzę, że zrobią z nimi porządek. No i pewnie idąc po nitce do kłębka wyjaśni się po kolei wszystkie zagadki z tej sprawy. Poczynając od śmierci Seweryna, aż do twojego wczorajszego odkrycia w fabryce. To już jest robota dla kumpli komendanta. Ale żebyś nie odniósł wrażenia, że będę bezczynnie czekać na jego pomoc. Sam też zacząłem już działać.

Spojrzałem pytająco na komisarza Wronę, czekając na dalszy ciąg wyjaśnień.

– Tak jak wspomniałem, Robert Bielski też jest wkurzony tym, co zaszło, i chętnie nam pomoże, jeśli tylko będzie w stanie.

– Już pomógł – odpowiedziałem. – Odkodował mi przecież list od Marty. I wcześniej pomógł ze znalezieniem miejsca, gdzie był ukryty pendrive nad jeziorem.

– No właśnie. Więc już sam siedzi w tej sprawie. Zna dotychczasowe szczegóły i jest zaintrygowany całą tą historią. To rasowy detektyw, ma zmysł dochodzeniowy i nie popuści, dopóki nie znajdzie odpowiedzi na pytania. Tyle że działa w cyberprzestrzeni, a nie w terenie.

– No to jak może nam pomóc? – dopytywałem niecierpliwie.

– W zasadzie to on może nam pomóc na wszystkich polach. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, ile informacji jest w internecie, zwłaszcza w tej ukrytej części. Robert ma takie przeglądarki, które zajrzą nawet w najciemniejszy kąt sieci i wygrzebią dane spod ziemi. Poza tym ma jakieś programy i algorytmy łączące fakty i grupujące informacje, żeby można było wyciągnąć z nich konkretne wnioski. Na pierwszy ogień wziął temat spółki, która jest właścicielem fabryki, Euronea Med.

Spojrzałem na Piotrka z podziwem, bo wziął się za to gruntownie i bardzo profesjonalnie.

– W pierwszej kolejności – mówił dalej – Robert przejrzał wszystkie dostępne informacje o przetargu na inwestora, który miał rozpocząć budowę fabryki i zacząć produkcję leku. Od razu rzuciło mu się w oczy, że ta sprawa też miała miejsce osiem lat temu, w kilka miesięcy po śmierci waszego kolegi Seweryna.

– Rzeczywiście – zamyśliłem się. – To faktycznie było w tym samym roku. Nie pomyślałem wcześniej, że może to w ogóle mieć jakikolwiek związek.

– Może ma, a może nie – skomentował Piotr. – Ale na pewno jest to fakt, o którym trzeba pamiętać. No dobra, ale powiem ci, co wygrzebał z sieci Robert i do jakich doszedł wniosków. Może pamiętasz, jakie było wtedy zamieszanie wokół tej inwestycji? Wszystkie media o tym mówiły i pisały, bo to była sprawa wagi państwowej. Wielu polityków i biznesmenów skakało

sobie do gardeł, żeby przewalczyć swoją opcję i coś z tego dla siebie ugrać. To była nie lada gratka dla dużej liczby wysoko postawionych osób. Informacje, którymi wtedy media karmiły ludzi, na pewno były mocno przekłamane, bo gdy Robert zebrał swoje dane i je odpowiednio obrobił, doszedł do ciekawych wniosków, które mocno przeczą oficjalnym komunikatom.

Podrapałem się z namysłem w brodę.

– Pamiętam, że kilka dużych zagranicznych koncernów ubiegało się o przejęcie patentu i rozpoczęcie produkcji za granicą – wtrąciłem, odgrzebuując z pamięci to, co wtedy mówiło się w telewizji i w internecie. – Ale rzekomo Nowogrodzki postawił warunek, że kapitał ma być z Polski i produkcja też ma być zlokalizowana w naszym kraju.

– Dobrze pamiętasz – potwierdził Piotrek. – Tak właśnie było. Interweniował wtedy rząd, a potem negocjował z polskimi biznesmenami i Nowogrodzkim warunki startu inwestycji. Jak pamiętasz, profesor został poddany sporej presji i musiał pójść na ustępstwa. Nie mógł fizycznie zatrzymać patentu, bo nie miał odpowiednich funduszy, żeby samemu rozkręcić biznes. Musiał liczyć na inwestorów i w miarę możliwości się z nimi dogadać, żeby całość projektu miała w ogóle sens. Potrzeba było naprawdę grubych miliardów, żeby dokończyć testy, badania kliniczne, zdobyć pozwolenia i uruchomić produkcję. No ale do rzeczy, bo oficjalne informacje puszczane w obieg to jedno, a to co odkrył Robert, to inna sprawa. – Piotr ziewnął wyraźnie zmęczony, ale mówił dalej: – Niezły magik jest z tego naszego Roberta, bo dotarł do takich danych i dokumentów, z których jasno wynika, że tak naprawdę to obcy kapitał i tak nie miał szans na ten projekt, a zamieszanie z inwestorami ze Szwajcarii, Niemiec i Francji zostało specjalnie sfabrykowane, aby zmiękczyć Nowogrodzkiego i sprawić wrażenie zagrożenia spełnienia warunków, które postawił. Przedstawiciele Pfizera, Bayera czy Roche byli podstawieni i sterowani przez kogoś sprawującego władzę, żeby podbić stawkę, wywołać poczucie zagrożenia i zrobić dodatkowe zamieszanie.

– Ale po co to wszystko? – zapytałem zdumiony.

– Ha! Robert ma kilka teorii. Na przykład po to, by rozchwiać emocjonalnie profesora i zaproponować mu lepiej wyglądającą opcję pochodzącą od lokalnego inwestora, na którego łatwiej mu było się zgodzić, ale już bez dodatkowych negocjacji. Albo po to, by ludzie sprawujący władzę, ministrowie i doradcy rządowi mogli później ogłosić swoje zwycięstwo, że obronili tak ważną dla kraju oraz obywateli inwestycję i nie oddali jej w ręce zagranicznego kapitału. Dla nich takie medialne zwycięstwo byłoby udowodnieniem kompetencji i zapewniłoby kolejną kadencję w obozie władzy. Każdy sukces tego rozmiaru to dodatkowe tysiące głosów wyborczych.

– O tym nawet nie pomyślałem.

– Bo nie jesteś politykiem, który wykorzysta z największą bezwzględnością każdy nadarzający się temat, żeby osiągnąć korzyści dla siebie albo dla swojej partii. – Piotr smutno pokiwał głową. – Ale wracając do odkryć Roberta. Znalazł w darknece bardzo ciekawe zapisy rozmów, dokumenty i korespondencję, która obnaża ówczesnych polityków i biznesmenów. Jasno z tego wynika, że zrobili ogromny przekręt, doprowadzając w końcu w atmosferze zagrożenia inwestycji do wyłonienia firmy, która dostała patent Nowogrodzkiego i zbudowała fabrykę. Tę tutaj, w Brodnicy. Zainteresowani tak rozegrali ten temat, że po interwencji rządu i po nagonce medialnej zaszczyty Nowogrodzki musiał przyjąć ofertę Euronea Med i zgodzić się na ich warunki, bo inaczej z leku nic by nie wyszło. Tak jak kiedyś poniósł porażkę profesor Tołpa.

– W mordę. To by częściowo tłumaczyło, dlaczego jest tak zmęczony życiem i tak zrezygnowany.

– A to tylko część informacji, do których dotarliśmy – ciągnął Piotr. – Nadal nie wiemy wszystkiego, ale jeśli rzeczywiście dochodzi do tego sprawa Seweryna i produkcji narkotyków, to mamy pełny obraz człowieka, który chciał dobrze dla ludzkości, a został niecnie wykorzystany, oszukany i ubezwłasnowolniony.

Zamyśliłem się na chwilę.

– No dobrze – powiedziałem w końcu – ale skoro wiadomo, kto wtedy mieszał w tym kotle, to chyba można tych ludzi pociągnąć do odpowie-

działności?

– Radek, to nie takie proste. – Piotr westchnął ciężko. – Część z tych ludzi już jest poza obozem rządzących i nawet może już nie zajmują się polityką. Zarobili swoje i teraz pewnie tłuką kasę na jakichś legalnych biznesach. Poza tym mamy tylko kilka nazwisk, a sądzę, że umoczonych w tej sprawie może być dużo więcej osób. Stąd nieoceniona będzie pomoc komendanta i jego kontaktów. Myślę, że w większości przypadków za sprawę musi się zabrać CBA lub nawet ABW. – Piotrek przeciągnął się z głośnym ziewnięciem, aż zachciało mi się spać. – Ale ciekawsze jest to, co dzieje się tu i teraz – mówił dalej. – Poprosiłem Roberta, żeby prześwietlił dokładnie temat spółki produkującej lek, zależności kapitałowych, udziałowców i wszystkich innych informacji związanych z tą fabryką. I tu też się okazało, że jest niezły bajzel.

– Co masz na myśli?

– To skomplikowane, więc przeczytam ci, co dostałem od Roberta w mailu. – Piotr wziął do ręki dużego smartfona i za chwilę na jego twarzy ujrzalem jasną poświatę włączonego ekranu. – „Fabryka należy do spółki Euronea Med – zaczął czytać – w zarządzie której zasiadają Krzysztof i Aneta obecnie noszący nazwisko Goldberg. Na pozór firma jest całkowicie polskim przedsięwzięciem, bo zarejestrowana jest w kraju i większość udziałowców to polskie podmioty, między innymi takie firmy jak Carmen POL oraz Basiński Venture, które należą do bardzo wpływowych biznesmenów. Te dwie firmy mają dziesiątki swoich mniejszych spółek zależnych i skomplikowaną formę własnościową. Są tam firmy transportowe, budowlane, handlowe. Dość ważną informacją jest to, że spółką nadrzędną w przypadku obu firm: Carmen POL i Basiński Venture i jednocześnie sprawującą nad nimi kontrolę, jest Fundusz Inwestycyjny Invest-Lux zarejestrowany w Luxemburgu. Fundusz ten zarządza też innymi, bardzo interesującymi firmami, wśród których najciekawszą stanowi grupa kapitałowa Bonarczyk & Prokop, zarejestrowana na Kajmanach, która ma wiele inwestycji w całej Europie, w tym udziały w spółce Treblex”. – Piotr zaczerpnął powietrza i za chwilę wznowił wyjaśnienia.

Powoli gubiłem się już w nazwach i powiązaniach finansowych spółek, o których mówił.

– „Wiem, że to wszystko jest już wystarczająco skomplikowane, ale do tego jest jeszcze coś więcej”. – Piotrek odetchnął. – „Mam tu ciekawostkę, bo z kolei firma Treblex należy do konsorcjum, które kilka lat temu wybudowało fabrykę. Po zakończeniu budowy i uruchomieniu produkcji leku konsorcjum zostało rozwiązane, co nie znaczy, że Treblex przestał mieć powiązania z tym biznesem. Bo okazuje się, że ta firma ma czterdzieści procent udziału w Carmen POL, która jest przecież związana bezpośrednio z Euronea Med. Co więcej, Treblex płaci podatki na Cyprze, a nie w Polsce”. – Piotrek skończył czytać, odłożył telefon na bok i spojrzał na mnie wymownie. – I tylko kilka procent udziału Euronea Med należy do spółki skarbu państwa, reszta to prywatne firmy ze skomplikowaną siatką powiązań i zależności. Normalny człowiek za Chiny się w tym nie połapie.

– No ale chyba takie duże inwestycje właśnie tak mają? – zapytałem niepewnie.

– Pewnie tak – stwierdził Piotr. – Ale przecież właśnie o to chodziło Nowogrodzkiemu, żeby biznes ten był jasny i przejrzysty, aby inwestorów było jak najmniej i żeby wszystko zostawało w Polsce. A mamy tutaj Luksemburg, Cypr i Kajmany. Jest tu niezły bałagan i na moje oko nie jest to w pełni transparentne. W takiej skomplikowanej siatce firm można praktycznie ukryć każdą rzecz i wyprać każde pieniądze.

– To jak się do nich dobrać?

– Nasz komendant dostał te wszystkie informacje i pewnie już zrobił z nich dalszy użytek. To tylko kwestia czasu, aż coś na nich znajdą. Teraz najważniejsze, to dostać się do profesora i z nim szczerze porozmawiać. Nakłonić do współpracy i wyjawienia prawdy. To jest klucz do większości zagadek.

Prychnąłem zawiedziony.

– To jest chyba najtrudniejsze zadanie, jakie mogłeś wymyślić. – Spojrzałem z powątpiewaniem na komisarza, który z kolei wyglądał na pewnego

siebie. Zbyt pewnego siebie. – Przecież ja już byłem tam w środku i nawet z nim rozmawiałem, pamiętasz? I nic nie wskórałem.

– Nie doceniasz mnie chyba. – Puścił do mnie porozumiewawcze oko. – Myślisz, że policja nie ma żadnych pomysłów i metod na taką sytuację? Radek, my mamy dziesiątki lat doświadczenia w docieraniu do ludzi i przełamywaniu ich oporu. Gwarantuję ci, że jutro dotrę do Nowogrodzkiego i przekonam go, żeby ułatwił nam śledztwo. Powie mi wszystko, co chcemy wiedzieć, i w końcu wyjaśni się kilka spraw. Poza tym wsypie kierownictwo firmy i wreszcie prawda wyjdzie na jaw. Jeśli rzeczywiście robią tam biznes na narkotykach, to ktoś nieźle za to beknie.

Zamyśliłem się nad tym, co powiedział Piotr, ale jakoś nie byłem do tego przekonany. Coś mi bardzo nie pasowało w tym planie.

– A co z wyjaśnieniem śmierci Seweryna, policjantów i Marty?

– Spokojnie, wszystkiego się dowiemy. Z jednej strony zadziała komendant, z drugiej ja. Wyciągniemy informacje i połączymy fakty. Jeszcze do tego pomoże nam Robert i wszystko się wyjaśni. Łącznie z tajemnicą tych Goldbergów.

Ziewnąłem przeciągle i z tęsknotą spojrzałem na łóżko. Piotr zauważył to i pokazał palcem na drzwi drugiego pokoju połączonego apartamentu.

– Mam pomysł – zaczął. – Zostań tu na noc, bo tak będzie bezpieczniej. Cholera wie, czy cię nie szukają w tym ośrodku nad jeziorem, lepiej nie ryzykować. Mamy tutaj dwa pokoje. Ja muszę się jeszcze z kimś spotkać w tematach operacyjnych dotyczących Nowogrodzkiego. – Spojrzał na zegarek. – Za godzinę powinienem być z powrotem. Ty nigdzie nie wychodź, a najlepiej idź już spać. Rano się spotkamy i zjemy śniadanie.

Chciałem zaprotestować, ale zdecydowana mina policjanta mnie powstrzymała. Poza tym byłem już tak zmęczony, że i tak nie chciałoby mi się teraz jechać do domku nad jeziorem. A wzmianka o możliwym niebezpieczeństwie ze strony przestępców czekających tam na mnie zrobiła swoje.

– Kurczę – zacząłem.

– Co takiego?

– Nie mam telefonu, bo mój jest zepsuty. Muszę koniecznie zadzwonić do narzeczonej. Pewnie już zgłosiła na policję moje zaginięcie.

Piotr sięgnął do małego plecaka. Wyjął ze środka telefon i mi go rzucił.

– Masz mój zapasowy. Na razie nie będzie mi potrzebny.

– Dzięki, Piotr.

– To widzimy się o ósmej na śniadaniu. – Skierował się w stronę drzwi. – Możesz się spokojnie zamknąć po swojej stronie, tutaj masz klucz. – Wskazał na stolik i wyszedł.

* * *

Rozmowa z Anią nie była miła. Oczywiście zaniepokojona moim milczeniem poruszyła niebo i ziemię, żeby się czegoś dowiedzieć, i tak, jak myślałem, zadzwoniła już do biura banku. Na szczęście nie powiedzieli jej, że wziąłem urlop, bo ochrona danych osobowych działała już sprawnie od ładnych paru lat, więc sekretarka zbyła ją szybko, że nie wolno im udzielać żadnych informacji o pracownikach firmy osobom postronnym. Nie pomogło tłumaczenie, że dzwoni zaniepokojona narzeczonej. Ania nie знаła bliżej nikogo z mojej pracy i nie mogła skorzystać z żadnego zaufanego kontaktu, więc na razie mogłem podtrzymać moje oszustwo.

Musiałem długo i pokrętnie tłumaczyć, że popsuł mi się telefon i nie mogłem zadzwonić. Sam nie uwierzyłbym w coś takiego i myślę, że ona też nie uwierzyła. Mimo to zapewniłem ją, że na pewno wrócę do domu na weekend, że już kończę ten ważny projekt i wdrożenie, i że z nawiązką wynagrodzę jej moją długą nieobecność.

Potem jeszcze sprawdziłem, co u mamy i odetchnąłem z ulgą, że jakoś na razie ogarnąłem temat rodziny. Miałem więcej szczęścia niż rozumu. Dziękowałem losowi, że Ania nie zadzwoniła do Tomka, by zapytać, czy przypadkiem nie maczał palców w mojej nieobecności. A może dzwoniła, tylko nie udało jej się porozmawiać? W każdym razie na dziś mogłem zakończyć dzień i spokojnie pójść spać.

Rozdział 32

Spałem tak głęboko, że nawet nie usłyszałem, kiedy Piotr wrócił późnym wieczorem do pokoju obok. Przebudziłem się dopiero, gdy za oknem było już jasno, więc spojrzałem nieprzytomnie na zegarek. Była szósta rano, pomyślałem zatem, że warto przespać się jeszcze z godzinę, ale coś mnie zaniepokoiło. Sam nie wiedziałem, co to takiego, jednak poczułem się nieswojo. Nie potrafiłem powiedzieć, czy był to niepokojący dźwięk za oknem, czy po prostu jakaś podświadoma iskra lęku i niepewności.

Wstałem z łóżka i podszedłem do okna, które wychodziło nie na front, a na tył hotelu. Wyrząłem ostrożnie na zewnątrz i nagle poczułem falę mrozu, która przeszła wzdłuż mojego kręgosłupa. Przez chwilę myślałem, że to, co widzę, wcale mnie nie dotyczy, a raczej nie dotyczy nas obu, mnie i Piotrka, ale po dramatycznych przejściach z ostatnich miesięcy niestety ten obrazek, który teraz widziałem, pasował mi jak ulał do obecnej sytuacji. Musiałem zaakceptować brutalną prawdę i pogodzić się z tym, co widzę.

Właśnie byłem świadkiem, jak na parking zaplecza budynku podjeżdżają dwa duże, czarne i nieoznakowane samochody, a ze środka szybko wysiadają uzbrojeni po zęby antyterrorysty wyposażeni w hełmy, kamizelki kuloodporne i karabinki automatyczne.

Od strony pasażera kierowcy jednego z samochodów energicznie wyskoczył człowiek także ubrany w czarny kombinezon bojowy i sporych rozmiarów kamizelkę kuloodporną, ale bez hełmu. W dłoni trzymał pistolet. Na plecach tego człowieka widniał napis. Trzy białe, duże, widoczne z daleka litery.

ABW.

Cofnąłem się odruchowo od okna, bo wydało mi się, że mężczyzna spod ciemnych okularów spojrział prosto na mnie, ale mogło to być tylko wrażenie. Stałem tak przez chwilę kompletnie zaskoczony i osłupiały. Widok tej uzbrojonej grupy dosłownie mnie poraził. Nie mogłem się poruszyć, a serce waliło mi jak młot.

Nagle zdałem sobie sprawę, że muszę koniecznie obudzić Piotrka! Trzeba jak najszybciej zwiewać z tego hotelu!

Rozbudziłem się do reszty i zrobiłem krok w stronę dzielących nas drzwi i już miałem zamiar sięgnąć do klamki, kiedy z pokoju obok doszedł mnie łomot wyważanych siłą drzwi, tupot ciężkich buciorów ludzi wpadających do pomieszczenia oraz ich potępieńcze wrzaski.

Przywarłem przerażony do ściany i nasłuchiwałem, zastanawiając się panicznie, czy mają zamiar także przyjść po mnie. Antyterrorysty wrzeszczeli typowe polecenia: „Leżeć!”, „Jesteś zatrzymany!”, a Piotrek zdołał tylko odkrzyknąć przyduszonym głosem: „Jestem oficerem policji!”. W odpowiedzi poleciało tylko: „Zamknij się!”, a potem: „Czysto!”.

Sparalizowany ze strachu czekałem w napięciu na wywalenie drzwi dzielących pokoje, ale mijały długie sekundy i nic takiego się nie wydarzyło. Słyszałem tylko szuranie przestawianych wściekle mebli. Po chwili do moich uszu doszedł rozkaz: „Podnoś się!” oraz: „Idziemy!”, po czym cała grupa hałaśliwie wyszła z apartamentu.

Nie mogłem się ruszyć, po prostu bałem się choćby drgnąć palcem. Byłem przekonany, że jeśli zrobię choć minimalny ruch albo chociażby głośniej przełknę ślinę, to za chwilę wpadnie tu kilku uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy, którzy czekają za ścianą, i powalą mnie na ziemię, wykręcając do tyłu ręce i wrzeszcząc na mnie, jak na zbira.

Nie wiem, ile minęło czasu, ale w końcu powoli odsunąłem się od ściany i spojrzałem przez okno. Dwa duże samochody ABW właśnie odjeżdżały z piskiem opon, zabierając Piotrka ze sobą.

Upiekło mi się. Najwidoczniej nie wiedzieli, że jestem tuż obok, bo w innym wypadku zgarnęliby także i mnie.

Usiadłem na łóżku i złapałem się za głowę. Dlaczego znowu pokrzyżowali nam plany? Czyżby ci ludzie byli aż tak wszechmogący, że mogli bezkarnie wykorzystywać służby mające przecież ścigać bandytów, a nie uczciwych policjantów?

Przypomniałem sobie, jak napadli z samego rana na mieszkanie Tomka, i sam odpowiedziałem sobie na moje pytanie. Tak, oni mogli wszystko. To, co przed chwilą widziałem, najlepiej pokazywało ich możliwości i zasięg wpływów.

Całe szczęście, że nie wiedzieli o mnie, bo podzieliłbym los komisarza Wrony i siedziałbym teraz skuty kajdankami w jednym z tych samochodów wieziony Bóg wie gdzie.

Nagle opanowała mnie nowa fala paniki. A co, jeśli się dowiedzą, że jednak jestem w tym hotelu i zaraz po mnie wrócą? Przecież to tylko kwestia czasu.

Zerwałem się na równe nogi, bo musiałem jak najszybciej uciekać z tego budynku.

Ubrałem się w popłochu i delikatnie wyjrzałem na korytarz. Na szczęście było pusto. Poszedłem prosto do wyjścia awaryjnego i zbiegłem rzadko używanymi schodami na sam dół. Zachowując maksymalną czujność, wyszedłem z budynku i czym prędzej oddaliłem się od tego pechowego miejsca.

* * *

Wykorzystując zapasowy telefon Piotrka, zadzwoniłem do Tomka, ale nie odebrał. Potem do Roberta. Z takim samym efektem.

Czułem się kompletnie zdruzgotany i przybity.

Zacząłem chodzić bezmyślnie po mieście, wałęsając się bez celu. Zastanawiałem się, co teraz począć. Czy wrócić już do domu? Odpuścić sobie i czekać na informacje od Piotrka Wrony? Miałem już tego po dziurki w nosie. W ciągu ostatnich dni tyle się wydarzyło, że byłem u kresu sił psychicznych. Poza tym był już piątek i aż się prosiło, żebym wreszcie zostawił

tę cholerną sprawę i wrócił do swojego życia. Sam nie miałem najmniejszych szans, żeby cokolwiek tutaj dalej działać.

Najgorsze było to, że Piotrka zabrało ABW i że tego dnia na pewno już nic nowego nie miało szansy się wydarzyć, o ile w ogóle pan komisarz wróci kiedykolwiek do tej historii.

Zdecydowałem, że wezmę resztę swoich rzeczy z domku nad jeziorem i wrócę do Warszawy.

Definitywnie miałem tego dosyć.

Poszedłem po samochód zaparkowany przed fabryką i pojechałem do ośrodka turystycznego.

Gdy dojechałem do celu, zgasłem silnik auta i ruszyłem do mojego domku.

Na tym etapie wydarzeń i po tych wszystkich przeżyciach już nawet niespecjalnie zdziwiło mnie to, że drzwi były otwarte, a w środku panował bajzel. Ktoś tutaj był i wywrócił wewnątrz do góry nogami. A więc jednak przyszli po mnie, a skoro mnie nie zastali, to na wszelki wypadek przetrząsnęli domek w poszukiwaniu jakichś rzeczy, które mogłyby im zaszkodzić. Na szczęście i tak nic wartościowego tu nie trzymałem, a na pewno nie miałem tu niczego, co związane było z tematem fabryki. W tym momencie było mi już kompletnie obojętne, co tutaj się wydarzyło, więc zrezygnowany zacząłem zbierać swoje porozrzucane rzeczy.

Wszedłem jeszcze tylko na chwilę do łazienki po kosmetyki. Te sukiny nie oszczędziły nawet przyborów do mycia i praktycznie zniszczyły mój cały zestaw podróżny, rozpruwając czymś ostrym materiał kosmetyczki. Wkurzony, wyrzuciłem z hukiem uszkodzony przybornik do kosza i wyszedłem do pokoju. A właściwie chciałem wyjść, bo nagle stanąłem jak wryty.

Rozdział 33

Zobaczyłem tę twarz, tak znajomą przed laty i tak kiedyś mi bliską. Wspólna nauka, imprezy, piękny okres mojego życia. Potem miała miejsce śmierć Seweryna i nasze drogi się rozeszły. A teraz on był tutaj, w tym miejscu, gdzie wydarzyło się już tyle złych rzeczy i gdzie wciąż było tyle nierozwiązanych zagadek.

„Wszystkie drogi prowadzą do Brodnicy” – pomyślałem z ironią.

Mężczyzna stał bez ruchu, wpatrując się we mnie, a ja, nie wiedząc, jakie ma zamiary, sparaliżowany tkwiłem na progu łazienki. Jedną rękę oparłem na futrynie, a drugą trzymałem klamkę, gotowy do samoobrony, gdyby zdecydował się mnie zaatakować. Szybko przeanalizowałem, że jeśli zbliżyłby się do mnie, wszystko, co mogłem zrobić, to trzasnąć mocno drzwiami, tak, by go uderzyć lub spowodować zachwianie równowagi. Żałowałem, że nie mam pod ręką żadnego kija. A przed chwilą przecież wywaliłem do kosza sprawny jeszcze chyba dezodorant w sprayu, którym mógłbym mu prysnąć prosto w oczy i na chwilę obezwładnić. Potem mógłbym po prostu uciec. Wsiąść do samochodu i odjechać. I nigdy więcej tu nie wracać.

Nagle przez myśl mi przeszło, że być może to właśnie on zrobił mi ten bajzel w domku i być może czekał, aż się zjawię, by mnie wykończyć. Będąc na usługach tamtych i nie mając najmniejszych skrupułów, mógłby zarżnąć mnie z zimną krwią. Prawdopodobnie przecież już kiedyś zabił. Seweryna i być może Martę...

Zrobił pół kroku do przodu i wyciągnął rękę w moim kierunku, a ja odruchowo się spiąłem, gotowy do odparowania ciosu. Poczulem, jak nagły

skok adrenaliny zwiększa moją czujność i gotowość do walki. W ustach pojawił się metaliczny smak, a moje zmysły się wyostrzyły.

Dzielił nas bardzo niewielki dystans, były to może ze dwa metry.

– Nie zbliżaj się do mnie – wycedziłem przez zęby.

Zobaczyłem napięcie na jego twarzy i choć w środku domku było dość ciemno, to dojrzałem malujące się emocje. Czas nieprzyjemnie stanął w miejscu. Powietrze zgęstniało. Ja byłem maksymalnie spięty i gotowy do starcia.

On zrobił kolejne pół kroku w moim kierunku.

– Mówię ci, nie zbliżaj się do mnie! – wrzasnąłem. – Ty morderco!

Te słowa wreszcie podziałały na Michała, bo się zatrzymał się i spojrzał na mnie spode łba.

– Nic nie rozumiesz... – zaczął grobowym głosem, ale nie pozwoliłem mu dokończyć.

– Rozumiem doskonale! – krzyknąłem. – Zabiłeś już Seweryna! Martę pewnie też masz na sumieniu!

Nagle twarz Michała się zmieniła. Niemalże rozdziawił usta w niemym zdziwieniu.

– No co ty, Radek... – wydukał. – Przecież ja...

– Zostań tam, gdzie jesteś! – poleciłem mu. – Nie zbliżaj się!

– No weź przestań, przecież ja chcę ci pomóc... – powiedział to takim tonem, że zupełnie zbił mnie z tropu.

Teraz przyjrzałem się dokładniej twarzy Michała i dostrzegłem więcej szczegółów niż na początku. Był zmęczony i jakiś taki niepewny. Jego twarz zaorana zmarszczkami i pełna troski. Coś tu było nie tak.

– Radek... pogadajmy. Wiem, co się stało. Chcę pomóc. Ja wiem o wielu rzeczach, które oni zrobili...

– Nie zamydlaj mi oczu! – przerwałem mu gwałtownie. – Zabiłeś Seweryna, więc wcale nie jesteś lepszy od nich.

– No co ty! Radek! Ja nikogo nie zabiłem! Skąd ci to przyszło do głowy???

Wciąż staliśmy w poprzednich pozycjach i zaczynała mi już drętwieć ręka, którą kurczowo zaciskałem na klamce, myśląc, że to mi w czymś pomoże. Zaczynałem wątpić w to, w co do tej pory wierzyłem i co sobie mówiłem.

Nagle Michał zrobił minę, jakby coś zrozumiał, bo pokiwał smutno głową.

– No tak – westchnął głęboko. – Ta suka Eliza naopowiadała ci bzdur o mnie. Że niby otrułem Seweryna na imprezie? Co za dziwka!

– Uważaj na to, jak się o niej wyrażasz, draniu!

Michał podniósł obie dłonie w przeproszającym geście.

– Okej, przepraszam, zagalopowałem się. Ale to nieprawda, co ci o mnie mówiła. Nikogo nigdy nie zabiłem. Zwłaszcza Seweryna.

– To co to był za proszek, o którym rozmawiałeś z Krzyśkiem?!

Michał przewrócił oczami z rozczarowania.

– To był zwykły koks. Dopalacz. Mieliśmy wciągnąć na imprezie, żeby było weselej. Nic więcej. Zresztą... – zawahał się – ...miałem wam wszystkim zaproponować po działce, tyle że nie zdążyłem, bo... Seweryn nam umarł...

Popatrzyłem z uwagą na Michała.

Coś we mnie pękło. Całe przekonanie, że to on zabił, że zapoczątkował te wszystkie złe rzeczy i wydarzenia, że jest winien śmierci naszego przyjaciela, ulotniło się nagle, jakby go nigdy nie było. Puściłem powoli klamkę i podszedłem do kolegi ze studiów. Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Michał – powiedziałem twardo. – Przysięgasz, że nie miałeś nic wspólnego ze śmiercią Seweryna? – Zabrzmiało to trochę głupio i jakoś tak dziecinnie, ale w tej chwili nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Kolega spojrzał na mnie smutno. Pokiwał powoli głową.

– Przysięgnę na wszystko, co tylko chcesz. Nie miałem z tym nic wspólnego. To były zwykłe prochy. Coś jak amfetamina, tylko gorszej jakości. I dużo tańsze.

Potarłem twarz dłońmi i przeszedłem do pokoju. Klapnąłem ciężko na fotel. Z jednej strony poczułem ulgę, że to nie Michał to zrobił, ale z drugiej znów nie wiedziałem, co o tym myśleć.

– A to, co mówiła Eliza, to bzdury. – Michał podszedł do drugiego fotela i usiadł obok mnie. – Wiem, że kiedyś byliście blisko, a ja... kiedyś po pijaku nagadałem o niej jakichś głupot, więc miała do mnie pretensje. I w dodatku nie akceptowała tego, że handluję prochami. Była na mnie cięta i to wszystko. A w ciągu tych wszystkich lat utwierdziła się w przekonaniu, że to ja to zrobiłem. Dla zysku czy z zemsty, sam nie wiem...

– No dobrze, wierzę ci – przerwałem mu zmęczonym głosem. – Przepraszam za moją reakcję, ale sam widzisz. Ktoś tutaj był i czegoś u mnie szukał. A ja naprawdę sporo ostatnio przeszedłem. I już się ledwo trzymam.

Michał pokiwał ze zrozumieniem głową. Rozejrzał się dookoła.

– Miałeś szczęście, że cię tu wtedy nie było, bo... Mógłbyś już być martwy.

Spiorunowałem go spojrzeniem.

– No co ty nie powiesz? – zadrwiłem. – Naprawdę?

– Sorry, Radek. To było głupie.

– Ale... Co ty tutaj właściwie robisz? I jak mnie znalazłeś? Musisz być jakoś zamieszany w ten proceder i nie wmówisz mi, że tak nie jest. Współpracujesz z nimi?

– To nie jest tak, jak myślisz...

– No to jak?! – przerwałem mu bezceremonialnie. – Mów!

– Źle mnie osądzasz... Ja nigdy...

– Kurwa mać! – Aż wstałem, wkurzony. – Kilka osób nie żyje, ja o mały włos też bym już wachał kwiatki od spodu, mój kuzyn z policji został zmieszany z błotem, w fabryce leków produkuje się narkotyki, a ty mi mówisz, że źle cię osądzam! Wybacz, ale na tym etapie już wszystko jest możliwe!

Michał zwiesił głowę.

– Radek, mi też się oberwało. Ściga mnie policja, którą na mnie napuścili. Cały czas muszę się ukrywać. Mi też nie odpuszczają. Uwierz mi, ja też

jestem ofiarą! Musisz mnie zrozumieć!

Nagle złość mi przeszła i bezsilny opadłem na fotel.

– No to opowiedz mi wszystko po kolei. Chyba już nie masz nic do stracenia, co?

Michał odetchnął głęboko. A po chwili zacząć wyjaśniać:

– Przede wszystkim musisz wiedzieć, że to są bardzo wpływowi ludzie, dla których nie ma żadnych barier. Jeśli ktoś im nadeptnie na odcisk, nie odpuszczą. Jeśli ktoś zagraża ich interesom, zabiją z zimną krwią. Jeśli ktoś się za bardzo zbliży do prawdy, którą skrzętnie ukrywają, pozbędą się intruza i zatrą wszelkie ślady. Z nimi nie można wygrać.

– O kim ty mówisz do cholery? Kim są „oni”?

Michał wbił we mnie przekrwione oczy.

– Duży biznes rządzący tym krajem. Grube ryby, dla których liczą się tylko pieniądze. Szychy, które opływają w takie bogactwa, że nawet sobie nie wyobrażasz. Ludzie, którzy mają w kieszeni polityków i de facto to oni pociągają za wszystkie sznurki w tym skorumpowanym kraju.

– Mów dalej – zachęciłem Michała do dalszych zwierzeń.

– Zrobiłem dużo głupstw w moim życiu i nie twierdzę, że jestem czysty jak łąza. Owszem, handel prochami i wchodzenie coraz głębiej w narkobiznes stały się dla mnie jedyną ścieżką życiową, jaką obrałem. Dzisiaj wcale nie jestem z tego dumny i gdybym tylko miał drugą szansę, to wybrałbym inaczej. Tym bardziej że ostatecznie wylądowałem bez kasy, oszukany przez współników i ścigany przez policję. Nawet te grube ryby mnie nie ochronią, choć zrobiłem dla nich bardzo dużo.

– No ale masz chyba jakiegoś krewnego w policji? – zapytałem. – Ten, co pomógł ci w końcu wyjść z aresztu?

– Ach. – Michał machnął ręką. – Zrobił to już ostatni raz. Mój stryjek faktycznie jest naczelnikiem wydziału w jednej z komend rejonowych i ma spore wpływy. Ale wkurzony po raz kolejny moimi kłopotami z prawem w końcu oznajmił, że więcej mnie nie będzie wyciągał z mamra. Ma mnie

za wykolejńca, przestępcę i zakałę rodziny. Skończyła się pomoc wuja. Choć dzięki niemu wciąż żyję...

– Ale co ty masz wspólnego z tą fabryką leków? – drążyłem temat. – Czy to nie ty byłeś tam dwa dni temu, jak mnie przesłuchiwali? Byłem naszprycowany i majaczyłem, ale wydawało mi się, że widziałem twoją twarz.

Michał popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– No to faktycznie musieli cię niezłe wziąć w obroty, skoro mnie widziałeś. – Popatrzył na mnie krzywo. – Oczywiście, że mnie tam nie było. W życiu nie byłem w tej fabryce. Naprawdę. Ale co oni ci podali? Jak się czuleś?

– Nie mam pojęcia, co to było... Było jakoś tak nierealnie, rozmazany obraz, dźwięk docierający z opóźnieniem, w ogóle nie czułem ciała. Nawet nie pamiętam, co mówiłem, kiedy zadawali mi pytania. Miałem wrażenie, że zapadam się w jakąś miękką poduchę. Wtedy miałem wizję, widziałem ciebie.

– Podali ci mocne serum prawdy. Straszne świństwo. Bezwiednie odpowiadasz na każde pytanie, a potem tego nie pamiętasz. Później masz głęboki zjazd.

Popatrzyłem na Michała z wyrzutem.

– Widzę, że się na tym znasz...

– Ach... – zmieszał się wyraźnie. – No nieważne.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową.

– Michał, jak ty się w to wszystko wplątałeś? Dlaczego stałeś się przestępcą? – zapytałem niemal z troską.

Wypuścił głośno powietrze, potem opadł na oparcie fotela i wbił wzrok w sufit.

– Na początku to była tylko zabawa. Jakieś niewinne dopalacze zażywane na imprezach, żeby było weselej i żeby się wyszaleć. Traktowałem to bardzo lekko, prawie jak alkohol i papierosy. Nigdy sam się nie wciągnąłem na poważnie w branżę narkotyków, bo zawsze miałem silną wolę. Dopiero pod koniec studiów przyszło mi do głowy, że przecież to może być doskonała okazja do zarobku. Taki tam dodatkowy dochód, żeby mieć na ciuchy

i imprezy – zamilkł na chwilę, jakby przypominał sobie studenckie czasy i pierwsze kroki, jakie stawiał w narkotykowym biznesie. – Potem wkręciłem się bardziej – mówił dalej. – Jak tylko poczułem, że kasa płynie szerokim strumieniem, wszedłem w to głębiej. O ile na początku bawiłem się w to tylko od czasu do czasu, sprzedając różne środki dopalające bliższym i dalszym znajomym, to w kolejnym etapie skoncentrowałem się na sprzedaży hurtowej. Chętnych do pracy w roli dilerów było dużo, bo można było zarobić naprawdę spore pieniądze, więc dość szybko zbudowałem sobie siatkę dystrybucji. Początkowo były to lekkie środki, ale potem wszedłem już w ciężki asortyment: koka, kwas, benzo, LSD, amfa. Można było u mnie dostać niemalże wszystko. Rozkręciłem naprawdę niezły biznes.

– Nieprawdopodobne – wtrąciłem. – I nie bałeś się, że działając w takim nielegalnym interesie, ocierasz się o śmiertelne niebezpieczeństwo?

– Bardzo duże pieniądze, jakie zarabiałem, skutecznie maskowały strach przed zagrożeniem życia i poczucie winy z powodu tego, że robię coś nielegalnego i niemoralnego. Można powiedzieć, że byłem zaślepiony sukcesem i fortuną. Nie byłem wtedy w stanie obiektywnie ocenić rzeczywistości i przestać tego robić. Dodatkowo... – zawiesił na chwilę głos. – Nie było blisko mnie żadnej szczerze oddanej mi osoby, która mogłaby mnie z tego wyciągnąć. Dookoła sami fałszywi przyjaciele korzystający z tego, że miałem pieniądze i pewnego rodzaju władzę. Imprezowali ze mną, naciągali mnie na drogie zakupy, rozbijali się ze mną po świecie. – Michał smutno popatrzył na mnie, jakby prosił o pocieszenie. Nie byłem jednak w stanie w tej chwili wykrzesać z siebie żadnych pozytywnych słów.

– Ale skąd brałeś towar? – zapytałem, choć już zacząłem podejrzewać, jakie było źródło dostaw.

– Jak tylko mój interes nabrał rozpędu i zaczął generować duże zyski, sami się do mnie zgłosili. Osiągnąłem rozgłos w Warszawie, więc to była tylko kwestia czasu, aż grube ryby narkobiznesu przyjdą do mnie z ofertą. Ci ludzie, już wtedy obrzydliwie bogaci i opływający w największe luksusy, opętani potworną żądzą pieniądza, chcieli więcej i więcej. Nie wystarczało im to, co już osiągnęli legalnymi albo szemranymi biznesami, potrzebowali

nowych dochodów i nowych wyzwań. A narkotyki stanowiły bardzo łatwe i szybkie źródło. Zaproponowali mi stałe zaopatrzenie i ochronę. Zająłem się hurtem i obracałem już ogromnymi dostawami. Wszedłem na kolejny, wyższy poziom wtajemniczenia. Teraz już nie było odwrotu.

– Co to za ludzie? – zapytałem.

– Już ci mówiłem, że to najgrubsze ryby biznesu w Polsce. Mocni gracze, szychy umocowane politycznie. Mówią ci coś nazwiska Prokop, Bonarczyk albo Basiński? To właśnie oni w praktyce rządzą fabryką leków. A w tajemnicy tłuką ten biały proszek, który tam odkryłeś.

– No właśnie – ożywiłem się. – Czyli wiesz coś o tym?

Michał się zachnął.

– Oczywiście! Przecież sam go sprzedawałem. To jeden z najbardziej rewolucyjnych środków pobudzających. Można powiedzieć, że to dzieło sztuki chemików. Takiego narkotyku wcześniej nie było w obiegu. Tak silnie działającego i tak szybko uzależniającego. Wynaleźli go niedawno, dosłownie kilkanaście miesięcy temu.

– Spróbowałem dosłownie szczyptę i wiem, jak to działa – skomentowałem. – Dosłownie otwiera człowieka i sprawia, że czuje się nieśmiertelny i wszechmocny. Z jednej strony wspaniałe i motywujące do działania uczucie, ale z drugiej przerażające.

– Dokładnie tak! Jak już raz spróbujesz, to chcesz więcej. I o to im właśnie chodzi. Żeby maksymalnie uzależnić ludzi i zapewnić sobie stałe źródło kasy. Interes życia.

Pokiwałem w zdumieniu głową i potarłem zmęczone oczy.

– Ale jakoś nie mogę pojąć – powiedziałem w końcu – dlaczego, mając w rękach fabrykę leku na nowotwór, którego pożąda cały świat i który na pewno przynosi krociowe zyski, ci ludzie, jak to powiedziałaś, te szychy i grube ryby biznesu, weszli w taki nielegalny interes? I to jeszcze produkują ten towar niemalże w świetle dnia, specjalnie się z tym nie kryjąc. Jak to jest w ogóle możliwe?

Mina Michała mówiła jasno, że tym pytaniem udowodniłem, jaki jestem naiwny i nieświadomy sytuacji.

– Radek, ci ludzie sprzedaliby swoją matkę, żeby dodatkowo zarobić i dołożyć kolejnych kilka zer do rachunku. Oni mają wille w różnych częściach świata, jachty, helikoptery i prywatne odrzutowce. Ich chciwość jest niepohamowana. Odkryli tu eldorado i poczuli, że mogą wszystko. Przekupili polityków i policję. Czują się bezkarni i dlatego im się wydaje, że kompletnie nic im nie grozi. Sam wiesz, że eliminują najmniejsze zagrożenie, chociażby... Martę, która była blisko odkrycia prawdy...

Na dźwięk imienia naszej koleżanki, która przyplaciła życiem próbę rozszyfrowania układanki, aż się wzdrygnąłem.

– A dlaczego produkują narkotyk w fabryce leków? – Michał zaśmiał się gorzko. – Wiesz, że pod latarnią jest najciemniej? To jest przecież idealna przykrywka.

– Ale jak zmusili profesora Nowogrodzkiego do współpracy? – Chciałem wykorzystać okazję i wypytać Michała o wszystkie szczegóły. – Założę się, że ten człowiek pomaga im w badaniach nad narkotykami. Wygląda jak więzień.

Michał zamyślił się i wzruszył ramionami.

– Nie wiem, Radek. Muszą coś na niego mieć. Coś naprawdę mocnego.

– A ty? – zwróciłem się do dawnego przyjaciela. – Jak to się stało, że popadłeś w niełaskę?

– Straciłem czujność i tyle – skwitował krótko. – Tak się zatraciłem w bogactwie i przekonaniu, że też jestem nie do ruszenia, że dałem się wyrolować.

– Jak to? Przez te szychy?

– Nie... przez otaczających mnie pseudoprzyjaciół. Tak mną zaczęli kręcić, że wydoili ze mnie kasę, a potem sprzedali gliniarzom. Najpierw jedno zatrzymanie, potem drugie. Wujek policjant na początku ratował mnie z oparów, ale w końcu się wkurzył. Kumple zniknęli, zgarnęli całą kasę, a grube ryby się ode mnie odwróciły. Znaleźli innych hurtowników, a mnie

zostawili na pożarcie. Do tej pory mnie nie odstrzelili, bo mam krewnego w policji. Pewnie wystarczy im, że muszę uciekać i się ukrywać. Napuścili na mnie gliniarzy i teraz pewnie śmieją się ze mnie.

– Przecież możesz zeznawać i ich obciążyć – zaproponowałem.

– Radek! – Michał zaśmiał się szyderczo. – W jakim ty świecie żyjesz? Im nikt nic nie robi. A zwłaszcza taka płotka jak ja...

Westchnąłem ciężko i przymknąłem oczy.

– I pomyśleć, że my wszyscy byliśmy zgraną paczką przyjaciół, którzy mieli przed sobą całe życie i otwartą przyszłość. Mogliśmy osiągnąć wszystko. A wszystko zepsuliśmy. Seweryn i Marta nie żyją, ty jesteś ściganym przez prawo dilerem narkotyków, ja po uszy tkwię w tym bagnie. Tylko Eliza jakoś sobie radzi...

– No i Krzysiek i Aneta – dopowiedział Michał. – Zapomniałeś o nich.

Uniosłem w zdziwieniu brwi.

– No właśnie. Ta dwójka. Opływają w dostatki. Dorobili się niezłej fortuny. To bardzo dziwne, że wbili się w tak młodym wieku w taki duży biznes. Michał, oni są w Radzie Nadzorczej tej firmy od leków, Euronea Med! Jak oni to zrobili?

– To jedna z najbardziej enigmatycznych spraw. – Michał zniżył głos, jakby się obawiał, że ktoś nas może podsłuchiwać. – Nawet ja nie wiem, co oni takiego zrobili, że dochrapali się takiej pozycji i takich pieniędzy. Przez lata nie miałem z nimi kontaktu i tylko przez przypadek się dowiedziałem, że państwo Goldbergowie to nasi dawni Krzysiek i Aneta.

– Myślałem, że mi pomożesz to zrozumieć i opowiesz, jak oni to zrobili – powiedziałem rozczarowany.

– Niestety, stary. – Michał pokręcił głową. – Ja też nie wiem wszystkiego. Są takie tajemnice, których chyba nigdy nie poznamy. Chyba że... – przerwał i spojrzął na mnie w dziwny sposób.

– Chyba że co?

– Chyba że ktoś oważy się zrobić coś bardzo niebezpiecznego. Coś, co może odpowiedzieć na wszystkie pytania i być może dzięki temu pozwoli

poznać prawdę. Dlaczego zginął Seweryn? Kto zabił Martę? I co takiego mają na Nowogrodzkiego, że współpracuje z przestępcami?

– O czym ty mówisz, do cholery? – zachnąłem się.

Michał spojrział na mnie bardzo poważnie i powiedział coś takiego, że oblał mnie zimny pot.

– O wejściu do willi Goldbergów i poszukaniu odpowiedzi na te pytania
– wyjaśnił z grobową miną.

Rozdział 34

Popatrzyłem na Michała z politowaniem. Powiedział coś takiego, co nie tylko brzmiało nieprawdopodobnie, ale tak bardzo naiwnie, że wręcz parsknąłem śmiechem.

Michał się jednak nie roześmiał. Widziałem, że mówi serio, ale nie do końca jeszcze rozumiałem, do czego prowadzi ta rozmowa.

– Chyba cię pogięło – prychnąłem. – Widziałeś, jak oni mieszkają? To prawdziwa forteca! Mur na trzy metry, ochroniarze, wszędzie monitoring, psy... Człowieku, tam się nie da wejść.

Mój rozmówca zrobił tajemniczą minę, wstał z fotela i zbliżył się do mnie.

– A gdybym ci powiedział, że owszem, da się tam wejść? I to nawet jeszcze dzisiaj?

– To odpowiedziałbym ci, że albo coś ściemniasz, albo cię pokręciło – odparowałem.

Michał uśmiechnął się zagadkowo i machnął mi przed oczami jakimś kawałkiem papieru.

– Co to jest? – zapytałem zdziwiony.

– Coś, co daje możliwość wejścia na teren posesji i porozglądania się w środku, żeby zobaczyć, jakież to tajemnice tam skrywają. – Chłopak zamilkł i tylko patrzył na mnie z jakąś taką satysfakcją, że udało mu się mnie zaintrygować.

– Powiedz, co to jest, do diabła, i nie baw się ze mną w ciuciubabkę – powiedziałem wkurzony.

– To jest... zestaw kodów deaktywujących alarmy i monitoring. Hasło umożliwiające wejście do ich domu. Wszystko sterowane ze smartfona.

Dzięki temu można spokojnie wejść na teren i się tam rozejrzeć.

– Skąd to masz? – Aż otworzyłem usta ze zdziwienia.

– Od kogoś... zresztą nieważne. Ważne jest to, że to zadziała. Tylko trzeba to zrobić dzisiaj.

– Dlaczego akurat dzisiaj?

– Bo dziś przez jakiś czas nikogo nie będzie w willi. – Znow zauważyłem triumfalną minę Michała. – Krzysiek wyjeżdża o dziesiątej i wraca przed szesnastą. Tak jest codziennie. Nigdy nie robi wyjątków. Nawet w piątki.

– No ale są ochroniarze i psy – wydałem usta. – Trzeba być samobójcą, żeby spróbować wdrzeć się do środka pod ich nosem. Znasz jakiegoś Mac-Gyvera albo Bonda?

– Nie doceniasz mnie, Radek. – Michał wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Oczywiście, że wiem o strażnikach i tych dobermanach strzegących chałupy. Masz mnie za kretyna?

– No dobra, przepraszam. To jak można to ominąć? – Byłem coraz bardziej zaintrygowany.

– Tak się przypadkiem składa, że dokładnie dzisiaj o godzinie jedenastej, czyli za około trzy godziny, dyżurny strażnik jedzie z psami na rutynowe badania do weterynarza. Ochroniarz musi z nimi jechać, bo te bestie nikogo innego nie słuchają. Są tak wytresowane. I wtedy, przez około dwie godziny, nikogo nie będzie w tej fortecy. A znając kody wyłączające alarmy i monitoring, można spokojnie wejść do środka.

To, co właśnie usłyszałem od Michała, wydało mi się tak nieprawdopodobne, że pokręciłem głowę z powątpiewaniem. Nagle nabrałem ochoty, żeby wstać i wyjść.

– Radek. – Michał zauważył moje wahanie. – To jedyna szansa. Dziś do wiemy się wszystkiego albo już do końca życia będziemy żałować i pozwolimy tym draniom dalej pławić się w dostatkach kosztem innych.

– Skoro tak dokładnie wszystko wiesz i masz te hasła, to idź! – powiedziałem wprost.

– Nie mogę – pokręcił przecząco głową. – Jestem tchórzem. Zawsze byłem. Nie zrobię tego.

Rozłożyłem ręce w geście rozczarowania.

– No to trudno – wstałem z fotela. – Ja już mam dość tej przygody. Jadę do domu.

– Radek! – Michał złapał mnie za rękę. – Tylko ty możesz to zrobić! Masz niepowtarzalną szansę, żeby się czegoś dowiedzieć! Seweryn i Marta zginęli z jakiejś przyczyny. Musisz tam pójść...

Spojrzałem na niego niechętnie. Nie odezwałem się. Puścił moją rękę.

– Ty masz odwagę, nie to co ja... – ciągnął. – Zobacz, jak udało ci się oszukać tych ludzi, wejść do fabryki i odkryć produkcję narkotyków. Tyle już zrobiłeś, że teraz nie możesz się wycofać. To już ostatni krok.

Westchnąłem głęboko i wtedy zdałem sobie sprawę, że już podjąłem decyzję. Nieodwracalną.

Rozdział 35

Podchodząc od strony lasu do willi Goldbergów cały czas się zastanawiałem, czy przypadkiem nie oszalałem albo nie dałem się niecnie zmanipulować Michałowi. Czy to, co za chwilę miałem zamiar zrobić, nie było jak skok w przepaść bez spadochronu lub po prostu czyste samobójstwo. Dlaczego kolejny raz chciałem odstawiać bohatera i pakowałem się w bardzo niebezpieczną sytuację?

Odpowiedź była prosta.

Mimo tragicznych wydarzeń z ostatnich godzin i wielokrotnie podjętej decyzji, aby wyjechać stąd jak najszybciej, musiałem poznać prawdę, choćby tylko częściowo. Zabrnąłem już tak daleko, że nigdy nie dałoby mi to spokoju, gdybym teraz odpuścił i wyjechał. Po prostu musiałem spróbować. Byłem opętany tą historią i musiałem to zrobić.

Michał nie chciał mi w końcu powiedzieć, skąd ma te kody i informacje o wizycie strażnika opiekującego się pasami u weterynarza, ale ostatecznie dałem mu spokój. Doszedłem do wniosku, że skoro zna tyle tajemnic i kiedyś był blisko tych ludzi, to zapewne zdobył też inne, pożyteczne kontakty. Źródło tych informacji nie miało teraz większego znaczenia. Chciałem wierzyć, że są prawdziwe.

Przykucnąłem między drzewami i spojrzałem na majestatyczną willę ukrytą wśród sosen i dębów, wznoszącą się ponad gigantycznych rozmiarów murem okalającym twierdzę. Dom musiał być potężny, skoro było widać go z za tak wysokiego ogrodzenia.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła godzina jedenasta, więc zgodnie z informacjami od Michała, o ile były prawdziwe, wkrótce ochroniarz miał wywieźć dwa czujne dobermany, a dom miał być do mojej dyspozycji.

„O ile sforsuję zabezpieczenia i wyłączę kamery monitoringu, żebym się przypadkiem nie nagrał” – pomyślałem z niepokojem.

Jeszcze jedna rzecz nie dawała mi spokoju: Aneta, żona Krzyska.

Gdy zapytałem o nią Michała, wzruszył tylko ramionami i stwierdził, że od wielu miesięcy nikt jej nigdzie nie widział. O ile Krzysiek regularnie przemieszczał się swoim hummerem, to jego żony nie widzieli ani w mieście, ani w pobliżu willi. Michał stwierdził, że prawdopodobnie wygrzewa się na plaży w jakimś egzotycznym kraju albo spaceruje po polach elizejskich w Paryżu, niosąc w wypielęgnowanej dłoni torebkę z logo Louis Vuitton lub innej drogiej modnej marki.

Miałem nadzieję, że faktycznie w tym okazałym domu nikogo nie zastanę i będę mógł się tam rozejrzeć. Co prawda nie miałem pojęcia czego i gdzie szukać, ale liczyłem na przypadek lub szczęście.

Odczekałem swoje, ukryty za jakimś krzewem, i w końcu dotrwałem do wyjścia strażnika. Srebrne audi wyjechało powoli z bramy. Kierowca zachekał, aż ogrodzenie się zamknie, a systemy uruchomią alarm i monitoring. Po chwili samochód wolno ruszył po leśnej drodze, a gdy zniknął za drzewami, ja ostrożnie skierowałem się w stronę rezydencji Goldbergów.

Aplikacja od Michała pokazała mi na ładnym obrazku, że wszystkie systemy i kamery są uzbrojone. Wesole czerwone kropeczki mrugały w wielu punktach planu domu, pokazując, że biada temu, kto teraz wtargnie na teren posiadłości. Pełen obaw wybrałem opcję „Disable Alarm” i podałem jeden z kodów zapisanych na karteczce od Michała. Po kilku długich jak wieczność sekundach aplikacja potwierdziła, że wszystkie czujniki przeszły w stan „Idle”, co potwierdziły zielono świecące się teraz kropeczki. Otarłem rękawem bluzki spocone czoło i zabrałem się za drugi etap rozbijania domu. Teraz musiałem wyłączyć kamery monitoringu, żeby niepostrzeżenie wejść na teren posesji. Kolejna opcja w menu aplikacji pozwoliła mi na wybranie pozycji „Security Camera Off” i znów po wpisaniu kolejnego hasła odetchnąłem z ulgą, bo rzeczywiście kamery zostały wyłączone.

Czyli Michał jednak miał dobre dojścia, skoro kody zadziałały. Być może miał znajomych w firmie ochroniarskiej.

Podszedłem zdecydowanie do bramy, przyjrzałem się klawiaturze zamka i wpisałem kod: 992155. Furtka odskoczyła z wesołym szczeknięciem elektromagnesu, a ja od razu wskoczyłem do środka.

Przekraczając próg tej rezydencji, poczułem się jak przestępca, który wykorzystując nieobecność gospodarzy, ma zamiar ich okraść. Świadomość, że mieszkali tu moi dawni przyjaciele, wcale mi nie pomagała, sprawiała wręcz, że poczułem się jeszcze gorzej. Może oni wcale nie mają nic na sumieniu, a ja zakradam się jak złodziejaszek?

Nie miałem jednak czasu na takie dywagacje. Przeszedłem szybko do drzwi wejściowych. Tutaj też był zamek szyfrowy z takim samym kodem dostępu jak furtka przy bramie.

Dom był ogromny, a teren wokół pozwalał na wybudowanie kilku boisk do gry w siatkówkę. Wszystkie trawniki były idealnie przystrzyżone, tuje i cyprysy przycięte, po prostu doskonale podwórko straszliwie bogatych ludzi. Aż się zdziwiłem, że Michał nie wspomniał nic o ogrodniku, ale widocznie nie było dziś tutaj nikogo od opieki nad roślinnością.

Wszedłem do środka willi i po prostu oniemiałem. Gdybym widział w zasięgu wzroku jakieś krzesło, to na pewno przysiadłbym na chwilę, żeby pokontemplować przepych i bogactwo wnętrza. Przestronny salon tego pałacu przyćmił wszystko, co do tej pory w swoim życiu widziałem. Nawet gdy zwiedzałem odrestaurowane zamki i pałace w Polsce, w Niemczech czy w Austrii nie doświadczyłem takiego przepychu i rozmachu. Podłogi zrobione były z wielkich płyt marmuru lub granitu. Ściany wyłożone materiałami, których nawet nie byłem w stanie nazwać. Na suficie wisały olbrzymich rozmiarów żyrandole, w których kryształki Swarovskiego pobłyskiwały różnokolorowymi iskrami światła. Reszta wykończenia wnętrza z pewnością była tak droga, że można byłoby za to wybudować kilkanaście normalnych domów.

„To na to poszły te pieniądze z handlu narkotykami?” – pomyślałem w zadumie.

Otrząsnąłem się w końcu, bo każda minuta zwłoki zwiększała ryzyko wpadki. Rozejrzałem się dookoła i podszedłem do jedyne go w miarę normalnego mebla stojącego w tym olbrzymim salonie. Pod monstrualnym telewizorem zawieszonym na głównej ścianie pomieszczenia dostrzegłem coś w rodzaju komody z licznymi szufladami i drzwiczkami. Na pierwszy rzut oka mebel wyglądał na antyk, ale nie potrafiłem ocenić czy to autentyk, czy tylko udana podróbka. Widząc rozmach właścicieli i bogactwo wnętrza, szybko stwierdziłem, że to bardzo stary i na pewno bardzo drogi kawałek wyposażenia.

Kontemplowałem przez dobrą chwilę piękno komody, zastanawiając się, czy nie naruszam jakiejś świętości, ale w końcu ukucnąłem przed meblem i zacząłem myszkować, otwierając po kolei szafki i zaglądnąc do szuflad. Przeglądałem jakieś rachunki, albumy ze zdjęciami, wyniki badań medycznych. Przerzucałem dziesiątki papierów, ale nic ciekawego nie zauważyłem. Dopiero w najniższej szufladzie trafiłem na perelkę. Wziąłem do ręki okazałych rozmiarów segregator i z przejęciem powiedziałem na głos: „Bingo!”. Zawsze chciałem to zrobić, a teraz nadarzyła się okazja.

Segregator był naprawdę gruby, a w środku spiętych było niemalże kilkakaset stron jakichś dokumentów. Na grzbiecie opasłego tomu widniał napis: „Cytozynox-Bis”. Aż przysiadłem na podłodze i trzęsącymi się dłońmi otworzyłem segregator.

To była prawdziwa bomba! Faktury, zlecenia wysyłek, jakieś pełnomocnictwa. W kilku miejscach widziałem nazwiska: „Prokop”, „Basiński”, „Bonarczyk” i ich podpisy. Dokładnie te same nazwiska, o których wspominał Michał! Nawet do końca nie wiedziałem, czego dotyczą te wszystkie papiery, ale najwidoczniej to było to, czego w podświadomości oczekiwałem. Poufnych dokumentów obciążających firmę i współwłaścicieli oraz demaskujących nielegalny proceder produkcji narkotyków.

Sięgnąłem po smartfon i pstryknąłem losowo kilka zdjęć takich dokumentów, które wydały mi się szczególnie interesujące i opiewały na grube miliony. Na wszelki wypadek wysłałem od razu zrobione zdjęcia na wszyst-

kie prywatne adresy mailowe Tomka, Roberta i Piotrka. A także do Michała.

Siedziałem jeszcze przez długą chwilę, przeglądając zawartość segregatora, aż straciłem poczucie czasu. Nie wiem, czy minęło kilka, czy kilkanaście minut, gdy stało się coś nieoczekiwanego. Coś, czego ani nie przewidziałem, ani się tego nie spodziewałem.

– Co za niespodzianka! – W salonie nagle zabrzmiał męski głos, a ja poderwałem się na równe nogi, jakby ktoś rozpalil pode mną gorące ognisko.

Serce podskoczyło mi do gardła.

– No, no. – Przybysz cmoknął z uznaniem. – Udało ci się tutaj wejść i to nie aktywując alarmu. Jestem pod wrażeniem.

Spojrzałem na mężczyznę stojącego w odległej części salonu, tak jakby dopiero co wszedł do domu. Musiał to zrobić naprawdę dyskretnie i cicho, a ja, zatopiony w studiowaniu dokumentów, nawet tego nie usłyszałem. Stał na tle ogromnego panoramicznego okna wychodzącego na bujny przydomowy ogród, widziałem zatem tylko jego ciemną sylwetkę. Powoli ruszył w moim kierunku. Miałem wrażenie, że spaceruje sobie, zrelaksowany i niczym niepopędzany. Miał czas i nigdzie mu się nie spieszyło.

Mężczyzna w końcu podszedł niespiesznie i zatrzymał się kilka metrów ode mnie. Popatrzył na mnie z zaciekawieniem. Wreszcie dojrzałem jego twarz. Nerwowo wciągnąłem głęboko powietrze, dostarczając do płuc więcej tlenu, niż potrzebowały. Aż poczułem lekki zawrót głowy.

On z zadumą zlustrował salon.

– Pewnie cię zdziwiło, skąd się tutaj nagle wzięłem? Przecież miało nie być mnie w domu aż do popołudnia.

Wzruszyłem tylko ramionami. Cały czas czułem serce w gardle i nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Paraliż ogarnął całe moje ciało.

– Otóż w dzisiejszych czasach, mój drogi – zaczął wyjaśniać Krzysiek – po to mamy ze sobą smartfony, żeby mieć dostęp do każdej informacji w czasie rzeczywistym. Naiwnością byłoby sądzić, że mając takie możliwości finansowe, nie dysponuję aplikacją, która na bieżąco informuje mnie

o tym, co się dzieje w moim domu. – Przerwał wyjaśnienia i westchnął głęboko. Przyszło mi do głowy, że analizuje teraz moją głupotę i naiwność. Zapewne zastanawiał się teraz, o czym sobie, do cholery, myślałem, włamując się tutaj. – Włączając w to sygnalizację uzbrojenia lub rozbrojenia alarmu – ciągnął dalej. – Lub, tak niesamowicie niespotykaną rzecz, jak całkowite wyłączenie podglądu wszystkich kamer.

Słuchając tego wywodu, poczułem się jak krety, bo faktycznie nawet przez myśl mi nie przeszło, że Krzysiek wcześniej czy później dostanie sygnał o braku podglądu z monitoringu. Przekląłem w myślach moją głupotę, ale było już za późno na wyrzuty.

– Nawet całkowity brak zasilania sieci energetycznej – mówił dalej tonem wykładowcy przekazującego wiedzę swoim uczniom – nie wyłącza ani alarmu, ani tym bardziej kamer. W tym domu są zamontowane takie generatory, które w przypadku awarii dają podtrzymanie zasilania na długie godziny. Dlatego jedynie świadome wyłączenie systemu mogło dać efekt, jaki zaobserwowałem dwadzieścia minut temu.

Z trudem przełknąłem ślinę. Zaczynałem się pocić.

– Oczywiście wiedziałem, że akurat na dziś jest zaplanowana wizyta moich dobermanów u weterynarza. Zgodnie z planem strażnik uzbroił parter domu i zamknął go tak, jak powinno się to zrobić. Widziałem to wszystko w mojej aplikacji, więc spokojnie pracowałem w swoim biurze. Zdziwienie dopadło mnie dosłownie dwie minuty później, gdy rozbrojono alarm, ale szybko doszedłem do wniosku, że ochroniarz zapomniał czegoś ze stróżówki i po to wrócił. – Krzysiek rozprostował ramiona i zaczął spokojnie chodzić w tę i z powrotem. – Niestety, kilkanaście sekund później wiedziałem już, że stało się coś niespodziewanego. Bo nie dość, że alarmu już nie uzbrojono, to na dodatek zgasły wszystkie kamery. Sam przyznasz, mój drogi Radziu, że było to bardzo nietypowe i mogło wzbudzić moje jakże uzasadnione podejrzenia.

Nadal stałem nieruchomo jak wbity w ziemię i nie odzywałem się ani słowem. Gorączkowo się zastanawiałem, jak będzie przebiegała ta rozmowa i jak się to wszystko skończy.

– Ale żeby nie było to takie oczywiste – ciągnął – musisz wiedzieć, że mam w środku domu jeszcze kilka zwykłych, niezależnych od całego systemu, małych kamerek IP, z których mam podgląd, tyle że już w innej aplikacji.

Rozejrzałem się nerwowo po pomieszczeniu.

„Cholera, że niczego nie zauważyłem!” – pomyślałem wkurzony.

– Nie zobaczysz tych kamer – wyjaśnił, widząc moje zdziwienie. – Są tak zakamuflowane, żeby potencjalny intruz ich nie dostrzegł. Spełniły swoją rolę. Dałeś się złapać, Radek. – Chyba zauważył rezygnację i strach na mojej twarzy, bo najwyraźniej postanowił mi jeszcze bardziej dokopać. – Zostałeś sam mimo tego, że inni próbowali ci pomóc. Nawet tego komisarza od siedmiu boleści zdjęli dziś rano w hotelu, w którym mieszkał. Jak na gościa z policji to zachował się jak dupa wołowa i dał się podejść jak dziecko. Dzięki naszym wtykom w ABW pewnie już dostał konkretny wycisk i szybko nie wróci do służby.

Zacisnąłem pięści, bo nagle poczułem złość. W środku cały aż się gotowałem. Miałem przed sobą człowieka, który pociągał za sznurki i przez którego wydarzyły się te wszystkie nieszczęścia.

– Handlujecie prochami, dranie! – W końcu straciłem kontrolę i wyrzuciłem to z siebie, nie kontrolując tego, co mówię. – Widziałem dokumenty. Wszystko jak na dłoni. To koniec waszej kariery! Posadzą was.

Krzysiek zaniósł się głośnym śmiechem i pokręcił z politowaniem głową.

– Człowieku – powiedział. – Nic z tym nie zrobisz. Ci ludzie, którzy rządzą tym biznesem, są nie do ruszenia. Sam widziałeś, że praktycznie możemy wszystko. Policję i inne służby mamy w kieszeni, a nieskończone źródło finansowania zapewnia nam nieograniczoną ochronę ze strony polityków.

– W końcu się doigracie i będziecie siedzieć – powiedziałem już mniej pewnie.

– Oj Radziu, Radziu... Na jakim ty świecie żyjesz? Zapewniam cię, że nikt nie będzie zainteresowany narażeniem na szwank nieskalanej reputacji

naszej firmy, która przecież produkuje najśłynniejszy lek na naszym globie, mający ratować miliony ludzi na całym świecie. Ani politycy, ani żaden duży biznes nie zrobi niczego ryzykownego.

Wycelowałem oskarżycielsko palcem w sylwetkę Krzyśka.

– Ale przecież jednocześnie sprzedajecie tony narkotyku, który wyrządza krzywdę kolejnym ludziom! Jednych leczycie, a drugich zabijacie!

Krzysiek Goldberg, znów rozbawiony do łez, uśmieł się w najlepsze. Zaczynało mnie to już denerwować. Był tak pewny siebie i wyluzowany, że chętnie bym mu teraz przyłożył czymś ciężkim.

– Mój drogi, a kto powiedział, że to jest szkodliwe? To cudowny środek, który daje setki razy większą siłę, koncentrację i wzmacnia zmysły. To rewelacyjne odkrycie naszego kochanego profesora Nowogrodzkiego, zupełnie przypadkowe i nieoczekiwane, nigdy by nie wyszło z fazy prób laboratoryjnych, gdyby nie nasz geniusz i pieniądze. Ten biały proszek otworzy oczy milionom ludzi na całym świecie i spowoduje, że już nigdy nie będą chcieli czegoś innego. Tylko naszego wspaniałego specyfiku. Odstawią kawę, napoje energetyzujące, kokainę i amfetaminę. Nasz Miracle, jak nazwaliśmy tę substancję, zrewolucjonizuje świat. I zapewni nam stałe źródło przychodów. Na długie lata. – Goldberg westchnął nostalgicznie. – A któregoś dnia, kto wie, może stanie się legalnym środkiem stosowanym powszechnie, jak właśnie wspomniana kawa lub guarana. I co z tego, że uzależnia? Alkohol też uzależnia, papierosy uzależniają, kawa uzależnia. I nikt nie robi z tego sensacji. A wiesz, że skład chemiczny Miracle jest w dziewięćdziesięciu procentach identyczny ze składem leku? Czy to nie fantastyczny przypadek?

– Ale po co wam to? – zapytałem prawie ciepło, jakbym rozmawiał z przyjacielem. – Nie wystarczy wam kasa z legalnego źródła? Przecież Cytzynox sprzedaje się jak świeże bułeczki. Nie musicie dodatkowo sprzedawać dragów.

Krzysiek westchnął i znów popatrzył na mnie jak na naiwniaka zadającego pytania na poziomie pięciolatka.

– Mój drogi, inwestycja w najnowocześniejszą fabrykę w tej części świata była koszmarnie kosztowna, a inwestorzy domagają się zysków i zwrotu poniesionych środków finansowych. I to najszybciej, jak się da. Kredyty trzeba spłacać, więc pieniędzy nigdy jest dosyć. Sam lek nie wystarczy. – Krzysiek podszedł spokojnie do barku na kółkach, który dopiero teraz zobaczyłem, i zrelaksowany nalał sobie czegoś do pękatej, grubej szklanki. Wyciągnął ją w moją stronę, ale zaprzeczyłem ruchem głowy. Wzruszył więc ramionami. Schylił się po coś i nagle, gdy już się wyprostował, w jego dłoni błysnął pistolet.

Poczułem falę mrozu roznoszącego się po moim całym ciele.

Krzysiek w przepraszającym geście rozłożył ręce i zrobił zawiedzioną minę. Do drugiej ręki wziął szklankę z alkoholem.

– Sorry za to, ale sam rozumiesz, że w tej sytuacji muszę zachować ostrożność. Na wypadek gdybyś zaczął coś kombinować. – Podszedł do fotela i usiadł na nim wygodnie. Cały czas celował do mnie z broni, a ja stałem jak zamurowany.

Już drugi raz w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin widziałem czarny otwór lufy pistoletu wycelowany w moją osobę, a jednak nie przyzwyczaiłem się do tego. Ani trochę.

– Niepotrzebnie się w to wpakowałeś, Radek. – Krzysiek upił łyk żółtawego płynu i z rozkoszą przymknął na chwilę oczy. – A dostałeś przecież ostrzeżenie, i to niejedno, żeby trzymać się z daleka od tej sprawy. Nawet dziś rano miałaś jeszcze jedną szansę, żeby jak najszybciej wrócić do domu, do narzeczonej. Liczyliśmy na to, że widząc, jak ABW pakuje twojego znajomego z policji prosto do samochodu i go wywozi, porzucisz wreszcie te chore pomysły prywatnego dochodzenia i dasz spokój. Naprawdę liczyłem na to, że w końcu dotrze do ciebie, iż to nie przelewki i że najlepsze rozwiązanie dla ciebie, to spadać stąd jak najszybciej i zapomnieć o wszystkim. Ale nie! Ty musiałeś posłuchać tego durnia Michała i przylaźleś tu jak jakiś złodziejasek.

Wciąż patrzyłem jak zahipnotyzowany na lufę pistoletu. Musiałem koniecznie zagrać na zwłokę i kupić sobie trochę więcej czasu.

– Krzysiek, byliśmy przecież przyjaciółmi. – Uderzyłem w nostalgiczną nutę. – Jak to się mogło stać, że teraz celujesz do mnie z broni, gotów w każdej chwili strzelić i mnie zabić?

Krzysiek zakręcił szklanką, obserwując z zainteresowaniem, jak ciężki płyn oblewa ścianki naczynia i potem ścieka powoli, tworząc artystyczne wzory. Założył nogę na nogę i spojrzał na mnie jak przez mgłę.

– Dużo się zmieniło, Radek... – powiedział powoli. Alkohol chyba zaczął na niego działać. – Nawet bardzo dużo. Nie masz pojęcia, jak ludzie mogą się zmienić przez kilka lat. I co ich może spotkać... – mówił coraz wolniej i był coraz bardziej zamyślony. – Nagle jakby się ocknął i spojrzał na mnie bardziej przytomnie. – Uratowałem ci dupę, wtedy, w tej małej salce w fabryce. Oni chcieli cię kropnąć. Kiedy cię przesłuchiwali... Pamiętasz? – spojrzał pytająco. – A może nie pamiętasz... Nieważne. A teraz ty tak mi się odwdzięczasz? Czuję się rozczarowany.

– Jesteś przestępcą, Krzysiek – palnąłem, żeby go sprowokować.

– Raczej geniuszem biznesu zarabiającym fortunę, a to, mój drogi, rozgrzesza wszystko. Poza tym dostarczamy ludziom bezcenny lek na raka, pamiętasz? Jesteśmy jak Czerwony Krzyż, jak zbawienie, jak Święty Mikołaj, jak święta Teresa.

Parsknąłem głośno.

– Zagalopowałeś się trochę – rzuciłem cierpko. – Bo jednocześnie produkuje i sprzedajecie narkotyki, co kompletnie dyskredytuje zasługi firmy. Poza tym zmusiliście profesora Nowogrodzkiego, żeby wam pomagał i tym samym też stał się przestępcą. A on chciał tylko pomóc ludziom. To, co z nim zrobiliście, to już jest kurewstwo najwyższego poziomu.

– Nic nie wiesz, Radek, więc z łaski swojej przymknij gębę i nie pierdol – zawarczał Krzysiek. – Nic nie wiesz o Nowogrodzkim. To wcale nie jest taki święty człowiek.

To już zaczynało być intrygujące. Gdyby nie wycelowany we mnie pistolet, to nawet byłaby to ciekawa pogawędka dwóch starych znajomych.

– O czym ty mówisz? Chyba nie w mówisz mi, że ten naukowiec, który poświęcił swoje całe życie na badanie i odkrycie leku, jest winny? Że w zgodzie z własnym sumieniem patrzy spokojnie na ten proceder, który uprawiacie?

Krzysiek głęboko wciągnął powietrze i potem powoli wypuścił je ze świsem przez zaciśnięte usta.

– Tak, to prawda, że poświęcił całe swoje życie na badania nad skutecznością leku i że w praktyce nie miał życia prywatnego. Zaraz po studiach wszedł do laboratorium i już praktycznie z niego nie wyszedł. Z własnej nieprzymuszonej woli. Zostawił całe życie za sobą i zamknął się w tym klasztorze. Zapomniał o wszystkich swoich bliskich. Dla niego liczyła się tylko nauka i laboratorium. Nic więcej!

– To źle? – zapytałem zdziwiony.

Krzysiek spiorunował mnie wzrokiem. Nagle, nie wiedząc czemu, wpadł w bardzo zły nastrój.

– Tak, kurwa! Źle! – Wstał energicznie z fotela i przeszedł kilka kroków. Nagle stanął i wypił duszkiem całą zawartość szklanki, którą odstawił z hukiem na stolik. Naraz przypomniał sobie o mnie i znów wycelował do mnie z pistoletu. – Ale nieważne, co było kiedyś. Ważne jest to, że nasz kochany profesor przez przypadek odkrył fantastyczną substancję, która daje nam teraz duże pieniądze. I co istotne, nawet gdyby chciał, to nie przestanie być naszym cichym współnikiem i autorem sukcesu. Zrobi absolutnie wszystko, żeby ochronić fabrykę i nie narazić na szwank jej funkcjonowania. Sam widziałeś. Jest posłuszny jak psiak. Nawet nie piśnie słowem.

– Co mu zrobiliście?

– Nic. – Krzysiek wzruszył ramionami. – Po prostu wie, że jakakolwiek afery, jakiegokolwiek podejrzenie, że robimy coś niezgodnego z prawem, naraziłoby fabrykę na niebezpieczeństwo. Zatrzymanie produkcji i sprzedaży leku to byłaby ostatnia rzecz, jaką nasz profesor chciałby widzieć. Wyobraź sobie, jakie byłyby konsekwencje nie tylko dla fabryki i inwestorów, ale dla całego kraju, dla całego świata medycznego, gdyby wyszło na jaw, co robimy? To byłby koniec Cytozynoxu. To byłby koniec marzeń profesora

o uzdrowieniu świata. Miliony ludzi chorych na raka umarłoby bez żadnej nadziei na wyleczenie. Tego Ryszard Nowogrodzki nie zniósłby za żadne skarby.

– Jesteście niezłe skurwysyny! – krzyknąłem. – Tak zniszczyć tego człowieka! Przecież on żyje jak w więzieniu. Na waszych usługach. Na waszej łasce i niełasce. A mógłby jeszcze dokonać wspaniałych rzeczy.

– Oj przestań, Radek, pierdolić! – Krzysiek robił się coraz bardziej agresywny. – Każdy robi swoje i powinien znać swoje miejsce. Już ci mówiłem, że to nie jest taki anioł, jak ci się wydaje.

– Dlaczego zabiliście Seweryna? – Postanowiłem przejść do ofensywy i walnąłem z grubej rury.

– My? – Krzysiek bardzo dobrze udał zdziwienie. – Chyba coś ci się pokręciło, Radecku! Jeszcze osobiście nikogo w życiu nie zabiłem, ale jak będziesz tak pierdolić, to w końcu nie wytrzymam i ciebie zastrzelę jako pierwszego.

– Przecież wiem, że wtedy na tej imprezie razem z Anetą bez najmniejszych skrępowań go otruliście. – Nie dawałem za wygraną. – Dosypaliście mu jakiejś trucizny. Chcieliście się go pozbyć. – Szedłem w ten ciemny zaułek, choć kompletnie nie wiedziałem, jak uzasadnić swoją tezę. – Wiem, że Seweryn był synem Nowogrodzkiego! – krzyknąłem w końcu dramatycznie. – Musieliście się go pozbyć.

Krzysiek spojrzał na mnie uważnie. Potem znów usiadł spokojnie w fotelu i założył nogę na nogę. Wolną ręką bezceremonialnie podrapał się po uchu. Pistolet złowieszczo patrzył na mnie, gotowy w każdej chwili wystrzelić.

– Tak, to prawda – przyznał w końcu niechętnie. – Rzeczywiście. Seweryn był nieślubnym synem Ryszarda Nowogrodzkiego. Dowiedziałem się o tym na trzy miesiące przez imprezę nad Zegrzem.

Czekałem na jakieś kolejne szczegóły, więc tylko niemo patrzyłem na Krzyśka. Nie popędzałem go. Niech spokojnie mówi. Niech to z siebie rzuci. Tę zbrodnię sprzed lat.

– Pamiętasz... – podjął wreszcie wątek. – Seweryn zawsze miał najlepsze ciuchy. Zawsze przy kasie. Zawsze gotów, by postawić pozostałym z naszej grupy wystawną kolację czy pożyczyć niezłą sumkę. Piękny, przystojny, bogaty. Niczego mu nie brakowało, mimo że wychowywała go samotna matka, która była zwykłą, szarą księgową w jakiejś podrzędnej firmie. Ale nasz kochany Seweryn miał wszystko. – Krzysiek zawiesił głos, a ja dalej czekałem. – Podczas gdy my, ja i Aneta, ciągle zastanawialiśmy się nad tym, jak dociągnąć do pierwszego, jak zapłacić chesne za studia, jak odłożyć na nasze wesele, jak dalej żyć. A ten piękniś miał dosłownie wszystko. Od tatusia profesora, który co prawda z nimi nie mieszkał, bo już wtedy był zajęty pracą w laboratorium, ale łożył na syna grubą kasę i otaczał go opieką.

Nie wiem, czy dobrze dojrzałem, ale zdawało mi się, że zobaczyłem łzy w oczach Krzyśka.

– I w dodatku Seweryn to był pedał – dodał Goldberg z nutą gorzkości. – Zboczeniec.

– To za to go zabiłeś? Że miał pieniądze i urodę? I że był gejem? – zbulwersowałem się. – Ty draniu! Ty pojebańcu jeden! Ty homofobie! Tylko tyle ci było trzeba, żeby targnąć się na jego życie?

– A to mało? – Nagle do naszych uszu doszedł jakiś słaby, niewyraźny kobiecy głos płynący gdzieś z góry.

Zdziwiony i zaskoczony spojrzałem na schody prowadzące na piętro domu i dojrzałem na półpiętrze ubraną w szlafrok zmizerowaną kobietę, która niepewnie trzymała się poręcz. Ledwo stała, trzęsąc się jak galareta. Jej nogi wygięte były w nienaturalny sposób, a rozczapierzone palce u dłoni kurczowo trzymały poręcz.

Krzysiek podskoczył nagle i spojrzał na nią przestraszony.

– Kochanie! Wstałaś z łóżka o własnych siłach? Myślałem, że wzięłaś lekarstwo i śpisz...

Aneta popatrzyła na mnie ze złością.

– Tak się drzecie, że w końcu wstałam. Nawet najsilniejsze lekarstwo tutaj nie pomoże – wymamrotała niewyraźnie.

Chciała chyba zejść na dół, ale zrobiła jakiś bardzo dziwny ruch nogą i mało co się nie przewróciła. Krzysiek zerwał się z miejsca w stronę schodów, ale nagle się zatrzymał i wycelował broń prosto we mnie.

– Nie ruszaj się z miejsca, bo zastrzelę jak psa – warknął ostrzegawczo, a ja pokazałem uspakajający ruch rękami, że nie zamierzam robić nic głupiego.

Po dłuższej chwili, przy pomocy Krzyśka, zeszli jakoś na dół. Potem małymi kroczkami, jakby powodowało to jej tytaniczny wysiłek, doszła w końcu do fotela i opadła na niego ciężko. Była w kiepskim stanie. W szlafroku, ze zmęczeniem na twarzy i byle jaką fryzurą.

– Ten piękniś miał wszystko, co chciał – podjęła dalej Aneta, sepleniąc mocno i walcząc o to, by jej słowa jakoś dało się zrozumieć. – Ale niczego nie doceniał. Dla niego było naturalne, że kasy ma pod dostatkiem. Żył pełną piersią i niczym się nie przejmował.

Krzysiek stał z boku. Nagle zrobił się jakiś taki zrezygnowany i bez życia. Nawet już nie celował we mnie. I tylko spuszczone ręką trzymająca pistolet dawała mi znać, że w każdej chwili może ją podnieść i ponownie mi zagrozić.

– Więc dlatego zamordowaliście go z zimną krwią? – zapytałem wprost. Krzysiek skrzywił się nieładnie.

– Ty kretynie! Nikt go nie zabił – stwierdził kwaśno. – To naprawdę był wypadek, bo ten idiota był uczulony na te pieprzone orzechy, a Aneta po prostu o tym nie pomyślała, dosypując pestki do sałatki. Najnormalniej w świecie zapomniała o tym, że kiedyś wspominał o swojej alergii.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego Seweryn umarł? – Aneta z trudem przejęła głos. – To już ci mówię! Umarł przez ten idiotyczny żart Marty. Musieli się popisać i wymyślili ten kretyński dowcip, chcieli odegrać tę scenkę, jakby grali w jakimś pierdolonym filmie. Gdyby nie ten debilny pomysł, to pew-

nie uratowalibyśmy go na czas i żyłby do dzisiaj. I rzeczywistość wyglądałaby zgoła inaczej.

Zamurowało mnie.

O tym zupełnie nie pomyślałem. Już tak sobie wmówiłem, że faktycznie ktoś celowo zabił Seweryna, że teraz, gdy usłyszałem tę wersję wydarzeń, nie mogłem tego zrozumieć. A przecież od początku każdy myślał, że to wypadek. Dopiero teoria Marty i pozostałe dramatyczne wydarzenia ogłupiły mnie i całkowicie zmieniły moje poglądy na ten temat.

– Nie rozumiem... – powiedziałem powoli. – To jak w takim razie się tutaj znaleźliście? Jak zostaliście członkami Rady Nadzorczej firmy? Jak namówiliście Nowogrodzkiego do współpracy? Skąd te nowe nazwiska i fortuna? – bełkotałem zbity z tropu.

– Oj, Radeczku! – Krzysiek zaintonował prawie wesoło. Znów wycelował we mnie. – Widzę, że miałeś już wszystko dokładnie przemyślane. Już nas osądziłeś i zakwalifikowałeś jako morderców? Już staliśmy się w twoich oczach bezwzględną parką zabójców prących do przodu po trupach? I pewnie ta idiotka, Marta, naopowiadała ci głupot, a ty w to uwierzyłeś? A tu, widzisz, niespodzianka! Jednak prawda jest zupełnie inna niż twoja teoria. Już widziałeś w nas morderców, a my jesteśmy tylko biznesmenami.

Stałem tak bezradnie, ogłupiony i rozbrojony.

– To jak wygląda ta prawda? – zapytałem cicho.

Krzysiek spojrzał na mnie chłodno.

– Po prostu mieliśmy szczęście i znaleźliśmy się w odpowiednim czasie i miejscu, blisko Nowogrodzkiego i tej całej inwestycji. My tylko wykorzystaliśmy ten smutny fakt, że Seweryn zmarł. Wytrąciło to profesora z równowagi, a że dokładnie w tym samym czasie trwały przepychanki z inwestorami, my umiejętnie go podeszliśmy i wykorzystaliśmy jego rozchwianie emocjonalne. Udało nam się go namówić do przyjęcia najkorzystniejszej oferty. Można powiedzieć, że byliśmy takimi mediatorami pomiędzy biznesmenami a profesorem. Studia nie poszły na marne. Czegóż się jednak tam nauczyliśmy.

Krzysiek spojrział na Anetę, szukając potwierdzenia w jej oczach.

– A ponieważ znaleźliśmy jego syna i odpowiednio... – Krzysiek zawahał się na moment – ...zagraliśmy na jego emocjach, udało nam się pozyskać jego zaufanie. W oczach inwestorów sprawdziliśmy się jako sprawni managerowie. W nagrodę za doprowadzenie do podpisania kontraktu zostaliśmy udziałowcami i dostaliśmy propozycję objęcia wysokich stanowisk na szczeblu zarządzania spółką. Ot, i cała tajemnica.

– A nazwisko Goldberg? Po co to wszystko?

– No wiesz... nowe życie, nowe możliwości, to i nazwisko musiało być nowe. – Krzysiek skrzywił się nieładnie. – A dlaczego akurat Goldberg? Bo czekały na nas góry złota, nieskończone bogactwo, ogromna fortuna.

Spojrzałem na niego spode łba.

– Ciężko mi uwierzyć w tę historię, czegoś mi tu brakuje – stwierdziłem z przekąsem. – Na pewno było coś jeszcze, o czym nie chcecie mówić. Za prosto to brzmi. Nie wierzę wam!

– To już twój problem – ucięła sucho Aneta, jakby to były już jej ostatnie słowa, jakie była w stanie wypowiedzieć tego dnia. Wyglądała na bardzo chorą.

Spojrzałem na nią i dopiero teraz zadałem sobie pytanie, co jej właściwie dolega i dlaczego wygląda jak trup? Te jej problemy z chodzeniem i z mówieniem były przerażające.

– Co ci dolega, Aneta? – zapytałem niepewnie.

– Nie twój interes, Radziu! – odszczeknęła zjadliwie, choć niewyraźnie.

Spojrzałem więc pytająco na Krzyśka, który znów we mnie celował, choć teraz już jakby od niechcienia. Odniosłem wrażenie, że walczy przez chwilę sam ze sobą i wazy, czy warto mi cokolwiek mówić na temat swojej żony. W końcu wzruszył ramionami i zdecydował.

– To jest jeden z najbardziej ironicznych i złośliwych żartów, jakie los mógł nam zgotować – zaczął z wyraźnym bólem w głosie. – Mamy wreszcie lek na niektóre nowotwory, który uzdrawia miliony ludzi na całym świecie. Mamy w dłoniach cudowny środek na zatrzymanie i wyeliminowanie cho-

roby, która przez wiele lat dziesiątkowała naszą populację, nie dając wielu ludziom szansy na przeżycie. Mamy to i możemy z tego skorzystać.

Aneta nie odezwała się ani słowem. Zamknęła tylko oczy i oparła głowę o zagłówek. Krzysiek odetchnął głębiej.

– Jak widzisz, mamy nieograniczone zasoby gotówki, aby kupić nawet najdroższy istniejący na świecie lek i zorganizować każdą dostępną terapię czy to w Szwajcarii, czy w innym, drogim miejscu, gdzie leczą się gwiazdy i bogaci biznesmeni. Praktycznie nie mamy tutaj żadnych ograniczeń. Ale nawet największe pieniądze tego świata czasami nie są w stanie pomóc. Są choroby, których nie zatrzyma żadna pomoc finansowa, a na które nie ma jeszcze leku i przy których nawet najlepsi specjaliści są bezsilni.

Stałem nieruchomo, czekając na dalszy ciąg.

Krzysiek podszedł do siedzącej krzywo żony i wziął ją za rękę. Dojrzałem łzy w jego oczach.

– Dwa lata temu zdiagnozowali u Anety najbardziej agresywną i szybko postępującą formę stwardnienia rozsianego połączoną z wykryciem najgorszej odmiany nieuleczalnego złośliwego guza mózgu, glejaka.

Ścięło mnie z nóg, gdy usłyszałem te słowa. Nie byłem specjalistą w zakresie takich chorób, ale oczywiście słyszałem coś na temat obu schorzeń i stało się dla mnie jasne, że Aneta jest nieuleczalnie chora. Teraz już rozumiałem jej stan, jej problemy z poruszaniem się i z mówieniem.

– Oczywiście – ciągnął dalej Krzysiek – od razu nacisnąłem z całą mocą na Nowogrodzkiego, żeby rzucił wszystko i rozszerzył zakres badań dotyczących leków na te właśnie choroby. Groziłem mu, błagałem, zaklinałem na wszystkie świętości, prosiłem na kolanach o pomoc w uzyskaniu odpowiednich preparatów. Zmusiłem go, by siedział całą dobę w laboratorium i badał nowe próbki medykamentu. Zatrudniliśmy najlepszych laborantów z całego kraju, rozbudowaliśmy laboratorium, zrobiliśmy wszystko, by uzyskać cokolwiek, co mogłoby pomóc Anecie i chociażby w części zatrzymać chorobę. – Smutno zwiesił głowę. – Jednak wszystko na próżno. Mimo katorżniczej pracy Nowogrodzkiego, mimo dodatkowych inwestycji i uruchomienia wszystkich dostępnych możliwości, nie udało się wyproduko-

wać leku na glejaka. A stwardnienie rozsiane postępowało bardzo szybko. – Krzysiek puścił dłoń Anety i odszedł kilka kroków w stronę okna. – Byliśmy na konsultacjach u najlepszych specjalistów w Szwajcarii i w Stanach Zjednoczonych. Aneta przeszła ciężkie, bolesne i długotrwałe badania i kuracje, które kosztowały nas fortunę, a które nie przyniosły absolutnie żadnego postępu w leczeniu. Spędziliśmy setki godzin w gabinetach, salach zabiegowych i w samolotach. Nic nie pomogło. Wszyscy rozkładali ręce i ostatecznie się poddawali, gdy widzieli stan i zaawansowanie chorób mojej żony. Nie dawali jej więcej niż kilka miesięcy życia.

Aneta się nie odezwała i wydawało mi się, że drzemie, podczas gdy Krzysiek otrząsnął się trochę z poprzedniego marazmu i podjął wyjaśnienia nieco żywszym głosem:

– W końcu wróciliśmy tutaj, żeby choć w tych ostatnich dniach mogła spędzić czas w naszym wymarzonym domu w środku pięknego lasu, by w otoczeniu zielonej roślinności i w komfortowych warunkach mogła czekać na koniec swoich dni. Wołała to, niż tulać się po klinikach i cierpieć katusze kuracji, które i tak nie przyniosłyby wyleczenia.

Stałem zamurowany i zdumiony złośliwością losu, który spotkał tych dwoje. Mimo zgromadzonej ogromnej fortuny nie mogli się nią cieszyć ani w pełni korzystać z życia.

Krzysiek spojrział na zegarek, a potem na mnie. Jego wzrok był taki, że momentalnie poczułem niepokój. Wyglądał tak, jakby nagle oprzytomniał.

– No! Zagadaliśmy się trochę. Gdzie ten strażnik, do diabła? – rzucił zderwowany. – Powinni już wrócić od weterynarza. – Mój rozmówca już zupełnie doszedł do siebie i teraz znów był zdecydowanym człowiekiem celującym do mnie z broni. – Zobaczysz moje wspaniałe dobermany, Radziu – zaśmiał się złośliwie, a mnie przeszedł dreszcz. – Trochę się pobawimy na koniec. A gwarantuję ci, że mają ostre ząbki i mocne łapki. I nie lubią obcych, którzy włamują się do naszego domu.

Obleciał mnie strach i poczułem, jak miękną mi kolana.

– Co? Myślałeś, że puszczę cię wolno i pomacham dłonią na pożegnanie? – zarechotał złowrogo. – Żebyś do reszty rozpierdolił nam życie i zepsuł te

ostatnie chwile naszego szczęścia? Nic z tego, Radziu! Podzielisz los tej pieprzonej suki Marty, która sama pchała się w nasze łapy i w końcu wylądowała w jeziorze.

Serce waliło mi jak młotem, a ja intensywnie zastanawiałem się na tym, jak wybrnąć z tego koszmaru. Aneta wydawała się nieprzytomna albo spała. Możliwe, że choroba ją powaliła i odmówiła przytomności umysłu.

– Tylko że ty, mój drogi – Krzysiek ciągnął coraz ostrzejszym głosem, oczy mu się rozszerzyły i wyglądał teraz jak szaleniec – nie popływasz sobie jak ona. O nie! To byłoby zbyt łagodne i zbyt delikatne. Urządzimy sobie, mój przyjacielu, ucztę krwawej walki o przetrwanie. Ty lub moje psy! Zupełnie jak w starożytnym Rzymie! – Zaśmiał się tak, że poczułem paniczny strach.

Teraz już zupełnie wyraźnie czułem, że ze strachu trzęsą mi się nogi. „Lada chwila, a popuszczę w majtki” – pomyślałem w panice. Bałem się zrobić choćby krok. Starłem się oddychać jak najciszej.

Krzysiek jeszcze raz wściekle spojrział na zegarek i wyjrzał zniecierpliwiony przez okno.

– Gdzie on jest, do cholery!?! – zaklął i sięgnął po smartfon.

Ja odetchnąłem głęboko i resztkami sił zebrałem się na odwagę.

Rozdział 36

– Nie przyjedzie – powiedziałem cicho.

– Co? – Krzysiek spojrział na mnie zdziwiony, jakbym przed chwilą oznajmił mu, że przyleciałem z Marsa. Był coraz bardziej wzburzony. – Co ty pierdolisz?!

Przełknąłem głośno ślinę.

– Mówię, że ochroniarz z psami nie przyjedzie. Nie wróci od weterynarza.

– Radziu! Zamknij ryj i nie wkurwiał mnie bardziej! – wrzasnął. Wyglądał w tym momencie bardzo niepokojąco. Miał szeroko otwarte oczy i wyglądał szaleńca.

Odetchnąłem głębiej, żeby wyjaśnić:

– Został zatrzymany przez funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego tuż po wyjściu od weterynarza – wyjaśniłem powoli. Dawkowałem informacje, żeby Krzysiek mógł spokojnie je przetrawić.

Najwyraźniej dotarło to do niego, bo teraz dostał zastrzyk adrenaliny i celując z pistoletu w moją głowę, podszedł energicznie kilka kroków w moim kierunku. Zatrzymał się wściekle dwa metry ode mnie i wrzasnął, wyrzucając krople śliny z otwartych szeroko ust.

– Zamknij ryj, ty skurwysynu!!!

Cofnąłem się odruchowo i podniosłem ręce do góry. Ten człowiek wydawał się teraz nieobliczalny, a ja byłem zbyt przywiązany do życia, by ryzykować.

– CBS i wszystkie służby w tym kraju mamy w kieszeni! – powiedział już spokojniej, ale wciąż mocno emocjonalnie. – Miałeś próbkę dziś rano w hotelu, więc nie blefuj, bo to ci wcale nie pomoże!

Zebrałem się na odwagę. Musiałem mu to powiedzieć.

– Jesteś pewien, że rzeczywiście ABW aresztowało Piotrką Wronę dziś rano? – starałem się, jak mogłem, ale głos trochę mi jednak drżał.

Krzysiek uniósł w zdziwieniu brwi.

– O czym ty pierdolisz, Radziu? – zapytał ironicznie.

– Czy jesteś na sto procent przekonany, że faktycznie macie wszystkie służby w kieszeni? Czy masz pewność, że dziś rano ABW aresztowało komisarza Piotra Wronę z komendy stołecznej? – Dojrzałem we wzroku Krzyska jakąś iskierkę niepewności, coś, czego do tej pory nie miał w oczach. – Bo mi się wydaje, że role się odwróciły... – Chciałem mówić dalej, ale natychmiast zamilkłem.

Krzysiek energicznie podszedł dwa kroki w moją stronę i bezceremonialnie przystawił mi zimną lufę pistoletu do czoła.

Ledwo stałem. Byłem przerażony jak nigdy przedtem. Ale mimo śmiertelnego zagrożenia musiałem mówić dalej.

– Musisz wiedzieć, że kilka osób z CBS i z ABW miało już dosyć waszych wpływów i korupcji. Komendant główny komendy z Warszawy wziął się porządnie do roboty i rozpoczął porządki w resorcie. Dziś rano, to rzekome aresztowanie Piotrką Wrony, to była tylko inscenizacja, scena zagrana specjalnie dla ciebie i twoich grubych ryb. ABW jest po naszej stronie. Już nie macie tam wpływów... – Obserwowałem z uwagą reakcję Krzyska. Byłem czujny, ale wciąż spięty. Czułem na czole śmiercionośną lufę pistoletu i modliłem się w duchu, by temu człowiekowi, który kiedyś był moim kumplem, nie zadrżała ręka, by pod wpływem emocji nie pociągnął za spust.

– Blefujesz – roześmiał się nerwowo. – Gadasz bzdury, żeby zyskać na czasie i mnie zdenerwować.

– Chcesz się przekonać? Zadzwoń do tego ochroniarza i go spytaj... Choć może nie odebrać, bo pewnie siedzi w areszcie.

Krzysiek odjął spluwę od mojej głowy i nerwowo wyszarpnął telefon z kieszeni. Wybrał jakiś numer i z napięciem w oczach czekał na połącze-

nie. Po kilkunastu sekundach schował telefon do kieszeni. Spojrzał na mnie pytająco.

– Jest coś jeszcze, Krzysiek... – Powoli, jak w zwolnionym tempie sięgnąłem jednej z kieszeni moich spodni. Wyjąłem telefon i pokazałem mu go. – Cały czas miałem włączone połączenie. Po drugiej stronie linii tego, o czym mówiliśmy, słuchało kilku wysoko postawionych pracowników resortu bezpieczeństwa zainteresowanych szczegółami funkcjonowania waszej firmy. Wszystko słyszeli. Z najmniejszymi detalami – zawiesiłem głos i pokazałem zdumionemu Krzyskowi ekran mojego telefonu, na którym mógł zobaczyć aktywne okienko połączenia. – Na pewno już tu jadą – dokończyłem wyjaśnienia. – CBS, ABW i kto tam jeszcze jest w pobliżu.

Krzysiek nagle podszedł do mnie i ze wściekłością wyrwał mi smartfon, który z całą siłą roztrzaskał o marmurową podłogę. Widziałem, że chce mnie uderzyć i już się do tego zabierał, ale coś mu w tym przeszkodziło. Zadzwoił jego telefon, powstrzymując go od tego zamiaru. Nerwowo spojrział na ekran i zdecydował się odebrać połączenie.

Powiedział sucho: „Mów!” i zamarł ze słuchawką przy uchu. Ze zgrozą patrzyłem, jak zmienia mu się mina, od złości przez rezygnację aż do skrajnej wściekłości. Odsunął aparat od ucha, schował telefon do kieszeni i walcząc sam ze sobą, wziął kilka głębokich oddechów, by się uspokoić.

– Dopiąłeś swego – wycedził przez zęby. – Gratuluję, Radziu. Przed chwilą zrobili nalot na firmę. Mają nakazy i upoważnienia.

– Wiedziałeś, że prędzej czy później tak się stanie, Krzysiek – powiedziałem spokojnie. – To była kwestia czasu.

Westchnął głęboko.

– Gliniarze pewnie już tu jadą – mówił teraz trzeźwo i spokojnie. – Ale nie damy im tej satysfakcji, żeby mnie zatrzymali, prawda, kolego? Igrałeś z ogniem, to teraz spłonimy razem.

Cholera! Tego nie przewidziałem! Tego, że nie podda się tak łatwo i będzie do końca coś kombinował. Tylko co on miał zamiar w tej sytuacji zrobić?

– Stój tutaj spokojnie, bo jeśli tylko się ruszysz, zastrzelę cię bez zastanowienia – zagroził grobowym głosem. – A w najlepszym razie tak cię uszkodzę, że zostaniesz kaleką do końca życia. Rozumiesz?!

Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem.

Krzysiek, cały czas celując do mnie z pistoletu, podszedł szybko do szafki i podniósł z podłogi gruby segregator z tajemnicami firmy, a potem podbiegł do Anety leżącej nieprzytomnie na fotelu.

– Kochanie – obudził ją nerwowym szeptem. – Musimy uciekać... Chodź tu do mnie. – Próbował dźwignąć ją do góry, ale przeszkadzały mu segregator i pistolet, którym wciąż starał się we mnie celować. Chwilę walczył, starając się jakoś to wszystko ogarnąć, ale w końcu wkurzony spojrzał na mnie. – No chodź tu pomóc! – krzyknął. – Szybko!

Nie miałem za bardzo wyjścia, więc podszedłem do nich i spojrzałem pytająco.

– Pomóż Anecie! – rozkazał. – Tylko postaraj się i nie rób żadnych numerów! Mam cię na muszce!

Wziąłem pod pachę półprzytomną dziewczynę i stękając z wysiłku, poszedłem za Krzyśkiem.

– Do garażu! Za mną! – wydał mi kolejne polecenie.

Doczłapaliśmy się jakoś do samochodu stojącego w obszernym garażu, w którym spokojnie dałoby się zaparkować nawet czołg. Z trudem wtargałem Anetę na tylną kanapę. Pomogłem Krzyśkowi zapiąć ją pasami, po czym rozkazał mi ruchem dłoni ściskającej cały czas pistolet, żebym usiadł obok niego na fotelu pasażera.

Po chwili ruszyliśmy z piskiem opon, opuszczając posiadłość.

Kanciasty i dyskusyjnej urody, ale cholernie drogi Mercedes Klasy G poradził sobie świetnie z dziką leśną drogą, mknąc z ogromną prędkością na przełaj przez zagajniki i polany. Od razu zrozumiałem, dlaczego ocięzały i zbyt duży hummer został w willi na korzyść bardzo szybkiego i zwrotnego mercedesa. Krzysiek specjalnie wjechał od razu prosto w las, by ominąć oficjalną drogę prowadzącą do ich domu i unikając konfrontacji z poli-

cją i oddziałem specjalnym, który na pewno już dojeżdżał do siedziby państwa Goldbergów.

Mimo brawurowej jazdy z ogromną prędkością po wybojach i wykrotach ten kosztujący fortunę terenowy luksusowy SUV idealnie tłumili nierówności drogi, więc Krzysiek mógł mieć mnie cały czas na muszce, swobodnie kierując tylko jedną ręką. Spoglądał na mnie od czasu do czasu, upewniając się, że nic nie kombinuję, choć nie miałem zielonego pojęcia, co właściwie mógłbym zrobić w tej sytuacji. Wskoczenie z pędzącego na złamanie karku samochodu nie wchodziło przecież w grę, a innych opcji po prostu nie miałem. Musiałem wykonywać polecenia kierowcy i czekać na ratunek ze strony policji lub na jakąś inną szansę.

Krzysiek zerknął w lusterko wsteczne, sprawdzając, czy Aneta odzyskała przytomność, ale dziewczyna leżała na tylnej kanapie, nie dając znaku życia.

– Przez ciebie, sukinsynu, zapomniałem wziąć dla niej lekarstwa! – warknął do mnie. – Jak coś jej się stanie, to cię zajebię!

Nie odezwałem się. Modliłem się tylko, żeby jakoś wyjść bez szwanku z tej sytuacji.

Rozpędzony samochód wyskoczył w końcu z leśnych duktów i z piskiem opon, biorąc szeroki zakręt i przechylając się niebezpiecznie, zajął pas ruchu na normalnej, twardej asfaltowej drodze. Krzysiek przycisnął gaz do dechy i wtedy poczułem na własnej skórze efekt działania kilkuset koni mechanicznych najmocniejszej wersji tego modelu przygotowanego przez firmę AMG.

– Dokąd jedziemy? – Zebrałem się na odwagę, żeby zapytać, przebijając się przez stłumiony ryk dwunastu cylindrów potężnego silnika.

Krzysiek nie odezwał się ani słowem, tylko jeszcze mocniej docisnął pedał gazu, niebezpiecznie wyprzedzając jadące przed nami samochody. Kilka razy dosłownie w ostatniej chwili uniknęliśmy czołowego zderzenia z innymi pojazdami, więc przerażony złapałem kurczowo za rączkę umocowaną przy suficie samochodu. Często się zastanawiałem, jakie zastosowanie mają te rączki, i uznawałem je za całkowicie bezużyteczne, aż do tej

chwili, gdy po prostu musiałem złapać się czegoś, by nie obijać się o drzwi samochodu. Przy którymś z kolei niespodziewanym szarpnięciu pojazdu mój pas bezpieczeństwa zablokował się na dobre, przygważdżając mnie solidnie do skórzanego fotela.

– Dwie wioski stąd mam helikopter, którym mam zamiar odlecieć! – krzyknął w końcu do mnie. – Jeśli ci życie miłe, to mnie nie powstrzymuj. – Groźnie machnął bronią przed moim nosem.

Gnaliśmy tak przez dobrą chwilę, gdy w pewnym momencie z jednej z bocznych dróg wyskoczył policyjny samochód na sygnale i ruszył za nami w pościg. Nie wiedziałem, czy to był normalny policyjny patrol zawiadomiony przez jakiegoś kierowcę zaalarmowanego niebezpiecznym zachowaniem na drodze, czy część pościgu rozpoczętego przez CBS, ale w tej chwili nie miało to większego znaczenia. Ważne było to, że byliśmy ścigani.

Krzysiek zaklął pod nosem i przyspieszył jeszcze bardziej, choć na tej wąskiej, zwykłej jednopasmowej drodze już i tak dawno przekroczył dozwoloną prędkość i zgubił gdzieś zdrowy rozsądek. Spojrzałem na prędkościomierz i wcale mnie nie zdziwiło, że pędziliśmy już ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Niestety Krzysiek nie docenił policji. I nie chodziło tylko o ten pościg za nami, który i tak przy naszym mocnym wozie nie miał najmniejszych szans, tylko o coś innego. Domyśliłem się, że centrala już zaalarmowała wszystkie jednostki w promieniu wielu kilometrów i na podstawie meldunków dochodzących z lądu oraz z powietrza zlokalizowała i śledziła naszą pozycję. Było tylko kwestią czasu, aż zapędzą nas w pułapkę.

Blokadę ustawioną na środku drogi dostrzegłem w ostatniej chwili, ale Krzysiek miał dobry refleks, nawet bardzo dobry. Gwałtownie zahamował, wciskając hamulec do oporu, i skręcił, bez zastanawiania przeskakując przez niewielki rów wprost na pole kwitnącego rzepaku. Ogromne połacie żółtego kwiecia wyglądały przepięknie, ale w tej chwili nie byłem w nastroju, by podziwiać dary natury, bo koncentrowałem się na utrzymaniu małego uchwytu zamontowanego nad drzwiami.

Musiąłem przyznać w duchu, że mercedes dawał radę, mknąc bez przeszkód przez pole, a ja bałem się tylko, żeby na naszej drodze nie pojawiło się przypadkiem jakieś drzewo lub inna przeszkoda.

Przez szklany panoramiczny dach zobaczyłem krążący nad nami helikopter i już wiedziałem, że nie uciekniemy pościgowi. Kątem oka dostrzegłem pojawiające się w lusterku wstecznym policyjne mocne SUV-y, które były coraz bliżej. Krzysiek nie celował już do mnie z pistoletu, skoncentrowany na prowadzeniu przez wyboiste pole. Wiedział, że i tak nie mam jak uciec.

Plantacja rzepaku wreszcie się skończyła i wypadliśmy na szeroką łąkę, którą okalały zielone brzozowe zagajniki. Ku przerażeniu mojego kierowcy wyrosło przed nami kilka terenowych samochodów policyjnych, więc zrobił gwałtowny zwrot i popędził w stronę najbliższych drzew. Niestety, źle obliczył szanse ucieczki, bo w tym samym momencie z obu stron rzepakowej plantacji także wyłoniły się policyjne wozy migające ostrzegawczo niebieskimi refleksami światła i głośno wyjące syrenami. Byli już bardzo blisko, a Krzysiek, tępo wpatrzony przed siebie, gnał przerażająco szybko wprost w gęsto rosnący las.

– Krzysiek! – wrzasnąłem do niego. – To koniec! Zatrzymaj się albo nas zabijesz!

Spojrzał na mnie szaleńczo i zaśmiał się złowieszczo.

– Raz kozie śmierć, Radziu! – zawołał.

I wjechał z pełną prędkością pomiędzy drzewa, mieszcząc się między nimi zaledwie na styk i ocierając bokami terenówki o korę okazałych brzoź. Zrobiło się ciasno i ciemno, a Krzysiek wcale nie zwalniał. Nagle samochód podskoczył na jakimś wielkim obalonym pniu, którego nawet nie było widać, i siłą rozpędu zaczepił bokiem o inne drzewo. Momentalnie nas obróciło, co przy tej prędkości mogło skończyć się tylko w jeden sposób.

Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy, a ja nawet nie zdążyłem zdać sobie sprawy z tego, co się dzieje. Samochód przekoziółkował wściekle, wyrywając z ziemi połacie rosnącego w tym miejscu mchu i rozrzucając go dookoła. Nagle świat runął mi na głowę, a przez moment nawet nie

wiedziałem, gdzie jest podłoga, a gdzie sufit pojazdu. W chwili gdy mercedes robił kozła, a dach zbliżył się do ziemi, szyba okna dachowego – czy to pod wpływem nagłego naprężenia konstrukcji, czy to z powodu wystającego pnia powalonego drzewa – prysnęła nagle na tysiące kawałków, zasypując nas deszczem kaleczących odłamków. Odpaliły się poduszki powietrzne. Natychmiast poczułem zapach prochu. Krzysiek nie był przypięty pasem i odbijał się teraz jak gumowa piłka w środku koziołkującego samochodu. Ostatecznie po serii obrotów uderzyliśmy z impetem w kolejne drzewo, które z hukiem skutecznie nas zatrzymało.

Nastała cisza.

Pomyślałem tylko irracjonalnie, że tak drogie samochody na pewno mają system wyłączający silnik i odcinający dopływ paliwa w przypadku jakiegokolwiek kolizji czy wypadku, stąd brak dźwięku pracującego motoru. Spojrzałem na tylną kanapę, na której wylądował Krzysiek objijając się od wnętrza terenówki. Leżał z nienaturalnie wykręconą nogą, która wyglądała na złamaną.

Musiał stracić na chwilę przytomność, bo dopiero po chwili otworzył oczy i zorientował się, że przydusza Anetę, na której się znalazł. Wygramolił się nieporadnie i spojrzał na nieprzytomną żonę.

– Kochanie... Anetko, proszę cię... – wyszeptał. – Skarbie, daj znać, że jest w porządku.

Dziewczyna leżała nieprzytomna. Z jej ucha sączyła się krew i od razu pomyślałem, że dla niej jest już za późno. Była blada jak ściana i wiotka jak zepsuta lalka.

Dopiero teraz się zorientowałem, że na szczęście przynajmniej mnie nic się nie stało, bo przypięty pasami i ochroniony przez wystrzelone poduszki powietrzne uniknąłem niebezpiecznych skutków dachowania i koziołkowania pojazdu. Miałem tylko kilka niegroźnych otarć i skaleczeń.

Krzysiek, pogodzony ze złym stanem swojej żony, skoncentrował teraz swoją uwagę na mnie, bo znów celował do mnie z broni.

– Wsiadaj! Pomóż mi wziąć Anetę! Już!

Wygramoliłem się z trudem z rozbitego mercedesa i wspólnymi siłami wytaszczyliśmy z tylnej kanapy nieprzytomną kobietę. Krzysiek kuśtykał mocno, ale nie zwracał uwagi na ból, bo był tak zdeterminowany, że wciąż wierzył w możliwość ucieczki przed pościgiem. Od strony pola dobiegały nas krzyki i hałasy nagonki, a jakiś policjant darł się przez megafon, wzywając do poddania się. Latający nad naszymi głowami, warkoczący zło-wrogo helikopter próbował przez korony drzew wyśledzić nasze wysiłki.

– Idziemy tam! – Krzysiek machnął pistoletem w stronę przerzedzają-cego się zagajnika. Najwyraźniej chciał uciec na drugą stronę linii drzew, mając irracjonalną nadzieję, że zgubi pogoń i zmyli trop.

Po przejściu kilkunastu metrów wyszliśmy w końcu na niewielką polanę i mając przed sobą płaski, niezadrzewiony teren, mogliśmy znacznie przy-spieszyć kroku. Niemalże sam niosłem wiotką i nieprzytomną Anetę, bo Krzysiek z uszkodzoną nogą kuśtykał za nami, pilnując bronią, abym nie wywinął żadnego numeru. Z ucha i nosa dziewczyny kapąła krew.

Nagle się zatrzymałem i już wiedziałem, że to koniec. Nie było dalszych szans na wyrwanie się. Szalona próba podjęta przez mojego byłego przyja-ciela miała tutaj swój kres.

Ze wszystkich stron polany od strony drzew wyszli uzbrojeni policjanci, otaczając w ten sposób szczelnie teren i blokując nam jakiegokolwiek dalsze ruchy. Byliśmy dokładnie w samym środku obławy, uwięzieni ze wszyst-kich stron, bez możliwości ucieczki.

Staliśmy tak przez chwilę, skonsternowani i pokonani. Ja nie wiedzia-łem, jak mam się zachować. Czy uciekać w stronę policjantów, szukając wybawienia, czy po prostu czekać, aż Krzysiek Nieczuj, noszący teraz na-zwisko Goldberg, sam się podda, rzuci broń i spokojnie podniesie ręce nad głowę.

Opadłem więc na ziemię, opuszczając powoli nieprzytomną Anetę. Poło-żyłem ją delikatnie na wysokiej w tym miejscu trawie i czując, że jej ręce są zimne jak lód, odruchowo przyłożyłem palec do szyi, by zbadać jej puls. Z przerażeniem stwierdziłem, że nie wyczuwam tętna. Spojrzałem nie-pewnie na Krzyśka, który na szczęście tego nie zauważył. Z niedowierza-

niem obracał teraz głową na wszystkie strony, nie mogąc zrozumieć, dlaczego daliśmy złapać się w taką oczywistą pułapkę.

Policjanci stali nieruchomo z wycelowaną w nas bronią gotową w każdej chwili do strzału. Jeden z nich, zapewne dowódca grupy, przyłożył megafon do ust.

– Poddajcie się! Połóżcie broń na ziemi i podnieście ręce do góry! Nie macie szans na ucieczkę!

W założeniu policjantów taki komunikat powinien nakłonić ściganych do rezygnacji z dalszych prób ucieczki i stawiania jakiegokolwiek oporu, ale w tym wypadku na Krzyśka zadziałało to w zupełnie odwrotny sposób.

Nagły przyływ wściekłości poderwał go w moim kierunku i ani się obejrzałem, już trzymał mnie, obejmując jedną ręką za szyję, a drugą celując pistoletem w głowę. Obrócił nas szybko kilka razy na wszystkie strony, pokazując gliniarzom, że ma mnie w garści, i wystarczy jeden mały impuls, aby zakończyć tutaj moje życie.

– Zabiję go!!! – krzyknął ostrzegawczo. – Nie róbcie żadnych głupstw!!!

Trwaliśmy tak przez jakiś czas, a ja zrobiłem wtedy coś bardzo ryzykownego, choć sam nie wiedziałem, jakiego dokładnie efektu mam się spodziewać.

– To powiesz mi teraz prawdę?

– Co??? – Krzysiek myślał, że się przesłyszał.

A ja poczułem, że po tych wszystkich przejściach i chwilach zagrożenia życia jestem teraz spokojny i skoncentrowany.

– Powiedz mi prawdę – wznowiłem. – Jest coś jeszcze w tej historii. Coś ważnego, czego mi nie wyjawiałeś.

Mój napastnik sapał ciężko z wysiłku i ze złości, obracając nas na wszystkie strony i pokazując policjantom, że cały czas ma mnie na muszce.

– Jak namówiłeś profesora Nowogrodzkiego do współpracy? – wypaliłem w końcu.

Krzysiek milczał, ale w końcu uznał, że na tym etapie jest mu już wszystko jedno. Wciąż obracaliśmy się na wszystkie strony, a on czujnie

lustrował sytuację.

– Gdy Seweryn umarł – powiedział urywanym z emocji głosem – poszedłem prosto do Nowogrodzkiego i wmówiłem mu, że ktoś umyślnie go zabił, żeby zaszantażować profesorka. I że ja będę kolejną ofiarą, jeśli się nie zgodzi na warunki umowy.

Policja wciąż stała, czekając na poddanie się napastnika.

– A co to miało do rzeczy? – zapytałem. – Dlaczego miałby przejąć się twoim losem?

Krzysiek sapał ze wściekłości i zmęczenia. Ja natomiast, z lufą pistoletu przyłożoną do głowy, czekałem na finalną odpowiedź.

I w końcu się doczekałem.

– Bo też jestem jego synem. Tak samo jak był Seweryn, i tak samo jestem bękartem – wystrzelił z siebie jak z karabinu. – Z tą tylko różnicą, mój Radziu, że Seweryna uznał za swoje dziecko iłożył na niego, zapewniając mu utrzymanie, a mnie w ogóle nie chciał znać.

Poczułem ulgę, bo wreszcie dowiedziałem się prawdy i całość historii nabrała pełnego kształtu. I choć z drugiej strony znów dopadła mnie rozpacz, że tak tragicznie kończy się historia zgranej paczki przyjaciół z uniwerku, to opowieść się dopełniła i wszystko się wyjaśniło.

– I jak tylko mu powiedziałem, że na jego drugiego syna czyha realne niebezpieczeństwo – ciągnął dalej, przyciskając mi mocniej pistolet do głowy – to od razu zmiękł i zaczął współpracować. Potem poszło łatwo. Podpisał wszystko, co trzeba, a ja i Aneta osiągnęliśmy cel. Później mogliśmy już go wykorzystać, jak tylko chcieliśmy. I o to właśnie chodziło. Zemściłem się na nim. Za to, że nie miałem ojca.

Kręciliśmy się w kółko, a ja zauważyłem, że policjanci zaczęli bardzo powoli, prawie niezauważalnie, podchodzić coraz bliżej nas. Pętla obławy się zaciskała.

Krzysiek w końcu zrozumiał, że to koniec. Poczułem to intuicyjnie, za nim zrobił jakikolwiek ruch.

Nagle odrzucił mnie ze złością, a ja z rozpędu padłem na ziemię. Pochylił się nad nieprzytomną i martwą już Anetą, i wyszeptał coś do niej albo do siebie. Ciężko mi było usłyszeć jakiegokolwiek słowa. Wiedział, że stracił ją na zawsze. Wiedział to już kilka miesięcy wcześniej.

Potem wstał, wyprostował się i włożył sobie lufę pistoletu do ust.

Spojrzał na mnie.

Jeden z policjantów krzyknął dramatycznie.

– Nie pozwól mu!!!

Potem wszystko odbyło się jak w zwolnionym tempie. Miałem wrażenie, że oglądam jakiś poklatkowy film.

Funkcjonariusze zrywają się ze swoich miejsc i biegną co sił w nogach, by zatrzymać to, co nieuchronne.

Ja trwam w bezruchu.

Patrzę na Krzyśka i czekam, aż to zrobi.

Chcę, żeby to zrobił.

On w końcu pociąga za spust.

Huk wystrzału odbija się echem wśród drzew.

Tył czaszki rozpryskuje się na tysiące kawałków, rozrzucając fragmenty kości i mózgu.

Krzysiek powoli pada martwy na ziemię.

* * *

Po chwili dobiegają pierwsi policjanci.

Ale jest już za późno.

Pytają mnie, czy wszystko ze mną okej. Kiwam tylko głową, że tak.

Sprawdzają stan Anety i pokazują sobie na migi, że nie żyje.

Składają meldunek przez krótkofalówkę.

A ja wciąż oniemiały siedzę na ziemi i czuję się tak, jakbym zabił człowieka. Kolegę ze studiów.

Tak naprawdę to przecież nie ja pociągnąłem za spust.
Ale nie przeszkodziłem mu się zabić.
To prawie tak, jakbym sam strzelił.